Andrzej Nowicki

OSTATNIA NOC VANINIEGO

Trupia czaszka srebrnego księżyca zajrzała pustymi oczodołami czarnych kraterów przez kraty więziennej celi budząc więźnia w samym środku nocy z piątku 8 na sobotę 9 lutego 1619 r.

Nie wiedział czy jeszcze śni, czy już się obudził. Nie wiedział czy srebrne T to wiszący na ścianie krucyfiks, czy treść snu zamykającego całość jego życia jedną, wielokrotnie powtarzającą się literą T.

Te dwa kamienne słupy postawione jeszcze w czasach pogańskich na krańcach ziemi będącej jego ojczyzną. Finibusterre — „na krańcach ziemi", na południowym cyplu Półwyspu Salentyńskiego, tam gdzie ujrzał po raz pierwszy światło dzienne i gdzie spędził całe dzieciństwo. Te dwa kamienne słupy postawiono potężnym i tajemniczym bóstwom Terminom, wyznaczającym każdemu człowiekowi i każdemu zwierzęciu, każdemu państwu i każdej religii dwa terminy: początek i kres.

Ostatnia noc Vaniniego

Andrzej Nowicki

Ostatnia noc Vaniniego

„Czego filozof może pragnąć bardziej
niż śmierci wśród dzieł i za dzieła?"

Giulio Cesare Vanini

Wydawnictwo „Śląsk"
Katowice 1976

Okładkę i obwolutę projektował
Henryk Bzdok
Redaktor *Czesław Slezák*

Redaktor techniczny *Maria Dziubowa*
Korektor *Barbara Boryczko*

Rozdział 1

TULUZA, NOC Z 8 NA 9 LUTEGO 1619 R., „TRZYDZIEŚCI TRZY!"

„I chociaż ciebie nie będzie,
imię twoje pozostanie w świecie
na wieki".

Giulio Cesare Vanini

Trupia czaszka srebrnego księżyca zajrzała pustymi oczodołami czarnych kraterów przez kraty więziennej celi budząc więźnia w samym środku nocy z piątku 8 na sobotę 9 lutego 1619 r.

Nie wiedział czy jeszcze śni, czy już się obudził. Nie wiedział czy srebrne T to wiszący na ścianie krucyfiks, czy treść snu zamykającego całość jego życia jedną, wielokrotnie powtarzającą się literą T.

Te dwa kamienne słupy postawiono jeszcze w czasach pogańskich na krańcach ziemi będącej jego ojczyzną. Finibusterre — „na krańcach ziemi", na południowym cyplu Półwyspu Salentyńskiego, tam gdzie ujrzał po raz pierwszy światło dzienne i gdzie spędził całe dzieciństwo. Te dwa kamienne słupy postawiono potężnym i tajemniczym bóstwom Terminom, wyznaczającym każdemu człowiekowi i każdemu zwierzęciu, każdemu państwu i każdej religii dwa terminy: początek i kres.

Nikt nie wie, dlaczego jednemu człowiekowi dane jest życie długie, a drugi musi umierać młodo. Tego na ścianie ukrzyżowano, kiedy miał trzydzieści trzy lata. Niebezpieczny to wiek dla tych, którzy chcą zmieniać świat. On też ma trzydzieści trzy lata i właśnie dziś — w równie okrutny sposób — zakończy się jego życie.

Ostatecznie nie ma powodu do skarg. Być może długość życia jest kwestią wyboru. Kto wie, o czym archanioł Gabriel rozmawiał z Marią w godzinie Zwiastowania? Może zapytał ją — jak Tetydę — jakie życie woli dla swego Achillesa? Długie i puste czy krótkie lecz pełne sławy? Może i jego matka, piękna pani Beatrycze Lopez de Noguera, spacerując nad brzegiem morza zatrzymała się przed posągami Terminów i usłyszała to samo pytanie? A jeśli wybrała dla niego życie krótkie, lecz godne opiewania przez Homerów, to wybrała właśnie tak jak wybrać była powinna.

Tak więc otrzymał do dyspozycji 33 lata, a nawet nieco więcej, bo przeszło 400 miesięcy, tyle co Chrystus. Na jednym słupie wyryta została data: 1585, na drugim: 1619. Na pierwszym słupie litera T oznacza Taurisano, na drugim — litera T oznacza Tuluzę. Tam początek a tu kres drogi życia.

Od Taurisano do Tuluzy: trzydzieści trzy lata. Czym je wypełnił?

I znów przed oczami stają dwa wielkie kamienne słupy, a raczej dwie marmurowe kolumny, dwa posągi, które wzniósł swoim własnym trudem, które wbił głęboko w dno rwącej rzeki historii. Na jednym słupie wyrył datę: 1615, na drugim: 1616. Te słupy to: A i A, pierwszy słup to *Amfiteatr,* drugi to *Admiranda.*

„A" to początek alfabetu. Gdyby żył dłużej, to obok tych dwóch kolumn wyrósłby cały las posągów, utrwalających jego obecność w świecie. Ale i dwie książki to wcale nie jest mało. Nie ma powodu do skarg. Ani Sokrates, ani Chrystus nie pozostawili po sobie nawet dwóch książek.

Jutro... Nie, jutra nie będzie. Jeszcze dziś doprowadzą go

Skrzydlata kobieta — personifikacja Historii z książki Jean Valdor: Les triomphes de Louis le Iuste XIII du nom, Paris 1649, egz. Bibl. Uniw. Wrocł.

przed słup na placu Salin, słup wyznaczający kres jego drogi. Jutro nie będzie go już pośród żywych. Wczoraj był piątek, teraz w nocy zaczęła się sobota, a jutro będzie taka dziwna niedziela, obca i pusta jego nieobecnością. I właśnie od tej niedzieli będą płynąć dni, miesiące, lata, stulecia — bez niego. Tylko te dwie wzniesione przez niego kolumny pozostaną przekazując jego myśl z pokolenia na pokolenie. „I CHOCIAŻ CIEBIE NIE BĘDZIE, IMIĘ TWOJE POZOSTANIE W ŚWIECIE NA WIEKI".

Amfiteatr i *Admiranda* — dwoje dzieci, którym przekazał cząstkę własnej duszy. Jeżeli prawdą jest to, co powiadają teologowie, że człowiek otrzymuje duszę nieśmiertelną od Boga, to żaden człowiek nie jest naprawdę ojcem swoich dzieci, bo nie od niego otrzymują one swoją duszę. Prawdziwymi dziećmi człowieka są tylko jego książki i wytworzone przez niego dzieła sztuki, a więc te przedmioty, którym może przekazać część własnej osobowości; te przedmioty, w których może umieścić, ukryć, ocalić, uwiecznić, unieśmiertelnić własną myśl.

Życie było krótkie. Trwało tylko trzydzieści trzy lata. Dzieła żyć będą długo, wiele stuleci. A w dziełach tych będzie obecna jego myśl, cząstka jego duszy, on sam.

Kiedyś, jak głoszą opowiadane w tajemnicy mity, potężny, mściwy i okrutny Jaldabaoth postanowił zniszczyć świat zatapiając go wylewanymi z nieba strumieniami wody. Ale zamiary jego pokrzyżowała piękna, mądra i życzliwa ludziom Sofia, która w porę ostrzegła Noego i wskazała na sposób ocalenia się przed potopem. Niełatwo było zbudować arkę, ale jeszcze trudniej było rozwiązać problem wyboru: jak w niewielkiej arce zmieścić wszystko to, co należało ocalić.

Pisząc *Amfiteatr* i *Admiranda* nie wiedział jeszcze, że pozostaną po nim tylko te dwa dzieła. Nie wiedział, że dzieła te są jego Arką Noego i że to, czego w nich nie umieści, zostanie unicestwione wraz z jego świadomością, nie przez wodę wprawdzie, lecz przez ogień. Bo człowiek wybiera zawsze, każdym swoim czynem, nawet wówczas kiedy nie wie, że wybiera. Tak więc

oddając do druku *Amfiteatr* i *Admiranda* dokonał tym samym ostatecznego wyboru, nieodwracalnego cięcia przez żywe tkanki własnej świadomości: te myśli, które załadował na arkę, zostaną ocalone, te natomiast, które pozostawił we własnym wnętrzu, licząc — być może — na to, że umieści je w swoich następnych książkach, skazał (nie wiedząc, że wydaje w ten sposób wyrok) na zagładę.

Teraz nie ma już ani czasu, ani możliwości, żeby wprowadzić zmiany. Ani tego, co zostało napisane i wydrukowane nie da się już wymazać, ani tego, co pozostało niewypowiedziane, nie da się już dopisać — z wyjątkiem tych kilku zdań, które być może wypowie „w godzinę śmierci" i to w taki sposób, aby utkwiły w pamięci świadków egzekucji.

A więc jednak nie wszystko jeszcze stracone! Nie ma wprawdzie żadnej szansy, żeby ocalić życie, ale jest szansa, żeby ocalić jeszcze jakąś cząstkę własnej duszy, żeby przekazać ludziom jeszcze jakąś jedną własną myśl, żeby w ostatniej godzinie życia, będącej zarazem godziną śmierci, wznieść się na najwyższy poziom człowieczeństwa, na poziom twórcy pochłoniętego tylko jedną jedyną troską: o trafne wykończenie swego dzieła ostatnim dotknięciem gasnącej ręki.

Jest jeszcze noc. Wyraźmy wdzięczność trupiej główce księżyca za przebudzenie. Ofiarowała w ten sposób kilka godzin na przemyślenie całego życia i tego, co zostało utrwalone w dziełach i tego, co jeszcze przede wszystkim powinno zostać utrwalone.

A właściwie to taki rachunek sumienia powinno się robić nie tylko raz w życiu, na trzy godziny przed śmiercią, lecz stale, co rok, albo nawet i co kilka miesięcy. Nigdy przecież nie wiadomo, czy dzieło, które piszemy w tej chwili, nie jest naszym dziełem ostatnim. Tylko, że póki jest się młodym, to nie wierzy się we własną śmierć.

Trzeba więc zacząć od samego początku i z pierwszych kilkunastu lat życia przypomnieć to, co najważniejsze.

Rozdział 2

TAURISANO 1585—1600. BEATRYCZE LOPEZ DE NOGUERA I GIAMBATTISTA VANINI. W CIENIU POMARAŃCZOWYCH DRZEW

„Taurisano, ojczyzno moja..."

Giulio Cesare Vanini

Pierwsze wspomnienia związane są z ogrodem. Chroniący od słonecznego żaru cień drzew pomarańczowych, intensywna zieleń liści i przyciągające wzrok złotoczerwone owoce. W ogrodzie dwie młode i prześliczne dziewczyny, nierozłączne, kochające się siostry: Beatrycze i Izabela, noszące zawsze, podobnie jak księżna Taurisano, pani Lukrecja Gattinara, modne suknie hiszpańskie.

Tak właśnie musiał wyobrażać sobie raj, bo matka i ciotka rozpieszczały go, pozwalały mu na wszystko, mówiły mu, że jest „w czepku urodzony" i że czeka go wspaniała przyszłość. Na dobrą wróżbę, na zadatek przyszłych sukcesów otrzymał od matki dwa dumne imiona: Juliusz Cezar.

Ojciec, który sam miał imię Jana Chrzciciela, wolałby dla syna może jakieś inne imię z Ewangelii: Jana, Piotra albo Mateusza, ale pani Beatrycze wymarzyła sobie dla syna los zdobywcy świata i kiedy był małym dzieckiem wciąż przypominała mu, że jego przeznaczeniem i obowiązkiem jest podbić Galię.

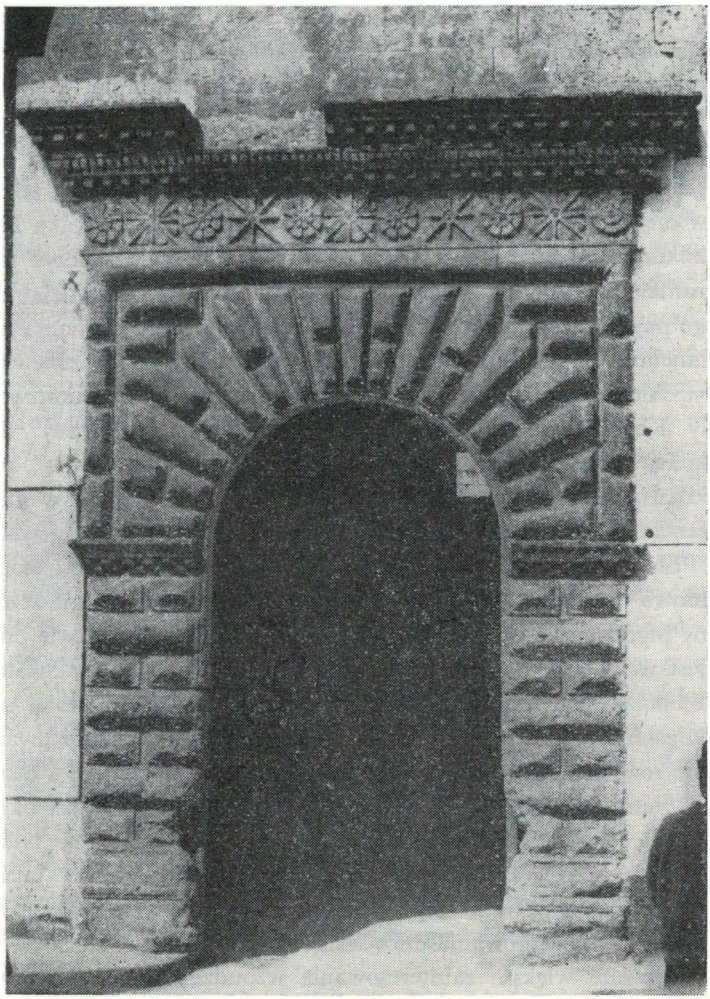

Renesansowa brama domu w Taurisano, w którym urodził się Vanini

W ogrodzie państwa Vaninich nie było węży ani zakazu zrywania owoców. Małego Juliusza Cezara ostrzegano tylko przed groźnymi pająkami: *latrodectusem* i *lycosą* tarantulą, których jad wprowadzony ukąszeniem do żyły sprawia, że człowiek zostaje zaczarowany a raczej — jak mówili apulijscy chłopi — „zatarantowany" *(attarantato)* i „odczarować" go można tylko w czerwcu muzyką i kolorowymi wstążkami. Jeżeli po kilku lub kilkunastu godzinach takiej muzyki chory zacznie tańczyć tarantelę czyli taniec polegający na deptaniu stopą niewidzialnego pająka, to stan jego ulega poprawie i z wielomiesięcznej melancholii wywołanej ukąszeniem tarantuli powraca do zdrowia.

Ale ten powrót do zdrowia jest zwykle pozorny i krótkotrwały. Kogo raz ukąsi tarantula, ten pozostaje „zaczarowany" do końca życia i chociaż muzykanci w czerwcu go „odczarują", po kilku miesiącach ponownie traci chęć do życia, zapada w melancholię i w następnym czerwcu znów trzeba go leczyć muzyką.

Słuchając tych opowiadań mały Juliusz Cezar zaczął stopniowo dochodzić do przekonania, że ogród, w którym pieszczony przez matkę i ciotkę spędzał czas na beztroskiej zabawie, nie jest wcale takim rajem, jak mu to się początkowo wydawało. I chociaż nie biegał boso jak inne dzieci, ale zawsze miał na nogach trzewiczki, biegając, raz po raz zatrzymywał się i uważnie rozglądał wokoło, wypatrując czy u podstawy cierni i traw na ziemi nie kryje się *Latrodectus tredecim guttatus* gotów ukąsić nieostrożnego. Ten jadowity pająk budził w nim nie tylko lęk, ale także i przede wszystkim żywe zainteresowanie. Jakże to się dzieje, że w jednej kropli jadu kryje się moc czarująca, zdolna do zaczarowania człowieka na wiele lat?

Jeszcze większe zainteresowanie wzbudziły w nim cudowne własności muzyki. Jakże to się dzieje, że dźwięki taranteli mogą człowieka uzdrowić i odczarować?

Pani Beatrycze pięknie tańczyła tarantelę. Wszyscy byli nią zachwyceni i mały Juliusz Cezar nie zwróciłby na to uwagi, gdyby nie usłyszane przypadkiem słowa ciotki Izabeli, zawierające jakąś zagadkową aluzję do wielomiesięcznego smutku sio-

stry i do pasji, z jaką starała się ona zdeptać niewidzialnego pająka, jak by to nie był pająk, lecz to, co ją od wielu lat gryzie, a także do ulgi, jaką jej przyniosły te czerwcowe tańce.

Chłopi Południowej Apulii nazywali swój półwysep Salentyński „Ziemią Zgryzoty" czyli przewlekłej melancholii wywołanej ukąszeniem „pająka", który właściwie wcale nie był prawdziwym pająkiem, lecz symbolem jakiegoś własnego, nie wyjawianego a zatruwającego duszę zmartwienia. Wiedział o tym, lecz myślał, że ta Ziemia Zgryzoty znajduje się gdzie indziej, może nawet i blisko, ale w każdym razie poza jego pomarańczowym ogrodem. I nagle beztroskę dzieciństwa zakłóciło przerażenie: ogród, w którym dotąd się bawił też jest zaczarowany, zatruty jadem tarantuli.

Minęło wiele miesięcy zanim wreszcie zaczął domyślać się, co „gryzie" jego matkę. Dotąd bowiem wszystko, co było w domu, wydawało mu się jak najbardziej naturalne i na przykład nie wyobrażał sobie tego, że rodzice jego mogliby być jacyś inni. Nie dziwiło go, że ojciec jest bardzo stary, a matka bardzo młoda. Dopiero rzucone kiedyś przez ciotkę Izabelę słowa o różnicy wieku pomiędzy jego rodzicami, o tym, że Beatrycze mogłaby być wnuczką swojego męża i że właśnie ta różnica wieku jest przyczyną jego wątłego zdrowia, szybkiego męczenia się i niezdolności do wysiłku fizycznego, wzbudziły jego niepokój. A kiedy ciotka Izabela powiedziała kiedyś, że chciałaby mieć młodego męża, takiego młodego jak ona sama, żeby jej dzieci były zdrowe i silne, wówczas nagle zrozumiał wszystko. Przecież jego matka również mogła marzyć o młodym mężu, a tymczasem wydano ją za człowieka starszego od niej o blisko pięćdziesiąt lat.

Z opowiadań ciotki wynikało, że ślub Jana Chrzciciela Vaniniego z Beatryczą odbywał się w sposób niezwykle uroczysty. Uroczystość tę uświetniła obecność pani Lukrecji, księżnej Taurisano oraz kilku arystokratów hiszpańskich i włoskich. Ale w umyśle małego Juliusza Cezara zaczęły się rodzić wątpliwości: co sądzić o świętości sakramentu małżeństwa, jeżeli sta-

nowi on uświęcenie związku młodej pięknej dziewczyny, marzącej o młodym mężu, a wydawanej przez rodzinę za starca?

To, co uważał za naturalne, okazało się więc czymś nienaturalnym. Mogło być inaczej i lepiej. Na przykład pomiędzy rodzicami mogłoby nie być aż tak wielkiej różnicy wieku. Obok młodej matki mógłby mieć również młodego ojca. Wtedy matka nie byłaby taka smutna, a on — będąc dzieckiem młodych rodziców — miałby ciało zdrowe i silne.

Przyglądał się teraz uważnie ojcu i matce i zastanawiał się: co odziedziczył po Janie Chrzcicielu a co po Beatryczy? I czy — mając innego ojca — wyglądałby inaczej, a wyglądając inaczej, byłby sobą czy kimś innym?

Wkrótce jednak okazało się, że na modelowanie jego wyglądu wywarły wpływ również i takie czynniki, których tajemnicze oddziaływanie zdumiewało go. Oto ciotka Izabela, u której siedział na kolanach, gładziła jego kręcone włosy, całowała go po oczach i policzkach, przyjrzała mu się uważnie i powiedziała do siostry:

— W tę noc, kiedy go poczęłaś, zapatrzyłaś się na święty obrazek, który wisi w twojej sypialni.

Mały Juliusz Cezar spojrzał niespokojnie na matkę, a ta uśmiechnęła się i potwierdziła:

— Ja też zauważyłam, że mój mały synek podobny jest do archanioła Gabriela.

— Nasz mały Gabriel — powiedziała Izabela i znów zaczęła go całować.

Tego dnia mały Juliusz Cezar długo oglądał obraz wyobrażający Zwiastowanie, a potem przyśnił mu się bardzo dziwny sen. Najpierw śnili mu się rodzice: ojciec siedział w fotelu a matka na krześle; czytała na głos książkę. Potem ojciec wstał i okazało się, że jest świętym Józefem, a matka jest jednocześnie sobą i Marią. Ojciec wyszedł, a z nieba spłynął archanioł Gabriel z naręczem kwiatów. Maria-Beatrycze wstała i rozświetliła się najpiękniejszym uśmiechem, a Gabriel podszedł, wziął ją w ramiona i pocałował w usta. A potem powiedział:

— Będziesz miała syna, a syn twój będzie miał na imię Gabriel.

Słowa te obudziły go i wpędziły w głęboką zadumę:

— Kim jestem? Synem Marii czy Beatryczy? Synem Jana Chrzciciela czy archanioła? Juliuszem Cezarem czy Gabrielem?

Im więcej nad tym rozmyślał, tym mniej rozumiał. Kiedy matka była przygnębiona, podejrzewał, że tęskni do młodego archanioła Gabriela. Kiedy tańczyła tarantelę, podejrzewał, że jej maleńka prawa stopa wyraża całą nagromadzoną w ciągu miesięcy rozpacz, złość i nienawiść do tych, którzy nie bacząc na różnicę wieku wydali ją za Jana Chrzciciela. Wyglądała wówczas jak Salome i być może chciałaby mieć na misie jego odciętą głowę. Ale gdy mijał czerwiec, stawała się znów czuła dla męża i zaśmiewała się, gdy Izabela wspominała o jego ognistym temperamencie:

— Podziwiam twego męża. Zbliża się do osiemdziesiątki, a wciąż jeszcze taki dzielny i pełen zapału do walki pod sztandarem Afrodyty!

Ale jak tu się dziwić matce, kiedy i on sam ma dwoisty stosunek do ojca. To prawda, że czasem chciałby widzieć swoją matkę w ramionach jakiegoś młodego kochanka i narodzić się właśnie z takiego, potępionego przez prawa boskie i ludzkie, lecz nakazanego przez naturę, cudzołożnego związku. A przecież jednocześnie kocha swego starego ojca i jest dumny z tego, że jest jego synem. Swoją miłość do ojca uprzytomnił sobie wówczas, kiedy ojciec ciężko zachorował. Lekarze orzekli, że zbliża się śmierć i kazali mu się położyć do łóżka. Ale ojciec kazał sobie przynieść nowy, odświętny strój i wystroiwszy się stanął dumnie wyprostowany, i jak pogański cesarz rzymski powiedział:

— Nam, z rodu Vaninich, nie przystoi umierać inaczej, niż stojąc!

Ach, jakże piękny był wówczas jego ojciec! Jakie dostojeństwo biło z jego oblicza! Gdzież tam archaniołowi ze świętego obrazka do jego męskich, orlich rysów! W tym momencie Ju-

liusz Cezar chciał być jak najbardziej podobny do swego ojca. I ten właśnie obraz ojca, dumnie wyprostowanego i odważnie czekającego na śmierć, utkwił mu na zawsze w pamięci, stając się częścią jego własnej osobowości.

Tak, tam w Taurisano, w cieniu pomarańczowych drzew, formowała się jego osobowość. A formowała się w taki dziwny sposób, że trzy najbliższe osoby z jego rodziny, matka, ciotka i ojciec, przekształcały się stopniowo z osób znajdujących się na zewnątrz w jak najbardziej wewnętrzne składniki jego duszy: rozwijająca się w nim pasja badawcza utożsamiała się ze słodkim głosem pieszczącej go ciotki Izabeli, opowiadającej mu nieprawdopodobne historie o zdumiewających tajemnicach przyrody; rozwijający się w nim protest przeciwko źle urządzonemu światu utożsamiał się z matką tańczącą tarantelę, a poczucie godności osobistej było nieustanną obecnością ojca patrzącego spokojnie w twarz śmierci.

A poza ogrodem? Za ogrodem Vaninich był jeszcze drugi ogród należący do sąsiada, który miał kilka córek. Piękne, dumne panienki szczyciły się pochodzeniem od samego namiestnika cesarskiego, niejakiego Poncjusza Piłata. Mały Juliusz Cezar wspinał się dla nich na drzewa, zrywał im pomarańcze i zakochał się jednocześnie w dwóch siostrach: starszej Laurze i młodszej Izabeli. Układał dla nich wiersze i piosenki, w których nazywał je swoimi oczami: Laurę prawym, a Izabelę lewym. Mała Izabela rozpłakała się i musiał ją pocieszać, dowodząc, że lewe oko jest znacznie szlachetniejsze od prawego.

Za ogrodami rozciągały się pola, na których pracowali chłopi Apulii. Mały Juliusz Cezar przyglądał się jak zbierają oliwki i winogrona, i jak z kamieni budują domki „trulli". Słuchał, jak rozmawiają ze sobą i uczył się.

Czego się uczył? Przede wszystkim innego spojrzenia na świat, niż to, które mógł zdobyć w swoim pomarańczowym ogrodzie. Zaczął zauważać, że dobra tego świata są podzielone niesprawiedliwie. Jemu dotąd nie brakowało niczego, a dzieci chłopskie często cierpiały głód. On chodził zawsze w nowych

trzewiczkach, a one biegały boso i miały na sobie stare łachmany.

W tej samej Apulii, niedaleko siebie żyli biedni i bogaci, i różnili się wszystkim: jedni mieszkali we dworach, drudzy w kamiennych trullach, inaczej się ubierali i inaczej wyglądało ich codzienne pożywienie; inaczej spędzali czas od świtu do wieczora, inaczej zachowywali się a nawet mówili odmiennym językiem.

Chłopi Apulii nie lubili cudzoziemców; Hiszpanów uważali za najeźdźców i krzywo patrzyli na panów włoskich, którzy żenili się z Hiszpankami i na panie włoskie, które wychodziły za Hiszpanów. Odważniejsi mówili, że należałoby przepędzić jednych i drugich: najeźdźców hiszpańskich i szlachtę włoską. Mały Juliusz Cezar, syn szlachcica włoskiego i arystokratki hiszpańskiej, z przerażeniem dowiadywał się prawdy o świecie: jeszcze nic nie zrobił, niczego nie wybierał, a już znajduje się w określonych układach, które sprawiają, że odnoszą się do niego z niechęcią.

Przede wszystkim jednak zastanowił go stosunek chłopów do religii. Napominani przez księży, że się za mało modlą, dawali bardzo dziwne odpowiedzi:

— *Pocu pane, pocu patarnosci* (mało chleba, to i mało pacierzy),

— *Santu canusce le mie besogne* (święty lepiej wie, czego mi potrzeba — więc po co mam go zanudzać swoimi modlitwami),

— *Mana rummatu, no priari Santi* (kto dobrze uprawia ziemię, nie potrzebuje modlić się do świętych).

Kiedy miał osiem lat — w roku 1593 — na placu w Lecce schwytano wędrownego sprzedawcę lekarstw, który dowodził, że „nie ma Pana Boga". Może by mu to i uszło na sucho, gdyby nie to, że nie przejawiał dostatecznego szacunku mówiąc o świętych. Zakutego w kajdany, postawiono go przed trybunałem świętej inkwizycji, która skazała go na śmierć przez spalenie na stosie. Nie oglądał tej egzekucji, ale wiele słyszał,

„Trulli" — domki z kamieni w Apulii

bo wszyscy o niej mówili. Lecce była blisko, a i owego wędrownego sprzedawcę lekarstw wszyscy znali, bo chodził od wsi do wsi. Okazało się, że i chłopi z Taurisano wdawali się z nim w długie rozmowy. Doniesiono o tym władzom kościelnym, które przeprowadziły w tej sprawie dochodzenie. Chłopi nie mogli zaprzeczyć, że rozmawiali z nim, ani temu, że ów człowiek zaprzeczał istnieniu Boga. Dlaczego więc rozmawiali z nim?

— Jak to dlaczego? — odpowiadali chłopi — rozmawialiśmy z nim oczywiście tylko po to, żeby go nawrócić.

Sam nie zauważył, jak to połączenie zuchwałej wolnomyślności i przebiegłości chłopów Apulii przeniosło się z rozmów na polach do jego świadomości i zagnieździło się głęboko w jego wnętrzu. Przyjdzie czas, że w określonych sytuacjach właśnie ich przykład pokieruje jego postępowaniem i podyktuje mu szybką odpowiedź na kłopotliwe pytania.

Mijało dzieciństwo, zbliżał się czas wyjazdu do Neapolu na studia. Przed wyjazdem Juliusz Cezar obejrzał po raz pierwszy mapę południowych Włoch. Półwysep Salentyński wyglądał na tej mapie jak palec, Taurisano jak perełka na pierścionku.

Na pożegnanie mała Laura dała mu jeden listek lauru, aby wiecznie o niej pamiętał. Wśród rzeczy, które ze sobą zabierał, był także mały woreczek z tajemniczą zawartością, która wzbudziłaby przerażenie każdego, kto by do niego zajrzał. W woreczku tym było kilkanaście zasuszonych pająków. Były mu one potrzebne po to, aby w Neapolu, na studiach, zbadać zdumiewającą tajemnicę ich jadu.

* *
*

Opuszczając Taurisano po raz drugi — ale tym razem po raz ostatni — więzień ujrzał całość swoich wspomnień z dzieciństwa obok siebie jak na jednym obrazie. Czy ocalił to, co należało ocalić od zapomnienia?

Chyba tak. W książkach swoich nie zapomniał o ogrodzie, ani o piosence napisanej dla Izabeli, ani o liściu lauru otrzymanym od Laury. Wspominał swoją ukochaną ojczyznę Taurisano i mądrych chłopów z południowej Apulii. Złożył hołd bohaterskiej postawie swego ojca i dał wyraz najtkliwszym uczuciom dla matki, Beatryczy i dla ciotki, Izabeli. Woreczek, w którym tarantule rozsypały się na miałki proszek, miał ze sobą w karczmie lyońskiej i znaleziono go przy nim w czasie rewizji w Tuluzie. Podobnie jak słoik z żabami, również proszek z pająków wzbudził wielkie zainteresowanie sędziów.

Rozdział 3

NEAPOL 1600—1606. BARTOLOMEO ARGOTTI I FERRANTE IMPERATO. AWERROES I PITAGOREJSKA WĘDRÓWKA DUSZ

> „Kiedy z nauczycielem moim, karmelitą Bartolomeo Argottim, najlepszym i najmądrzejszym człowiekiem, a w kaznodziejstwie wprost Feniksem naszych czasów, zwiedzałem w Neapolu Muzeum, które założył Ferrante Imperato, widziałem tam ptaka przemienionego w kamień (...) Pitagoras powiedziałby, że dusza Awerroesa przewędrowała w ciało Pomponacjusza".
>
> *Giulio Cesare Vanini*

Ze wszystkich nauczycieli najlepszą pamięć pozostawił po sobie karmelita Bartolomeo Argotti, rozmiłowany nade wszystko w zgłębianiu zadziwiających tajemnic przyrody. Przez wiele miesięcy studiowali w oryginale greckim i przekładach łacińskich przyrodnicze pisma Arystotelesa, komentarze arystotelika arabskiego Awerroesa a przede wszystkim dzieła „księcia awerroistów", karmelity angielskiego Johna Baconthorpa.

— Jestem uczniem i potomkiem Arystotelesa — mawiał o sobie Vanini — i wcale się tego nie wstydzę. A na słowa Awerroesa gotów jestem przysięgać.

— Wiedzy o tajemnicach przyrody nie można czerpać

z samych ksiąg — wyjaśniał mu Argotti. — Od tego co czytałem, więcej znaczenia ma to co widziałem na własne oczy. Chodź, pójdziemy dziś do pałacu, w którym Ferrante Imperato zgromadził zbierane przez wiele lat cuda Natury.

Były tam marmury, granity, kryształy, popiół i zastygła lawa z kraterów Wezuwiusza i Etny, zasuszone rośliny i przekroje pni rozmaitych drzew, żuki, pająki, motyle, żaby i żmije, żółwie, nietoperze i krokodyle, szkielety olbrzymich gadów i ssaków, egzotyczne ptaki, wypchane lisy i wilki, kły słoni, małe słoiki z embrionami i wielkie szklane słoje z budzącymi grozę potworami, monstrualnymi płodami, dziećmi o dwóch głowach i włochatych twarzach, hybrydami, w których pomieszały się elementy ludzi i zwierząt.

— Oto bezgranicznie piękna a jednocześnie przerażająca Bogini Natura w całym wielobarwnym bogactwie swoich niezliczonych, tajemniczych, zdumiewających form — mówił Argotti, prowadząc go od gabloty do gabloty i objaśniając najbardziej interesujące okazy.

— Spójrz na ten popiół i kawałki zastygłej lawy. Schyl głowę przed bohaterstwem Empedoklesa i Pliniusza, którzy nie wahali się poświęcić życia dla wydarcia tajemnicy wulkanom. Empedokles, badając Etnę, wpadł w krater i pozostał po nim tylko jeden złoty sandał. Pliniusz — w czasie wybuchu Wezuwiusza — wypłynął z Neapolu w kierunku Pompei i na okręcie został uduszony przez trujące wyziewy wulkanu. Wydzieranie tajemnic przyrodzie nie jest rzeczą łatwą i bezpieczną. Widzisz ten kamień? To był kiedyś ptak, który jak Empedokles chciał poznać tajemnice Etny i oto wybuch przemienił go w kamień.

Vanini był oczarowany tym, co widział. Posiadanie takiego muzeum stało się odtąd jego najgorętszym pragnieniem. Mieć tę cudowną, wielokształtną Boginię we własnym domu i codziennie oglądać jej zadziwiające formy! Wydzierać tej Bogini — jak Empedokles i Pliniusz — jej tajemnice, nawet z narażeniem życia... Cóż może być większym szczęściem?

Argotti wykorzystywał każdą chwilę i każdą okazję dla powiększania jego wiedzy. Nawet kiedy jedli, czynił interesujące uwagi o każdej potrawie; jeśli to była roślina, wyjaśniał gdzie rośnie i jakie czynniki wpływają na jej kształt, formę i smak; opowiadał także o obyczajach spożywanych ptaków, ryb i ssaków.

— To co jemy — mówił Argotti — ma doniosłe znaczenie, ponieważ wywiera wpływ nie tylko na nasze zdrowie, ale również na nasz wygląd, charakter i obyczaje. Ostatnio jadałeś często szpinak i jego soczysta zieleń zmieszana z gorącą czerwoną krwią sprawiła, że twoje włosy poskręcały się i stały się czarne jak smoła. Jadałeś surowe mięso i pod wpływem jego krwawej substancji zacząłeś zaniedbywać praktyki religijne. Posypywałeś potrawy zbyt obficie solą i stałeś się kłótliwy. Jadłeś gorący groch i zaczęły cię dręczyć koszmary senne. Wypiłeś teraz trzecią szklankę wina i serce twoje rozweseliło się — co chwilę wybuchasz głośnym śmiechem. A od pieprzu, rodzynków, wanilii i innych afrodyzjaków rozgrzało ci się nasienie i zaczynasz rozglądać się za dziewczętami. Jesz, jesz, pijesz i sam nie wiedząc o tym, przeobrażasz się w to, co zawierają w sobie spożywane przez ciebie pokarmy. A więc zanim weźmiesz cokolwiek do ust pamiętaj, że jedząc kształtujesz samego siebie, bo każdy pokarm — jeśli go spożyjesz — stanie się substancją twojego ciała. Człowiek przekształca się w to, co je. Oto wczoraj pływała sobie po Zatoce Neapolitańskiej ośmiornica, a teraz trawi ją twój żołądek i to co było jej mackami przetwarza się w twoją krew, w twoje mięśnie, twoje kości — tak jak kiedyś twoje własne ciało stanie się pokarmem i substancją ciała cmentarnych robaków, chyba że...

— Chyba że co?

— Każdy człowiek umiera, ale nie każdy będzie miał chrześcijański pogrzeb i spocznie w poświęconej ziemi. Może okręt, na którym będziesz płynął w dalekie kraje, rozbije się o skałę podwodną, wtedy ciało twoje stanie się pokarmem rekinów, krabów i ośmiornic a to, co dziś jest twoim sercem,

Giulio Cesare Vanini — rysunek Giuseppiny Ponzi z Taurisano

mózgiem, okiem, stanie się łuską ryby, macką mątwy, szczypcami raka. A może pochłonie cię ogień, wtedy nie będziesz miał grobu, a robaki cmentarne nie dostaną twojego ciała na obiad.

— To samo jest z książkami — mówił dalej Argotti, gdy po spożyciu obiadu przeszli do klasztornej biblioteki. — To też strawa, tylko że nie dla ciała, ale dla ducha. Tu na przykład są dzieła pogańskich poetów, Horacego, Owidiusza, Lukrecjusza, o których święty Hieronim powiedział, że są „pokarmem diabelskim". Podobnie pełne szatańskiego jadu są dzieła heretyków i dlatego właśnie Kościół, Matka nasza, w trosce o nasze zdrowie duchowe, zakazuje nam ich czytania. Jeśli je będziesz czytał, to wszystkie zawarte w nich herezje staną się substancją twojej duszy. Od książek, które wybierasz sobie do czytania zależy kim będziesz. Substancja naszego ciała tworzy się z tego, co jemy, a substancja naszéj duszy — z tego, co czytamy.

Bierz przykład z pobożnych ojców karmelitów. Ci, którzy wycieńczają swoje ciało postami i nie zaglądają do innych książek poza brewiarzem, mają dusze wypełnione pobożnością, a straszny los Piotra Pomponacjusza niech będzie dla ciebie ostrzeżeniem...

— A co takiego przytrafiło się Pomponacjuszowi?

— Rozczytywał się całymi latami w dziełach bezbożnego filozofa arabskiego Awerroesa. Dzieła to znakomite, prawdziwy gęsty las wszelakiej wiedzy, ale w tym lesie oprócz malin są wilcze jagody, a oprócz rydzów i borowików są także trujące muchomory i sromotniki. I właśnie w tych wilczych jagodach i sromotnikach — omijanych przez Tomasza z Akwinu — spała sobie przez kilkaset lat dusza Awerroesa. A Pomponacjusz, nie wiedząc o tym, pochłaniał wszystko: i to co zdrowe, i to co trujące. I tak jak jego nauczyciel, Francesco Trapolino, zatruł się na śmierć sałatką z cykuty, którą jego kucharka pomyliła z pietruszką, również Pomponacjusz zatruł na śmierć swoją chrześcijańską duszę a z trujących sromotników przewędrowała w jego ciało bezbożna dusza Awerroesa.

I chodziło sobie odtąd po świecie ciało Pomponacjusza z ukrytą w jego wnętrzu duszą Awerroesa, która w nim zmartwychwstała i zamieszkała na zawsze. I miał Pomponacjusz wielu uczniów, którzy myśleli, że na wykładach przemawia do nich Pomponacjusz, a to ukryty w ciele Pomponacjusza Awerroes zarzucał na nich swoje diabelskie sieci.

O takiej wędrówce dusz opowiadał przedziwne historie starożytny mędrzec Pitagoras. Kiedyś w jazgocie bitego szczenięcia rozpoznał głos swojego przyjaciela, którego dusza z ciała ludzkiego przewędrowała w ciało psa. Inny jego przyjaciel przemienił się w łabędzia.

O filozofie florenckim, Marsyliuszu Ficinie powiadano, że zamieszkała w nim dusza Platona. A o więzionym w lochach neapolitańskiego zamku filozofie Campanelli — tym, który był przywódcą powstania Kalabryjczyków przeciwko Hiszpanom — powiadają, że kiedy przybył do Cosenzy, aby poznać osobiście księcia Bernardina Telesia, trafił na jego pogrzeb. Była noc a ciało Telesia leżało w otwartej trumnie. Campanella, dla którego księgi Telesia były najchętniej i najżarłoczniej spożywaną strawą, ukląkł przy jego trumnie a wtedy dusza Telesia przewędrowała z jego zwłok w ciało Campanelli i w nim zmartwychwstała.

— I w ten sposób książę Telesio poniósł zasłużoną karę za swoje bezbożne książki, trafiając po śmierci do więzienia?

— A tak.

— A czy w tobie, ojcze Bartolomeo, nie zamieszkała przypadkiem dusza Johna Baconthorpa?

— I mnie podobne myśli przychodzą nieraz do głowy — rzekł Argotti — zdarza się bowiem, że kiedy zastanawiam się nad tajemnicami Natury, to tym, kto we mnie myśli, nie jestem ja sam, ale jakby ktoś inny, może właśnie Baconthorp...

Zresztą nie tylko w czasie czytania książek dusze filozofów przedostają się przez nasze oczy do wnętrza naszych ciał. Bywa i tak, że naśladując obyczaje zwierząt przemieniamy się w zwierzęta. Król babiloński Nabuchodonozor naśladował

swoim postępowaniem rozjuszonego byka i któregoś dnia stał się naprawdę bykiem. Pozostało mu wprawdzie ciało człowieka, ale nie było w nim już ludzkiej duszy; miejsce jej zajęła dusza bezrozumnego zwierzęcia.

Był również taki poeta, Angelo Poliziano z Montepulciano, o którym Giambattista Porta powiadał, że w ciele jego zamieszkała dusza nosorożca a stopniowo również i jego twarz zaczęła nabierać podobieństwa do rysów tego zwierzęcia. O, tu właśnie jest książka, w której Porta pokazał to podobieństwo na rysunku. Ja sam znam wielu takich ludzi, którzy mają wprawdzie ciało ludzkie, ale naprawdę jeden z nich jest oślizgłą żabą, drugi pozbawionym rozumu osłem, trzeci tarzającą się w błocie świnią a czwarty złośliwą małpą. Dlatego wierzę tym filozofom, którzy powiadają, że rodzaj ludzki wywodzi się od małp, świń i żab...

Taką małpą, świnią i żabą przyobleczoną w ludzkie ciało był Henryk Sylwiusz — pomyślał Vanini.

Rozdział 4

PADWA 1609—1611. KARMELITA BONAWENTURA GENOCCHI I SPADAJĄCE Z NIEBA ŻABKI

„W Padwie, odziany w cienki habit i trzęsąc się z zimna, przezwyciężałem mróz wewnętrznym żarem ogromnego zapału do zdobywania wiedzy".

Giulio Cesare Vanini

Mając 18 lat, w 1603 r., Vanini wstąpił do zakonu karmelitów, bo karmelitą był jego ukochany nauczyciel, Bartolomeo Argotti. Wstępując do zakonu przybrał sobie to imię, które nadała mu kiedyś ciotka Izabela. Był teraz bratem Gabrielem.

W czerwcu 1606 r. Vanini uzyskał na uniwersytecie neapolitańskim tytuł doktora obojga praw. Ale bardziej od prawa interesowały go nauki przyrodnicze. Marzył o studiach na uniwersytecie padewskim. Trzeba było jednak zdobyć środki finansowe na dalsze studia. Sprzedał więc dom w Ugento za 20 dukatów. Nabywcą był Salentyńczyk Annibale Cavallo. W maju 1608 r. doktor Pomponio Scarciglia z Neapolu kupił od niego kilka skrzyń z prześcieradłami, chustkami, ręcznikami i koszulami, płacąc mu za nie 150 dukatów. Mógł teraz jechać do Padwy i słuchać wykładów sławnego filozofa, Cesare Cremoniniego.

Ale w Padwie trafił na wyjątkowo srogą zimę. Przy czyta-

niu drętwiały mu palce. Cienki habit nie chronił od mrozów. Ale Vanini był szczęśliwy. Trzęsąc się z zimna czuł, że pali się w nim jak ogień umiłowanie wiedzy. Czytane książki przenosiły go w inny świat. Zapominając o jedzeniu i piciu zagłębiał się w problemy nieba i ziemi, powietrza i wody, ludzi i zwierząt, dziejów państwa i religii. Studiował teraz dzieła Cardana, Scaligera, Fernela, Lemmensa, Nifa i Keplera a dla odpoczynku Owidiusza, Horacego, Wergiliusza, Lukrecjusza, Guariniego i Tassa.

W czasie studiów padewskich zaprzyjaźnił się z karmelitą genueńskim Giovannim Battistą Marią Genocchim z Chiavari, zwanym w klasztorze „bratem Bonawenturą", który pisywał wiersze i opowiadał rozmaite ucieszne historie.

— Kiedyś, było to w połowie lipca — mówił Genocchi — wyszedłem sobie na spacer. Niebo było bez chmur, słońce przypiekało, a włosy rozwiewał mi północno-zachodni wiatr. Układałem właśnie w myślach jakiś wiersz, gdy nagle nad horyzontem pojawił się zielony obłoczek. Widziałem rozmaite obłoki, białe, różowe, złotawe, pomarańczowe i fiołkowe, ale o zielonych nigdy nie słyszałem. Przyglądam się więc temu zielonemu obłoczkowi, pędzonemu wiatrem w moją stronę coraz bliżej i bliżej. Wkrótce obłoczek ten znalazł się nad moją głową i wtedy właśnie lunął z niego ciepły, jasnozielony deszcz. A jasnozielony dlatego, że wraz z kroplami spadały z nieba na ziemię i na moje włosy maleńkie, śliczne, jasnozielone żabki.

Od tego czasu, ilekroć ktoś wspominał o jakimś niezwykłym zdarzeniu, którego był naocznym świadkiem, Vanini natychmiast wtrącał:

— Domyślam się, że zdarzyło się to w połowie lipca, wtedy, gdy wraz z lipcowym deszczem spadają z nieba na ziemię jasnozielone żabki.

Mrozy padewskie i nazbyt intensywne studia nadwerężyły zdrowie Vaniniego. Zdarzało się, że musiał przerywać czytanie, bo przed oczami ukazywały mu się drgające złote łańcuszki zasłaniające litery a pulsujący mózg zaczynał rozsadzać

czaszkę. Wtedy Genocchi zabierał go ze sobą do Wenecji. Wsiadali do gondoli, słuchali śpiewu gondolierów i zaczepiali młode Wenecjanki, z których każda wyglądała inaczej.

— To właśnie dzięki tej różnorodności świat jest taki piękny — mówił Vanini, a Genocchi przyznawał mu rację.

Studia padewskie zatruwał obu karmelitom tylko jeden koszmar: surowość i złośliwość generała zakonu, Henryka Sylwiusza. To jego skąpstwo powodowało, że pomieszczenia klasztorne były nie opalane, że brakowało ciepłej odzieży, że karmiono ich wciąż szpinakiem. Pieniądze przeznaczone na utrzymanie klasztoru zabierał dla siebie, gromadząc — wbrew surowym zakazom zakonnym — złoto i kosztowności w swojej prywatnej szkatule.

Spełniali posłusznie jego polecenia, ale przychodziło im to z coraz większą trudnością. Wszystko w nich buntowało się przeciwko tym poleceniom, które odrywały ich od studiów i stały w sprzeczności z ich przekonaniami, na które coraz większy wpływ wywierały wykłady Cremoniniego.

Do jawnego buntu doszło, kiedy na nowo wybuchł konflikt pomiędzy papieżem i Wenecją. Obaj przyjaciele, podobnie jak ich mistrz Cremonini, stanęli po stronie Wenecji, gdy tymczasem Henryk Sylwiusz przywiózł im pisma kardynała Bellarmina skierowane przeciwko Wenecji i kazał im powtarzać jego wywody w kazaniach wygłaszanych do ludu i podburzać lud przeciwko władzom Republiki. Obaj karmelici wygłosili wówczas kazania, tylko że nie przeciwko Republice Weneckiej, ale w jej obronie, piętnując krętactwa Bellarmina. Doniesiono o tym zaraz Henrykowi Sylwiuszowi, który nie posiadając się z wściekłości postanowił surowo ukarać zbuntowanych zakonników.

Genocchi miał być wysłany do więzienia klasztornego w Pizie, a Vanini do więzienia klasztornego w Terra di Lavoro. Przełożeni tych klasztorów mieli ich trzymać do końca życia pod kluczem. Koniec ze studiami. Koniec z podróżami. Puste cele, chleb i woda, włosiennica, modlitwy, pokuta.

Przyjaciele odbyli długą naradę. Nie pozwolą się oddzielić

i zamknąć w oddalonych od siebie klasztorach. Ale dokąd uciekać? U kogo szukać pomocy?

— Wiem! — zawołał nagle Genocchi — w Wenecji jest pani Anna! Czy pamiętasz naszą ostatnią wyprawę na zabawę karnawałową do Wenecji? Ciebie porwała od razu jakaś czarnowłosa Wenecjanka, a mnie, kiedy zostałem sam, zauważyła pewna urocza cudzoziemka w maseczce. Najpierw długo nie chciała mi powiedzieć kim jest, ale później, po wielu kieliszkach wina, opowiedziała mi wszystko o sobie. Jest Angielką, ale jeszcze w Londynie zaczęła się uczyć włoskiego. Uczył ją Giacomo Castelvetro, przebywający jako nauczyciel języka włoskiego na dworze króla angielskiego Jakuba. Ten Castelvetro, którego we wrześniu 1611 r. schwytała i uwięziła święta inkwizycja. Otóż pani Anna jest żoną ambasadora angielskiego w Wenecji, który nazywa się Dudley Carleton i przebywa we Włoszech od 1610 r. Państwo Carletonowie interesują się bardzo starożytną rzeźbą, skupują gdzie się da posągi pogańskich bogów, a jednocześnie marzą o tym, żeby nawrócić kilku młodych Włochów na swoją anglikańską wiarę i wysłać ich do Londynu.

Spędziliśmy wtedy uroczą noc. Ona pozwalała się całować, ja pozwalałem się nawracać i oboje byliśmy bardzo szczęśliwi. Czy nie sądzisz, że warto byłoby poszukać szczęścia w Anglii? Co do mnie, to dla ponownego znalezienia się w objęciach pani Anny, gotów jestem jeszcze dziś przyjąć wiarę Anglików!

Rozdział 5

WENECJA, 6 LUTEGO 1612 R. AMBASADOR ANGIELSKI DUDLEY CARLETON. UCIECZKA Z WŁOCH

„Niesprawiedliwie skrzywdzony przez Henryka Sylwiusza uciekłem do Anglii".

Giulio Cesare Vanini

Ukryci w domku gondoliera, którego dobrze znali z poprzednich wypraw do Wenecji, Vanini i Genocchi zatrzymali się u niego kilka dni, aż wreszcie, 6 lutego 1612 r., o zmroku podpłynęli gondolą pod pałac ambasadora angielskiego w Wenecji, Dudleya Carletona.

— Chcielibyśmy dziś jeszcze wyjechać na zawsze do Anglii — oświadczyli ambasadorowi, który cierpliwie wysłuchał ich opowiadania o niegodziwości Henryka Sylwiusza.

Ale ambasador Carleton ostudził ich zapał.

— To nie takie proste — powiedział — nie ja decyduję o tym, kto może jechać do Anglii. Widzę was po raz pierwszy, nie wiem, czy to, co opowiedzieliście mi jest prawdą. Wiadomo zaś, że papiści wciąż wysyłają do Anglii swoich szpiegów i skrytobójców, którzy chcieliby zamordować naszego króla i przywrócić w Anglii krwawe rządy katolickich biskupów. Spróbuję jednak wam pomóc. Napiszcie zaraz podanie, prośbę o łaskę, aby pozwolono wam osiedlić się w kraju prawdziwej wiary

chrześcijańskiej, a ja zbiorę o was informacje i jeżeli okaże się, że zasługujecie na pomoc, wyślę to wasze podanie do Anglii z listem polecającym do arcybiskupa Abbota. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, przypuszczam, że za miesiąc otrzymam odpowiedź, która zadecyduje o waszym losie. Na razie więc musicie czekać. Oczywiście nie ma mowy o waszym powrocie do Padwy, ani o ukrywaniu się w Wenecji, gdzie wszyscy was znają i gdzie szpiedzy papiescy wytropiliby was w ciągu kilku godzin. Przede wszystkim zaś w sprawę waszej ucieczki do Anglii nie może być wplątana Wenecja, bo kardynał Bellarmino wykorzystałby to zaraz przeciwko władzom Republiki. Najlepiej więc będzie, jeżeli jeszcze dziś w nocy udacie się do Państwa Kościelnego, do Bolonii i tam jako świeccy nauczyciele łaciny, ukryjecie się czekając cierpliwie na wiadomość ode mnie.

* *
*

Zbieranie informacji trwało krótko. Pracownicy ambasady angielskiej od dawna interesowali się konfliktem, który rozwijał się w zakonie karmelitów na tle stosunku do sporu pomiędzy papieżem a Wenecją. Toteż już następnego dnia ambasador Carleton pisał w liście do arcybiskupa Abbota:

Wenecja, dnia 7 lutego 1612 roku

...Dwaj zakonnicy, karmelici, z których jeden pochodzi z królestwa Neapolitańskiego a drugi z Genui, zjawili się u mnie z pokorną supliką, którą do tego listu załączam. Przeprowadziłem z nimi długą rozmowę i zebrałem prócz tego sporo informacji o ich życiu i obyczajach. Stwierdziłem, że są ludźmi wykształconymi i że odznaczają się pobożnością i gorliwością religijną, a ludzie, do których mam zaufanie, potwierdzili ich zacność i uczciwość. Przybyli do mnie z klasztoru w Padwie, skąd generał ich zakonu kazał ich usunąć i odesłać jednego do królestwa neapolitańskiego a drugiego do Pizy,

a to z powodu kontrowersji, ponieważ zajęli inne stanowisko niż on i bardzo zręcznie zwalczali pisma Bellarmina, występując w obronie wolności ludu weneckiego, któremu ostatni interdykt papieski otworzył szeroko oczy na prawdę; lepiej teraz widzą swoje błędy niż ludy innych prowincji włoskich. Otóż karmelici ci sądzą, że gdyby posłusznie wykonali rozkaz swojego przełożonego i udali się do położonych daleko stąd klasztorów, to zagrzebaliby tam te talenty, które otrzymali od Boga w tym celu, aby pomnażali jego chwałę. Dlatego właśnie złożyli pokorną prośbę o wysłanie ich do Anglii, obiecując, że gdy przybędą tam, to pokażą całemu światu, że to co znajduje się w pismach papistów świadczy przeciwko samym papistom. Do spotkania ze mną nie znali oni nikogo, kto by wyznawał naszą religię i nie czytali ani jednego traktatu naszych teologów, znając jedynie te fragmenty, które cytował Bellarmino — stając się w ten sposób narzędziem nieznanych sobie zamiarów Boga. I właśnie słabość kontrargumentów Bellarmina przekonała ich o prawdzie naszej religii. Zaproponowałem im, aby usłuchali rozkazu swego przełożonego i udali się do tych klasztorów, do których zostali skierowani, ponieważ tam mogą być pożyteczniejsi dla sprawy Bożej, jako że tych, którzy znają prawdę jest tutaj mało, a więc głoszenie prawdy będzie tym większą zasługą. Odpowiedzieli, że wprawdzie są gotowi natychmiast przypieczętować krwią swoją wiarę i że nigdy nie odmówią swojej krwi, jeśli tylko zajdzie potrzeba, ale sądzą, że ich obowiązkiem jest rozprawienie się z przeciwnikiem jego własną bronią i udział w burzeniu murów Babilonu, ponieważ lepiej znają jego zepsucie, niż ci, którzy te mury budowali, a dla wykonania tej roboty powinni przynajmniej przez pewien czas znaleźć się w jakimś bezpiecznym miejscu. Gdybym dłużej opierał się tak słusznym racjom, uchybiłbym chyba blaskowi gorliwości Majestatu naszego króla, o którym oni tu nabrali słusznego przekonania, że jako obrońca prawdziwej wiary jest pełen promieniejących łask dla wszystkich tych, którzy do tej prawdziwej wiary się garną. Ustąpiłem więc

i obiecałem im, że udzielę poparcia ich zamiarowi udania się do Anglii, wstawiając się za nimi u tych, od których zależy, czy zostaną przyjęci. Na razie poleciłem im, aby zdjęli habity zakonne i w przebraniu księży świeckich udali się natychmiast do Bolonii, gdzie nikt ich nie zna i tam zajęli się nauczaniem łaciny i sztuk wyzwolonych. Dałem im także trochę pieniędzy, aby mieli z czego żyć do czasu nadejścia odpowiedzi od Waszej Łaskawości, która zadecyduje, czy zostaną oni przyjęci, czy też zabroni im się wstępu do naszego kraju. Co do kosztów ich utrzymania w Anglii, wystarczy im trochę odzieży i wyżywienie, są bowiem ludźmi przyzwyczajonym do surowego trybu życia; obiecałem im, że mogą się o to nie kłopotać; mam zresztą uzasadnione powody przypuszczać, że celem ich nie jest zysk lecz zbawienie. Z podobnymi prośbami zgłaszało się do mnie wiele innych osób, ale po sprawdzeniu dochodziłem do przekonania, że kierowała nimi chęć zysku a nie sumienie. Ci zaś są ludźmi inteligentymi, wykształconymi i sympatycznymi. Średnie wykształcenie zdobyli w szkołach prowadzonych przez jezuitów. Starszy, pochodzący z królestwa neapolitańskiego, jest doktorem obojga praw; uzyskał ten tytuł na uniwersytecie w Neapolu, dziewięć lat temu wstąpił do zakonu a od siedmiu lat jest kaznodzieją; wygłaszał kazania w wielu wielkich miastach, a ostatnio zdobył sobie wiele uznania kazaniami wygłaszanymi w Wenecji. Jego towarzysz jest od niego trochę młodszy i mniej wykształcony, ale osiągał dobre wyniki w nauce, zwłaszcza w językach; jest kaznodzieją od lat trzech i kazania jego podobają się; posiada także uzdolnienia poetyckie. Pozwalam sobie przesłać Waszej Łaskawości napisany przez niego wiersz, ponieważ temat jest godny szacunku. Zarówno suplika jak wiersz zostały przepisane przez inną osobę, a to z powodu obawy, żeby nie wykryto autorów, gdyby list został przejęty. Byłoby rzeczą pożądaną, aby w naszym Królestwie zostało powołane do życia specjalne seminarium dla Włochów — podobnie jak nasi przeciwnicy utworzyli w Rzymie seminarium dla Anglików, aby móc się chwalić liczbą osób, które

przyjęły katolicyzm — albo przynajmniej przeznaczyć jakąś część tych sum, którymi dysponujemy na dobre cele, na zapewnienie utrzymania tym wykształconym Włochom, którzy zdecydują się na opuszczenie Babilonu, jeśli będą wiedzieli, dokąd mogą się udać. Można by zresztą urządzić zbiórkę funduszów na ten cel, a póki takiej placówki nie ma, nie pozostaje mi nic innego, jak odwołać się do szczodrobliwości i ojcowskiej opieki, jakie Wasza Łaskawość okazuje dzieciom Bożym. Tej ojcowskiej opiece polecam gorąco moich dwóch wybrańców, a także i siebie samego, pozostając zawsze pokornym sługą Waszej Łaskawości.

Dudley Carleton

Postscriptum. Proszę Waszą Łaskawość, aby zechciała skorzystać z pomocy szyfranta Lorda Skarbnika dla odczytania imion i stanowisk osób, które polecam. Proszę także o przysłanie odpowiedzi tak szybko, jak to tylko będzie możliwe, ponieważ nie chciałbym, aby owi biedacy cierpieli zbyt długo w niepewności co do swego losu; i abym ja sam wiedział, czy mam ich pozostawić samym sobie, czy też wydać polecenie, aby zabrano ich na nasz okręt. Gdyby przyszło mi czekać na odpowiedź dłużej niż dwa miesiące, na podobną okazję musieliby czekać prawie rok.

•

W miesiąc później arcybiskup Abbot wystosował do ambasadora Carletona następującą odpowiedź:

8 marca 1612 roku

Sprawia mi zawsze wiele przyjemności fakt, że korzysta Pan z każdej okazji, aby informować mnie o nowych sprawach. Tym razem udzielam Panu jednak mego szczególnego błogosławieństwa, ponieważ zwrócił się Pan do mnie właśnie z taką sprawą. Otrzymałem Pański list i wyrażam życzenie, aby

Pańscy dwaj protegowani, którzy złożyli suplikę, zostali jak najszybciej do mnie przysłani. Przekonają się, że Bóg jest wśród nas i że zatroszczymy się o nich. A więc bez żadnych wahań i skrupułów, na skrzydłach orła, niech przybywają tu jak najprędzej. Proszę ich wyekspediować, a resztę pozostawić Bogu i mnie. Zapewniam Pana o mojej życzliwości.

George, arcybiskup Canterbury

Po otrzymaniu tego listu ambasador Carleton wysłał na wszelki wypadek list do swego przyjaciela Johna Chamberlaina, który miał pewne wpływy na dworze króla Jakuba I.

Wenecja, 29 kwietnia 1612 roku

Drogi Panie Chamberlain. Musi Pan cierpliwie znosić to, że Pańscy przyjaciele raz po raz zakłócają Pański spokój różnymi swoimi sprawami. Różnorodność tych spraw powoduje, że spokój, którym Pan się cieszy, staje się dobrem jeszcze cenniejszym. Tym razem chodzi o spełnienie dobrego uczynku, mianowicie o zaopiekowanie się dwoma uczciwymi cudzoziemcami, którzy dotąd nigdy jeszcze nie byli w Anglii i nigdy nie rozmawiali z żadnym Anglikiem poza mną i kilkoma innymi osobami z mojego domu; związali się jednak z nami uczuciowo i umocnili się w naszej wierze. Pozwoliłem więc sobie polecić ich łasce Lorda Arcybiskupa, od którego otrzymałem zapewnienie, że zostaną dobrze przyjęci. Zważywszy jednak na fakt, że cudzoziemcom trudno będzie uzyskać do niego dostęp, zwracam się do Pana z następującą prośbą, aby zechciał Pan osobiście zaprowadzić ich do Arcybiskupa, albo wysłać z nimi jednego ze swoich kapelanów. Ich wyjazd do Anglii odbywa się w największej tajemnicy i przyjęcie ich przez Arcybiskupa również powinno być utrzymane w tajemnicy. To, że znajdując się w głębokich mrokach odkryli sami światło prawdy, jest czymś cudownym, a ponieważ są ludźmi wykształconymi, ży-

wię nadzieję, że ich wiedza przyczyni się do tego, aby prawda naszej wiary jeszcze bardziej jaśniała na cały świat. Jeśli chodzi o ich wygląd i obyczaje, to trudno wymagać czegoś więcej od ludzi, którzy dotąd żyli w klasztorze; ich naiwność jednak wzbudzi, jak sądzę, również i Pańską sympatię do nich, podobnie jak i dla mnie była ona czymś miłym.

O kolejach ich życia dowie się Pan z ich własnych ust, jeśli zaś chodzi o pierwszą audiencję u arcybiskupa, to proszę, aby im Pan pomógł a także, aby udzielał im Pan przyjacielskich wskazówek przy innych okazjach. Byłbym bardzo wdzięczny za wiadomość, jakie wrażenie sprawiło na Panu ich przybycie i jak ich przyjęto. Jeżeli zechcą do mnie napisać list, to proszę przyjąć go od nich i wysłać do mnie. Z wyrazami najlepszych życzeń polecam Pana świętej opiece Bożej.

Dudley Carleton

W dwa tygodnie później Carleton wysłał jeszcze jeden list do arcybiskupa Abbota, zawiadamiając go, że Vanini i Genocchi już są w drodze.

Wenecja, 15 maja 1612 roku

Wielce Czcigodny i najlepszy Panie. Przypuszczam, że mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ten list znajdzie się w ręku Waszej Łaskawości, osoby, którym Wasza Łaskawość obiecała gościnne przyjęcie listem z dnia 8 marca, przybędą zapewne do Anglii. Jedna z nich, natychmiast po otrzymaniu ode mnie wiadomości o łasce, jaką Wasza Łaskawość im okazała, zjawiła się u mnie, pozostawiając na razie swojego chorego towarzysza w Bolonii; jak tylko wyzdrowieje, spotkają się obaj w Mediolanie, a stamtąd poprzez kraj Grizonów udadzą się na północ wzdłuż Renu. Wszystkie koszta ich pobytu w Bolonii, gdzie oczekiwali na odpowiedź Waszej Łaskawości, czy otrzymają zezwolenie na przyjazd do Anglii, wyniosły 30 fun-

tów szterlingów. Pozostawiam do uznania Waszej Łaskawości, czy suma ta zostanie mi zwrócona, czy nie. Ze względu na utrzymanie dobrych stosunków pomiędzy ambasadą naszego Monarchy a Wenecją, byłbym rad, gdyby po ich przybyciu do Anglii rozpuszczono wiadomość, że przybyli oni bezpośrednio z Państwa Kościelnego, bez wspominania o ich pobycie w Wenecji. Wprawdzie Wenecjanie są znacznie mniej papiescy od innych Włochów, ale podobnie jak inni Włosi tkwią w przesądach katolicyzmu i uznano by to za wielki skandal, że nawrócenie na prawdziwą wiarę miało miejsce w ich klasztorze.

Oddany sługa Waszej Łaskawości
Dudley Carleton

Rozdział 6

STRASBURG 1612 r. PRZED PORTRETEM MARCINA LUTRĄ

„Kiedy byłem w Strasburgu, oglądałem portret Marcina Lutra".

Giulio Cesare Vanini

Ucieczka z Włoch do Anglii obfitowała w wiele przygód. Dla zmylenia pogoni ułożyli sobie, za radą ambasadora Carletona, zygzakowatą trasę ucieczki przez północne Włochy, Szwajcarię i księstwa niemieckie, zwiedzając po drodze różne miasta.

Najbardziej utkwiły w pamięci Vaniniego dwa wydarzenia. W Strasburgu drukarz Lazar Zetzner pokazał mu wielki portret Marcina Lutra, drukowane tezy z 1517 r. i dwa horoskopy, z których jeden ułożył dla Lutra Girolamo Cardano, a drugi — Tycho de Brahe.

— A więc tak wyglądał ten zakonnik, który zmienił oblicze świata? Herakles naszej epoki, który odważył się rozpocząć walkę z trójgłowym rzymskim Cerberem i w walce tej nie został pokonany, ale potrafił odłupać od Rzymu pół Europy! Tę Heraklesową moc widać w jego rysach, wyrzeźbionych przez zuchwałą herezję! W tych oczach, w tym czole, w tych ustach wypisany jest jego charakter. Rysy jego twarzy wyznaczyły zadanie, które musiał przed sobą postawić i określiły

z góry zwycięski wynik jego działań... A jaki los zapisany jest w rysach mojej twarzy? — zapytywał samego siebie — jak Luter, rozpocząłem walkę z Rzymem, ale jaki będzie jej wynik? Czy to czego w życiu dokonam będzie tej samej skali co dzieło Lutra?

A może wynik jest z góry wiadomy, wyznaczony przez wielkie koniunkcje i zapisany w moim horoskopie? Może wszystko to, co się dotąd wydarzyło, musiało się wydarzyć? Może to gwiazdy skrzyżowały drogę życia młodziutkiej Beatryczy Lopez de Noguera, z drogą życia starego Giovanniego Battisty Vaniniego, wyznaczając z dokładnością norymberskiego zegara dzień i godzinę mojego poczęcia i narodzin? Może to w gwiazdach było zapisane, że nad moją kołyską śpiewać będzie kołysanki ciotka Izabela? Może było przeznaczone, że spotkam ojca Argottiego i wstąpię do zakonu karmelitów? Może narzędziem gwiazd jest Henryk Sylwiusz, który musiał uczynić to, co uczynił, aby właśnie w nocy z szóstego na siódmego lutego gondola przybiła do progów ambasady angielskiej w Wenecji? Może to gwiazdy kazały Bellarminowi przytaczać wypowiedzi teologów angielskich po to, abym mógł je powtórzyć ambasadorowi Carletonowi i w ten sposób skłonić go do zorganizowania mi ucieczki do Anglii.

I może cały nasz świat, to taki wielki norymberski zegar, w którym inteligencje niebiańskie — jak apulijskie klacze przywiązane do olbrzymich kieratów niebios — obracają tryby praw Natury, a te z kolei wprawiają w ruch wielkie zębate koła, tarcze, trybiki, wyznaczając z góry każdy mój ruch i każde moje spotkanie? Oto gwiazdy przywiodły mnie przed portret Lutra, aby mnie poinformować, że postawione przede mną zadania są większe i jeszcze bardziej doniosłe? Kogo jeszcze gwiazdy postawią na mojej drodze? Jakich przyjaciół? Jakich uczniów? Jakich wrogów? Ile jeszcze lat życia mnie czeka i jaką będę miał śmierć?

*

* *

W kilkanaście dni później dotarli nad brzeg morza. Byli znów w kraju katolickim i okazało się, że dotarła tu już wiadomość o ich ucieczce. Nie było ani chwili do stracenia, a tymczasem rozpoczął się właśnie sztorm i kapitan statku ostrzegał, że podróż może być niebezpieczna.

Genocchi radził ukryć się i czekać na lepszą pogodę. Ale Vanini podjął decyzję:

— Choćby statek nasz miał się roztrzaskać o skały, nie cofnę się.

Kiedy znaleźli się na statku, Genocchi powiedział:

— Ciekaw jestem, kto ci podsunął tę myśl? Anioł Stróż czy diabeł czyhający na naszą zgubę? A może na prawej dłoni masz znak, w którym właśnie ten sztorm przecina linię twojego życia? Albo złowróżbne gwiazdy świecące w marcu nad twoją kołyską, wyznaczyły ci spotkanie ze śmiercią na dnie morza?

— Nie lękaj się — odpowiedział Vanini — statek ten wiezie Juliusza Cezara i jego los. A los ten jeszcze się nie wypełnił.

Rozdział 7

W ANGIELSKIEJ MGLE, LONDYN 1612 R. FRANCIS BACON I DOM SALOMONA

„Arystotelesowi kazał Aleksander Wielki wypłacić sześćset tysięcy sztuk złota, aby opracował *Historię zwierząt*. Mnie żaden Mecenas nie dał nigdy ani grosza na badania naukowe".

Giulio Cesare Vanini

Anglia...
Z gęstej angielskiej mgły wyłoniła się powoli jedna postać, ta jedna, która w tamtym kraju najbardziej go zafascynowała — postać lorda Bacona.

Sir Francis Bacon zaszczycił swoją obecnością uroczystość, w której Vanini — wkrótce po przybyciu do Anglii — był głównym aktorem. Warunkiem zamieszkania w Anglii i uzyskania królewskich łask było publiczne wyrzeczenie się religii katolickiej. Nie czynił tego chętnie, ale nie miał wyboru. Po zatargu z Henrykiem Sylwiuszem pozostawanie we Włoszech oznaczało więzienie. W Anglii obiecywano mu wolność, ale za tę wolność musiał już w pierwszych dniach zapłacić wyrzeczeniem się wolności decydowania o sobie, czyniąc nie to, czego sam chciał, ale to, do czego był zmuszony. Gospodarze nie chcieli czekać, aż sam powoli dojrzeje do przyjęcia wyzna-

Francis Bacon

nia anglikańskiego i akt zerwania z katolicyzmem stanie się wyrazem jego własnego, najgłębszego pragnienia. Nie chcieli czekać, aby naprawdę nawrócił się na ich wiarę, ale domagali się, aby natychmiast — wobec zebranych tłumów — udał jak aktor, że nic go już z katolicyzmem nie łączy.

W rezultacie, właśnie podczas tej uroczystości, poczuł się katolikiem bardziej niż kiedykolwiek przedtem. W czasie sporu Wenecji z papieżem był całym sercem po stronie Wenecji, przeciwko papieżowi, do generała swojego zakonu, Henryka Sylwiusza czuł — rozpłomieniającą go jak żelazo do białości — nienawiść, ale ani jedno, ani drugie nie oznaczało jeszcze odejścia od katolicyzmu. Postawiony przez gospodarzy warunek odczuwał jako upokorzenie. Pięknie zaczyna się ta angielska wolność od zmuszania do odgrywania komedii!

Bacon odgadł od razu, co działo się wówczas w jego sercu. „Cały świat odgrywa komedię" — zacytował mu angielskiego poetę. Ludzie nie chcą prawdy, ale pozorów. Świat chce być oszukiwany. Trzeba zatem dobrze zastanowić się „jakie rzeczy należy ujawnić, jakie zataić, co ukazać w półświetle, komu i kiedy". W tym kraju trzeba się umieć maskować. „Ludzie bowiem są tu bardzo chytrzy, obstawią cię pytaniami, będą cię ciągnąć za język". A milczeć też nie można, bo ludzie będą snuć domysły również z twojego milczenia. Udawanie przynosi wiele korzyści, ale ma też jedną stronę ujemną. Kiedy udajesz, że jesteś kimś innym niż jesteś, wówczas omija cię ten, który okazałby ci pomoc, gdyby wiedział jakim jesteś naprawdę. Udawanie sprawia, że musisz samotnie zdążać do swoich celów.

Ale kto kogo wówczas oszukał? Czy to on oszukał Anglików, udając, że nic go już nie łączy z katolicyzmem, czy też jego oszukano obietnicami, że ta upokarzająca uroczystość otworzy mu drogę do skarbca króla Jakuba i szkatuły arcybiskupa Abbota? Król Jakub daleki był od chęci otwarcia skarbca, wydając polecenie, aby koszta utrzymania obu ekskarmelitów wzięli na siebie arcybiskup Abbot i biskup Yorku,

obaj wyjątkowo skąpi. Zresztą arcybiskup Abbot nie wierzył mu od samego początku i już po kilku dniach polecił swoim szpiegom, aby śledzili każdy jego krok.

Bacon poprosił go do siebie na wielogodzinną rozmowę. Interesowało go żywo wszystko to, co działo się we Włoszech: w polityce, w filozofii, w naukach przyrodniczych. Wypytywał go o wydarzenia, ludzi, odkrycia i wynalazki, dzieląc się własnymi uwagami na temat tego o czym usłyszał. Zainteresował się także jego własnymi planami życiowymi. Zapytał, czego pragnie w życiu najbardziej i czego spodziewa się dla siebie od Anglików.

— Czego najbardziej pragnę? Zawsze przez całe życie pragnąłem najbardziej jednej jedynej rzeczy: zagłębiania się w cudowne tajemnice Przyrody. Mieć wielki dom, pełen osobliwych zbiorów, jak te, które w Neapolu zgromadził Ferrante Imperato; kilka tysięcy ksiąg, setki wypchanych ptaków, ssaków i gadów, gabloty z motylami, zasuszonymi roślinami i wieloma dziwnymi przedmiotami wykopanymi z ziemi lub wydobytymi z dna morza. A do tego szkatułę pełną złota, żeby nie troszczyć się o środki do życia, ale cały czas poświęcić na studia.

— Bardzo to skromne marzenia, ale mimo to nieziszczalne. Nie będziesz tu nigdy miał własnego domu. Dla Anglików zawsze będziesz podejrzanym włoskim przybłędą. Ani król, ani arcybiskup, ani żaden angielski bogacz nie otworzy przed tobą swojej szkatuły. Cóż ich obchodzą twoje studia, twoje marzenia o zgłębianiu tajemnic przyrody? Jaką oni mogą mieć z tego korzyść? Arcybiskup Abbot chce wiedzieć za co płaci, a w ogóle to zawsze chętniej bierze pieniądze niż je daje. Dziś zaprasza cię jeszcze do swego stołu, bo jesteś dla niego dobrym pionkiem w rozgrywce politycznej z papistami. Zbiegły zakonnik z katolickiej Italii wyrzeka się publicznie katolicyzmu, to przecież wielki triumf kościoła anglikańskiego i osobisty sukces arcybiskupa. Ale jutro będziesz — w najlepszym razie — tylko jednym z wielu teologów anglikańskich, któ-

rych jest mnóstwo, a każdy wyciąga rękę po pieniądze. Więc od jutra zaczniesz być uciążliwym natrętem i żałować ci tu będą nawet okruchów z arcybiskupiego stołu.

A marzenia twoje, to marzenia pasterza, któremu wystarcza oglądanie kwiatów na łące i gwiazd na niebie. Czy nie przyszło ci nigdy na myśl, że taka mądrość, która wyrasta jedynie z oglądania przyrody jest mądrością bezużyteczną? A przecież to właśnie twój rodak z południowej Italii, książę Bernardino Telesio napisał — po ukończeniu swego bardzo mądrego, lecz niestety bezużytecznego dzieła o przyrodzie — te słowa: „Nie wystarcza, żeby ludzie stali się bardzo mądrymi, trzeba żeby się stali również bardzo potężnymi". Nie wystarcza oglądanie cudów Natury dla poznania jej tajemnic. Takie oglądanie zaspokaja jedynie próżną ciekawość. Tajemnice trzeba Naturze wydzierać, stawiając dobrze obymyślone pytania i zmuszając — trafnie zaplanowanymi eksperymentami — do udzielania odpowiedzi. A wiedza w ten sposób zdobyta nie jest celem sama dla siebie, lecz tylko środkiem do podporządkowania sobie całej przyrody. Dla ciebie Natura jest boginią, którą uwielbiasz za jej piękno i tajemniczość. A tymczasem powinna ona stać się naszą niewolnicą, służyć nam, pracować na nas i przynosić nam wciąż większe zyski. Tobie wystarcza wiedza, a ja bym chciał, żeby wiedza stała się kluczem do bogactwa i potęgi, żeby uczyniła ludzi prawdziwymi królami świata!

Nie wystarcza oglądać cuda Natury. Trzeba samemu nauczyć się wytwarzania dzieł godnych podziwu, współzawodnicząc z Naturą, tak aby obok cudów Natury i nad cudami Natury wyrastał coraz wspanialszy świat cudownych dzieł człowieka.

Mnie nie wystarcza oglądanie chmur, błyskawic, deszczu i tęczy. Chciałbym sam umieć wytwarzać sztuczne chmury, błyskawice, pioruny, deszcz, śnieg i grad, i ozdabiać niebo wielobarwnymi wstęgami tęcz i zórz polarnych. Nie wystarcza mi słuchanie w górach echa, chciałbym sam wytwarzać

najrozmaitsze echa, głośne i ciche, szybkie i powolne o dowolnej wielokrotności. Nie wystarcza mi zielnik i ogród botaniczny, znajomość wszystkich istniejących na świecie roślin, chciałbym sam wytwarzać nowe gatunki roślin, takie jakich nigdy dotąd nie było. I nowe gatunki zwierząt.

— I jasnozielony deszcz pełen żabek...

— Deszcze zielone, pomarańczowe, purpurowe i szafirowe, w których rodzić się będą owady, ryby, żaby i raki, nie w sposób przypadkowy, ale dokładnie zaplanowany w oparciu o wiedzę, z jakich pierwiastków można daną istotę żywą stworzyć.

Dla ciebie Natura jest boginią i królową, *Dea et Regina,* a ja chcę, żeby królem natury był człowiek, chcę ustanowić prawdziwe królestwo człowieka, *instaurare regnum hominis.* Ty chcesz kontemplować *admiranda Naturae,* a ja chcę tworzyć *admiranda opera hominis,* godne podziwu dzieła człowieka.

Zaprzeczasz? Mówisz, że dla ciebie też najważniejsze są *admiranda opera hominis,* książki, obrazy, posągi. No tak, jesteś przecież Włochem, a wy Włosi w ostatnich dwóch stuleciach wytworzyliście więcej książek, obrazów i posągów niż cała Europa w ciągu ostatniego tysiąca lat. Tylko, że mówiąc o dziełach ludzkich, używamy tych samych słów, a myślimy o czymś innym. Dla mnie najwspanialsze dzieła człowieka to potężne okręty, armaty, maszyny, zakłady przemysłowe, pojazdy przewożące szybko tysiące ludzi po ziemi i ponad ziemią, po wodzie i pod wodą, to ogromne laboratoria, w których człowiek będzie zmuszał wodospady i wichry, aby służyły mu i wykonywały tę pracę, która im zostanie wyznaczona.

Dla ciebie nauka, to twoje samotne rozmyślania o tajemnicach przyrody. Dla mnie nauka, to cała armia uczonych pracujących zgodnie według mądrze ułożonego planu, przeprowadzająca tysiące eksperymentów i dokonująca tysięcy odkryć i wynalazków. Bo to właśnie jest celem prawdziwej nauki:

dokonywanie odkryć i wynalazków ustanawiających władzę człowieka nad przyrodą.

Moje marzenie to zbudować taki potężny Dom Salomona, Dom Mądrości Potężnej, nieustannie rodzącej owoce w postaci użytecznych cudów techniki. Patrz, tu są naszkicowane dokładne plany takiego Domu Miasta, a tu kosztorys, z którego wynika, że ani arcybiskup Abbot, ani król Jakub, ani żaden monarcha na świecie nie ma tyle złota w swoich skarbcach, ile potrzeba dla zbudowania tego tak bardzo potrzebnego i pożytecznego Domu-Fabryki. A gdyby nawet mieli tyle złota, ile potrzebuję, to i tak nie mógłbym go od nich wydostać, bo nie rozumieją i nie zrozumieją nigdy potrzeby lokowania pieniędzy przede wszystkim w rozwój nauki i techniki. I dlatego właśnie konieczna jest całkowita przebudowa porządku politycznego. Cała władza powinna przejść w ręce uczonych, odkrywców, wynalazców, organizatorów badań naukowych.

Dziwisz się, że takie wywrotowe myśli wygłaszam właśnie ja? Zważ jednak, że to stało się już u nas w Anglii tradycją. Od czasów Tomasza Morusa, dostojnicy królestwa angielskiego zajmują się wymyślaniem utopijnych systemów państwowych, bo właśnie oni, stojąc na czele państwa najlepiej zdają sobie sprawę z tego, że jest ono zbudowane w sposób wadliwy. A mogą to robić spokojnie, bo nikt w tym kraju nie bierze ich pomysłów na serio, uważając je za nieszkodliwą zabawę.

Nie słuchasz mnie. Widzę jednak, że zainteresowały cię moje szkice. Czy masz jakieś uwagi do projektu budowy Domu Salomona?

— Jestem teologiem. Nie znam się na maszynach i zakładach przemysłowych, ale o Salomonie coś niecoś słyszałem. Podoba mi się pomysł takiego Domu Mądrości, bo w ogóle któż by nie chciał być Salomonem, najmądrzejszym, najbogatszym i najpotężniejszym ze wszystkich królów? Nie widzę jednak w tych planach pomieszczeń dla jego młodych i pięknych dziewięciuset żon...

Rozdział 8

W ANGIELSKIEJ MGLE. LONDYN, 14 LUTEGO 1613 R. WESELE KSIĘŻNICZKI ANGIELSKIEJ ELŻBIETY Z KSIĘCIEM FRYDERYKIEM, ELEKTOREM PALATYNATU

„Dlaczego tym, co ze wszystkich rzeczy na świecie jest najsłodsze, są pieszczoty miłosne?"

Giulio Cesare Vanini

Obraz Lorda Bacona rozpłynął się w angielskiej mgle, a wraz z nim i pamięć o rozmowie, w której to, co zostało powiedziane, poplątało się z tym, co zostało tylko pomyślane (wówczas i później) w jeden węzeł, którego już nigdy nikt nie rozplącze. Pozostało tylko przekonanie, że „jedna godzina obrócona na rozmowę z nim warta była więcej, aniżeli całe lata poprzedniego życia". Dusza Vaniniego „poczuła się brzemienna w jakoweś myśli, niedojrzałe jednak jeszcze do zrodzenia się na świat".

Plany Domu Salomona, które pokazał mu kanclerz Bacon, wyobraźnia Vaniniego zaczęła uzupełniać ogrodami, w których trzydzieści pałaców, każdy dla trzydziestu najpiękniejszych dziewcząt, stanowiło właśnie owe brakujące pomieszczenia dla 900 żon najmądrzejszego i najpotężniejszego ze wszystkich królów świata.

Zapadł w półsen i w tym półśnie spacerował po tych ogrodach, wstępował do pałaców, przechodząc przez krużganki, salony, łaźnie, sypialnie. To on zbudował te pałace, a wszystko w nich było jego własnością. Był królem Salomonem, najmądrzejszym i najpotężniejszym z królów, a wszystkie dziewczęta — jedna piękniejsza od drugiej — były w nim zakochane. Zaczął się im uważnie przyglądać i rozpoznawać je: Maria, Katarzyna, Elżbieta...

Próbował policzyć ile ich było, ale rachunek wciąż mu się mylił, bo imiona się powtarzały, a ciała i pieszczoty pamiętał lepiej od imion. Nie zapisywał imion, nie prowadził rejestru. Jak się później okazało, rejestr taki prowadził za niego ktoś inny: sekretarz arcybiskupa Abbota, któremu donosiciele składali szczegółowe relacje o każdym jego kroku, kiedy, gdzie i z kim.

Wolał — i to zdecydowanie — Angielki od Anglików. One też, uśmiechnął się do tej myśli, zdecydowanie wolały go od Anglików. Bo i cóż to za porównanie pomiędzy północną, angielską flegmą a jego gorącą, południową, włosko-hiszpańską krwią?

Nazywały go Cezarem, który podbił Wielką Brytanię i któremu żadna Angielka nie może się oprzeć. Nazywały go archaniołem Gabrielem od Zwiastowania Dobrej Nowiny, ponieważ wiedziały, że jako karmelita nosił imię Gabriel. Przynosił im z południa „dobrą nowinę" w postaci nowych, nieznanych pieszczot, rozpraszających angielską mgłę i angielską nudę.

Jak liść porwany przez rwącą rzekę, Vanini pozwalał się nieść temu nowemu rodzajowi życia, jedynemu, które mógł prowadzić w Anglii. Arcybiskup Abbot okazał się równie chciwy i skąpy jak Henryk Sylwiusz. W lichym pokoiku na poddaszu Vanini musiał sam sobie słać łóżko i zamiatać podłogę. Wszyscy Anglicy traktowali go jak podejrzanego przybłędę i żebraka. Włosi z „kolonii nawróconych" widzieli w nim niebezpiecznego konkurenta do łask i zaszczytów, na które dłużej od

niego, lecz równie bezskutecznie czekali; to oni przede wszystkim składali na niego donosy uzupełniane oszczerstwami.

I pomyśleć tylko, że kiedy jechał do Anglii, wierzył głęboko w to, że jak drugi Luter zmieni wkrótce oblicze świata. A tymczasem pobyt w Anglii uczynił go n i k i m. Już na drugi dzień po owej pamiętnej niedzieli, kiedy publicznie zrywał z katolicyzmem, przestał budzić zainteresowanie. Nie widział żadnego pola, na którym mógłby rozwinąć jakąś działalność, wykazać własną wartość. Stopniowo więc doszło do tego, że jedynie w ramionach dziewcząt angielskich odzyskiwał poczucie własnej wartości.

Największą rozkosz sprawiało mu obcowanie z tymi kobietami, które były córkami, siostrami, żonami lub narzeczonymi tych Anglików, którzy publicznie okazywali pogardę „włoskim przybłędom". Pieszczoty wzbogacały się wówczas o smak zemsty będącej rozkoszą godną bogów.

Najbardziej utkwiły mu w pamięci przeżycia z połowy lutego 1613 r. w czasie uroczystości weselnych, kiedy to król angielski Jakub I wydawał swoją córkę, Elżbietę, za księcia niemieckiego, Fryderyka V, elektora Palatynatu. Napracowali się wówczas solidnie z Bonawenturą nad ułożeniem łacińskiego poematu, sławiącego królewskich przodków, cnoty i urodę młodej pary, której szczęście doprowadza do wściekłości trójgłowego Antychrysta, zasiadającego w Rzymie na tronie apostoła Piotra. A ponieważ pochlebstwa zawarte w tym poemacie przekraczały wszelką miarę, dystansując wszystko to, co na ten temat mogli wymyślić Niemcy i Anglicy, więc elektor Fryderyk i księżniczka Elżbieta zapłacili im za ich utwór 10 funtów szterlingów w czystym złocie i zaprosili ich jako uczonych i utalentowanych cudzoziemców na ucztę weselną wydaną dla tysiąca osób.

Po kilku miesiącach pobytu w Anglii, Vanini zaczął się trochę orientować w stosunkach panujących na dworze królewskim. W królu Jakubie widział niebezpiecznego szaleńca, który uroił sobie, że jest największym teologiem wszystkich cza-

sów i że w religii najważniejszą sprawą jest boskość władzy królewskiej. Królowa Anna, będąca katoliczką, doszła do przekonania, że po urodzeniu siedmiorga dzieci spłaciła wszystkie obowiązki wobec korony angielskiej i oddała się swemu ulubionemu zajęciu: przedstawieniom amatorskim, w których — malując całe ciało od stóp do twarzy na czarno — udawała Murzynkę i przekonana, że nikt jej nie poznaje, odsłaniała w czasie tańca piersi i brzuch. Króla to nie obchodziło, ponieważ zainteresowanie jego zaczęli teraz wzbudzać młodzi chłopcy.

Królewicz Henryk, w którym widziano przyszłego króla Anglii, zmarł 6 listopada 1612 r. Następcą tronu został 12-letni książę Karol, który po ojcu odziedziczył przekonanie o swojej boskości i prawie do absolutnych rządów; zaprowadzi go to — jak wiadomo — na szafot.

Córka króla Jakuba, Elżbieta, była na tym dworze jedyną osobą zupełnie normalną z całej rodziny królewskiej. Miała dopiero 16 lat, ale wyglądała na więcej, ponieważ była wysoka, dobrze zbudowana, w pełni rozwinięta, pełna uroku zdrowej, dojrzałej kobiecości. Owalną twarz z zabawnymi dołkami w policzkach okalały długie, ciemne warkocze. Świetnie jeździła na koniu, bardzo lubiła polowania, miała pogodne usposobienie i często się śmiała. Pod kierunkiem lorda Harringtona odebrała staranne wykształcenie: trochę teologii, trochę nauk przyrodniczych i wiele historii, starożytnej i angielskiej. Z całej rodziny ona właśnie była osobą najbardziej lubianą przez mieszkańców Londynu.

Od kilku lat królowie i książęta całej Europy ubiegali się o jej rękę. Starał się o nią 34-letni król hiszpański, Filip III i — za pośrednictwem przebywającego w Anglii księcia Radziwiłła — 17-letni królewicz polski, Władysław, syn Zygmunta III Wazy, i stary książę sabaudzki, Karol Emanuel. Ale arcybiskup George Abbot wybrał dla niej na męża 16-letniego Fryderyka, elektora Palatynatu, sądząc, że to właśnie małżeństwo będzie najbardziej korzystne dla Kościoła Anglikańskiego,

Król angielski, Jakub I Stuart. Portret współczesny, Florencja, Uffizi

wiążąc Anglię z niemieckimi protestantami. W maju 1612 r. Abbot doprowadził do podpisania umowy o małżeństwie, w październiku książę Fryderyk zjawił się w Anglii, w listopadzie odbyły się zaręczyny, a dnia 14 lutego 1613 r. w dzień świętego Walentego — wesele.

O tym weselu tak pisał ambasador wenecki, Antonio Foscarini w liście z dnia 1 marca 1613 r. do weneckiego doży Marcantonia Memmo:

„Od wielu dni w mieście panuje straszny zgiełk hałaśliwego tłumu, słychać ciągle artyleryjskie salwy, fanfary trąb, a na ulicach widać barwne stroje gromadzącej się szlachty, wyrażającej głośno swoją radość. Uroczystości weselne zaczęły się w niedzielę i trwały wiele dni na wodzie i na lądzie. Wiele zamieszania spowodowała sprawa udziału ambasadorów w tych uroczystościach, ale ambasador hiszpański [Alonso de Velasco] rozchorował się, ambasador francuski [Samuel Spifame, Seigneur des Bisseaux] chętnie objął przewodnictwo, no i nie było większych trudności z wykluczeniem ambasadora holenderskiego [Noela de Caron], z powodu braku kompetencji. Wprawdzie ambasador arcyksięcia austriackiego [Alberta] uczynił wszystko, żeby nie dopuścić posła Waszej Ekscelencji do udziału w uroczystościach i napisał w tej sprawie aż dwa listy do króla [Jakuba] z niezwykle gwałtownym protestem, ale nie zdało się to na nic. W ten sposób z łaski Bożej Wasza Ekscelencja została zaproszona i została należycie uhonorowana — w osobie tego, który jest jej oddanym sługą — zarówno w czasie ślubu, jak w czasie uczty weselnej, bankietu, balu maskowego i tych wszystkich uroczystości następnych dni, w których uczestniczyli inni ambasadorowie. Co więcej, król [Jakub], w obecności innych ambasadorów, wyrażał się z najwyższym szacunkiem o Waszej Ekscelencji, tytułując ją „królem weneckim". Słysząc to, inni ambasadorowie również wyrażali się o Waszej Ekscelencji z wielkim szacunkiem i w bardzo gorących słowach potępili postępowanie ambasadora arcyksięcia.

W niedzielę rano, kiedy zjawiłem się na dworze królewskim, [William Cecil] Lord Burleigh zaprowadził mnie do kaplicy, w której gromadzili się ambasadorowie, jedynie ambasador francuski wraz z paniami przeszedł do sąsiedniej komnaty. W godzinę później przybył król [Jakub] z królową [Anną], elektorem [Fryderykiem], księżniczką [Elżbietą] i księciem [Karolem]. Zajęli oni miejsce na bardzo wysokiej trybunie, do której prowadziły podwójne schody, łączące ją z jednej strony z wejściem do kaplicy, a z drugiej z ołtarzem. Wszystko było obite złotym i srebrnym materiałem. Król i królowa zasiedli na wielkich tronach wyścielanych złotą tkaniną. Obok króla stanął [Thomas Howard] Earl of Arundel z mieczem, a dalej elektor [Fryderyk] i książę Wielkiej Brytanii [Karol], którzy usiedli na niższych krzesłach. Z drugiej strony, obok królowej, na takim samym krześle usiadła księżniczka [Elżbieta]. U wejścia do kaplicy po prawej stronie w stallach dla duchowieństwa zajęły miejsca hrabianki, a po lewej hrabiowie. Całą resztę miejsca w kaplicy wypełniło mnóstwo angielskiej szlachty, lordów i dam, ubranych w tak wspaniałe stroje, że aż trudno to sobie wyobrazić. Płaszcz, spodnie i kaftan króla wysadzane były diamentami. Wiele drogich kamieni i bezcennych klejnotów miał na czapce. Królowa miała na włosach diadem z najpiękniejszych na świecie pereł. Na sukniach jej było tyle diamentów, że od całej postaci bił silny blask. Księżniczka [Elżbieta] była cała w złocie i srebrze. Jej długie, czarne włosy były rozpuszczone. Na głowie miała koronę wysadzaną klejnotami i perłami, a na szyi wielką kolię z brylantów. Osiem hrabianek w złotych i srebrnych sukniach niosło jej długi tren, również usiany bezcennymi klejnotami. Podobnie drogie stroje mieli na sobie elektor [Fryderyk] i książę [Karol]. Następnie odśpiewano modlitwy i psalmy, po czym biskup [Bath, James Montague] wygłosił półgodzinne kazanie pełne pochwał pod adresem rodziny królewskiej i młodej pary, życząc wspaniałego potomstwa. Ślubu udzielał młodej parze arcybiskup [George Abbot], biorąc przysięgę, że będą

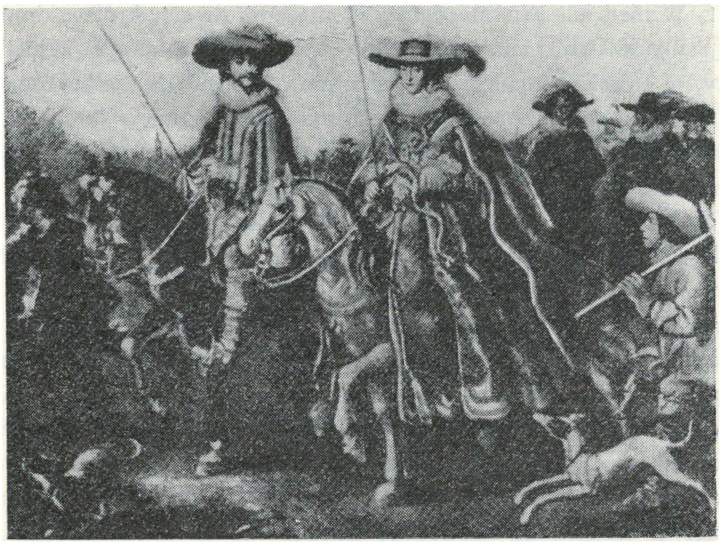

Książę Fryderyk V, elektor Palatynatu i jego małżonka, księżniczka Elżbieta, córka króla angielskiego, Jakuba I

sobie wierni w bogactwie i w biedzie, w zdrowiu i w chorobie, następnie podał im pierścionki, połączył ich i pobłogosławił. Młodzi małżonkowie wrócili na swoje krzesła, a w kaplicy rozległ się hymn śpiewany przez chór przepięknych głosów. Gdy chór umilkł, król dał znak i wtedy wszyscy — krocząc powoli za mistrzem ceremonii — przeszli do wielkiej sali specjalnie przygotowanej na tę uroczystość. Również i ja, przyglądający się dotąd — wraz z ambasadorem francuskim — z drugiej komnaty przez okno, oparty o poduszkę ze złotego brokatu, ceremonii zaślubin, przeszedłem teraz do wielkiej sali, gdzie znajdował się suto zastawiony stół, a na ścianach wisiały obrazy przedstawiające wielkie zwycięstwo Anglii nad hiszpańską armadą z 1588 r. Według krążących tu legend był to prawdziwy cud. Następnie zostaliśmy zaproszeni do galerii królewskiej, gdzie król wyszedł do nas i przez pewien czas z nami rozmawiał. Powiedział między innymi, że ambasador arcyksięcia

Księżniczka Elżbieta, córka króla angielskiego Jakuba I z książki C. P. Hill: Who's who in History, Oxford 1965

[Alberta] przysłał mu przedwczoraj dwa listy, w których uskarżał się na niewłaściwość przyznawania pierwszeństwa ambasadorowi Waszej Ekscelencji, ponieważ jej państwo jest republiką, gdy jego pan jest monarchą i nawet jako książę Burgundii ma większe posiadłości, niż Wasza Ekscelencja. W Rzymie pierwszeństwo jest zawsze przyznawane posłom arcyksięcia, gdy tu ja jestem proszony na wszystkie ceremonie, a jego dotąd nie spotkał żaden zaszczyt. Ponieważ takie postępowanie jest obrazą godności jego pana, więc czuje się zmuszony protestować ustnie i pisemnie. Ale Jego Królewska Wysokość oświadczyła, że ambasador arcyksięcia nie ma racji, ponieważ jego pan nie jest wcale suwerenem Flandrii, która należy do króla hiszpańskiego, lecz tylko gubernatorem tej prowincji. Dodał jeszcze kilka słów, które świadczyły o tym, że niezbyt wysoko ceni arcyksięcia. Potem zaczął mówić o Waszej Ekscelencji z wielką sympatią, wspominając, że dożowie weneccy byli królami Cypru. Dodałem wówczas, że również i dziś są królami Kandii. Król potwierdził to, używając wyrażenia „królowie Krety" i chcąc przez to powiedzieć, że Kreta jest nazwą bardziej znaną i bardziej zaszczytną. Wszystko to miało miejsce w obecności innych ambasadorów. Zwracając się do ambasadora francuskiego król [Jakub] zapytał, co sądzą o pretensjach arcyksięcia we Francji, na co ambasador francuski odpowiedział, że spór ten jest rozstrzygnięty na korzyść Waszej Ekscelencji. Ambasador holenderski dodał, że to wcale nieprawda, jakoby ambasasador arcyksięcia miał pierwszeństwo w Rzymie, a jeśli chodzi o Francję, to również Holandia zażądała dla siebie pierwszeństwa przed arcyksięciem i byłaby je uzyskała gdyby żył król [Henryk IV]. Wielce zadowolony z tej rozmowy wróciłem do wielkiej sali z innymi ambasadorami, którzy składali mi gratulacje. Wkrótce przyszli państwo młodzi z księciem Karolem i zasiedli za stołem. W czasie przyjęcia byłem traktowany z szacunkiem należnym Waszej Ekscelencji. Wieczorem odbyło się piękne przedstawienie w trzech odsłonach. W pierwszej oglądaliśmy pomysłowy taniec gwiazd na niebie, w drugiej tań-

czyły dzieci, a w trzeciej panie i panowie. W przedstawieniu poniedziałkowym pojawiła się Virginia i składała młodej parze życzenia szczęścia i pomyślności. Wtorkowe przedstawienie nie odbyło się i przełożono je na później. Ogromna liczba panów i pań, bogactwo ich strojów i klejnotów sprawiły, że przepych tych uroczystości przewyższył wszystkie oczekiwania. Wydatki jednak były tak ogromne, że mimo ich bogactwa, odczuwać je będą przez dłuższy czas. Również i ja na tę uroczystość sprawiłem moim służącym i woźnicom nową liberię z welwetu przetykanego złotem, a ja sam — zgodnie z obyczajami panującymi na tutejszym dworze — każdego dnia występowałem w innym stroju. Musiałem też kupić nowe konie i wydać wiele bankietów dla najznakomitszych osobistości i w ten sposób nie tylko wyczerpałem całą sumę półtora tysiąca koron, które otrzymałem dzięki łasce Waszej Ekscelencji, ale wydałem znacznie więcej i czekają mnie jeszcze dalsze wydatki. Wszystko jednak, co czyni się dla uświetnienia tego wesela sprawia wielką radość królowi, królowej, księciu i całemu dworowi."

Antonio Foscarini

Urządzona dla uświetnienia wesela bitwa morska na Tamizie kosztowała dziewięć tysięcy funtów szterlingów. Od fajerwerków można było oślepnąć, a od salw artyleryjskich ogłuchnąć. Gości sproszonych na wesele było takie mnóstwo, że dla aktorów, którzy mieli tańczyć, nie można było znaleźć wolnego miejsca. Przedstawienia teatralne, których przygotowaniem zajął się Francis Bacon, były tak długie i nudne, że król zaczął głośno chrapać, a gdy go przebudzono, nie chciał słuchać błagań Bacona i poszedł spać. Nadmiar ludzi, jadła i trunków spowodował tak wielkie zamieszanie, że straż pałacowa przestała panować nad sytuacją. Ale Vanini bawił się doskonale.

Dla uświetnienia wesela poeta angielski John Donne na-

pisał — ku czci Elżbiety i Fryderyka — rozwlekłe *Epithalamion* składające się z 8 sonetów (po funcie szterlingu za sonet). Najuważniej słuchali tego utworu Vanini i Genocchi, aby przekonać się, czy ich utwór jest lepszy. Niestety, nie znali angielskiego i dowiedzieli się o tych sonetach tylko tyle, ile im streścił Włoch, przebywający w Anglii już kilkanaście lat:

— Chwała Ci, biskupie Walenty, którego dzień dzisiaj święcimy, całe powietrze jest twoją diecezją, a wszystkie ptaki są twoimi parafianami...

— No i co dalej?

— Nic, teraz Donne wymienia po kolei różne ptaki: skowronki, gołębie, wróble, szczygły, zimorodki...

— A co te ptaki robią?

— To, co ptaki: latają, ćwierkają, a biskup Walenty kojarzy je w pary. O, uwaga, teraz Donne doszedł do feniksów to znaczy do księżniczki Elżbiety i księcia Fryderyka. Pobłogosławione przez biskupa Walentego feniksy też zaczynają się parzyć. Teraz Donne opisuje różaną pierś feniksa rodzaju żeńskiego.

— To chyba będzie lepszy wiersz od naszego.

— Już skończyło się o ptakach, teraz Donne zaczyna wyliczać drogie kamienie, rubiny i diamenty, w których Panna Młoda wygląda jak gwiazdozbiór na błękitnym prześcieradle nieba. A teraz wzywa druhny, żeby rozebrały Pannę Młodą z królewskich szat, bo jak Prawda, tak i Elżbieta najlepsza jest naga.

Vanini bawił się doskonale.

Rozdział 9

W ANGIELSKIEJ MGLE, LONDYN, LUTY 1613 R. SPOWIEDNIK GIROLAMO MORAVI

„Kiedy przebywałem w Londynie, spowiednikiem moim był najlepszy i najbardziej uczony człowiek, Girolamo Moravi, kapelan ambasadora weneckiego w Wielkiej Brytanii".

Giulio Cesare Vanini

Uczta była istotnie wspaniała. Gorące wino i zimne angielskie piwo lało się strumieniami. A kilkanaście najpiękniejszych dziewcząt otoczyło Vaniniego, wyrażając głośno zachwyty nad jego czarnymi, kręconymi włosami, orlim nosem, płonącymi oczami i hiszpańską bródką. Dolewały mu wciąż wina, tuliły się do niego i całowały go, a było ich tyle, że zakręciło mu się w głowie jak na karuzeli. I wtedy właśnie czuł się — jeden jedyny raz w życiu — Salomonem wśród dziewięciuset młodych, pięknych i zakochanych w nim żon. Chciał, żeby ta karuzela uśmiechniętych dziewczęcych twarzy nie przestała się nigdy kręcić — bo to przez tę różnorodność właśnie świat jest taki piękny! — żeby ich pocałunkom, pieszczotom i szeptom miłosnym nigdy nie było końca, chyba że...

Chyba że jakaś jedna, właśnie ta najpiękniejsza, najbar-

dziej pożądana, najbardziej tajemnicza przerwałaby tę całą karuzelę cicho wszeptanymi w ucho słowami: „Chodź do mnie".

Otóż tak właśnie stało się tamtej nocy. Dwaj Włosi, którzy zapewniali go o swej przyjaźni (a byli szpiegami arcybiskupa Abbota) zwalili się pijani pod stół, karuzela z angielskimi dziewczętami krążyła coraz szybciej i nagle wśród ich jasnowłosych twarzyczek pojawiła się raz i drugi niepodobna do nich, czarnowłosa i czarnooka — właśnie ta oczekiwana, najpiękniejsza. I kiedy one na przemian całowały go, ona z daleka wezwała go nie znoszącym sprzeciwu spojrzeniem, a kiedy uwolnił się od nich i podszedł do niej szepnęła słowa, na które czekał: „Chodź do mnie".

Wypowiedziała te słowa po włosku. Nie była Angielką, lecz Włoszką, Wenecjanką, a na imię miała Miranda.

— Ale pamiętaj, jeśli ci życie miłe, nikt nigdy nie może się dowiedzieć, że tę noc spędziłeś ze mną. Mów, że wzięła cię do siebie jakaś ruda Angielka, Elżbieta czy Katarzyna.

Nie była to zresztą noc, bo kiedy doszli do jej mieszkania (potem okazało się, że nie było to wcale jej mieszkanie) już zaczynało świtać. Noc zapadła dopiero wówczas, gdy się przebudził. A właściwie przebudziło go czyjeś spojrzenie. W pokoju stał jakiś ubrany na czarno mężczyzna i wpatrywał się w niego tak uporczywie, jakby go dotykał ostrzem szpady. Mirandy nie było. Najwidoczniej wstała i wyszła z pokoju, kiedy spał.

— Zbudź się wreszcie — powiedział nieznajomy mężczyzna po włosku — zbudź się i słuchaj mnie uważnie, a sam nie mów nic. Jestem Włochem, księdzem, tak jak ty. Nazywam się Moravi. A o naszym spotkaniu nikt nie może się dowiedzieć. Bo jeżeli arcybiskup Abbot dowie się, że ze mną rozmawiałeś, zapłacisz za to życiem. Wiem o tobie wszystko. O twojej rodzinie w Taurisano, o twoich studiach w Neapolu i Padwie, o twoim zatargu z ojcem Henrykiem Sylwiuszem i o twojej ucieczce z Włoch do Anglii, a także o tym wszy-

stkim, co tu wyczyniasz. I dlatego mówię ci: Zbudź się wreszcie.

— Już nie śpię...

— Śpisz! Pogrążony jesteś w głębokim śnie, bo nie wiesz, co czynisz. Śpisz, dlatego, że usnęło w tobie twoje sumienie i zapomniałeś kim jesteś.

— Kim jestem? Chciałbym to wiedzieć. Czy byłem sobą tam, w Neapolu i w Padwie, czy dopiero teraz tu w Anglii wyszło na jaw, jakim jestem naprawdę?

— Po to właśnie przyszedłem, żeby ci pomóc rozwikłać to, co cię dręczy. Może to właśnie mnie wybrał Bóg, abym ci dopomógł odnaleźć samego siebie. Pogrążony jesteś w głębokim śnie, w trzęsawisku straszliwych grzechów. Przyszedłem cię zbudzić, wstrząsnąć twoim sumieniem, dopomóc ci w wydobyciu się z bagna, w którym toniesz. Otwórz przede mną swoje serce, a może Bóg ci przebaczy. Ubierz się, obok jest kaplica i konfesjonał. Myślałeś, że jesteś w domu rozpusty, ale trafiłeś do domu Boga. Myślałeś, że w Anglii będziesz naprawdę sobą, a tymczasem musisz tu udawać kogoś innego, przybierając maskę sprzeciwiającą się twojej naturze. Myślałeś, że w Anglii będziesz wolny, a tymczasem wpadłeś jak mucha w pajęczynę i nie wiesz, jak się z tej sieci wyplątać. Wracaj do Włoch, tam jest twoje miejsce, tam nie będziesz uważany za przybłędę.

— Tęsknię do Włoch, ale powrócić nie mogę. Henryk Sylwiusz...

— Nieposłuszeństwo wobec przełożonych, nienawiść do ojca Henryka Sylwiusza to sprawa rzeczywiście poważna. Niełatwo cię będzie z tego rozgrzeszyć, ale wiem, że spór między wami dotyczył Wenecji, a jako Wenecjanin potrafię ocenić, że stanąłeś odważnie po naszej stronie. Wie o tym również mój pan, ambasador wenecki w Londynie, Antonio Foscarini, u którego jestem kapelanem, ale to cudzołożnik i heretyk, więc na jego pomoc nie możesz liczyć. Tylko ja jeden mogę ci dopomóc w wydostaniu się z angielskich sideł. Mam zresztą dla

ciebie wiadomość, że główna przeszkoda powstrzymująca cię od powrotu do Włoch już nie istnieje. Dnia 14 września zeszłego roku — a więc pięć miesięcy temu — Pan powołał do swojej chwały ojca Henryka Sylwiusza... Pohamuj swoją radość, nieszczęsny. Nie dorzucaj jeszcze jednego śmiertelnego grzechu do tych, które już całkowicie wystarczą, żebyś do końca świata nie wydostał się z głębi piekieł... Ale ubieraj się szybko. Czytam w twoich myślach, że tym, czego ci w tej chwili najbardziej potrzeba, jest szczera spowiedź.

Spowiedź trwała wiele godzin. Moravi wstawał, wychodził z konfesjonału i spacerował po kaplicy, przerywając Vaniniemu własnymi uwagami i rozważaniami.

— Nie opowiadaj mi tu o dziewczętach angielskich, bo i tak nie uwierzę w twoją skruchę i obietnicę poprawy. To nie spowiedź, ale pogańskie przechwalanie się ciałem. Zresztą za te wszystkie angielskie dziewczęta wystawi ci rachunek arcybiskup Abbot, który prowadzi dokładny rejestr twoich cielesnych grzechów. Czasu jest mało, więc mów o grzechach najcięższych, tych, które popełniłeś nie swoim ciałem, lecz duchem.

Wyrzeczenie się katolickiej wiary, o to właśnie chodzi, to jest najcięższy ze wszystkich twoich grzechów. Z tego grzechu nie mogę cię rozgrzeszyć ani ja, ani nawet biskup, ale tylko sama Jego Świątobliwość, Ojciec Święty. Nie trać jednak nadziei, bo łaska Ojca Świętego jest niewyczerpana, jeśli tylko będziesz szczerze żałował, to może uda ci się uzyskać przebaczenie i zgodę Jego Świątobliwości, abyś został z powrotem przyjęty na łono katolickiego Kościoła.

Zastanów się dobrze, czy pozostało ci jeszcze coś innego, niż prosić pokornie Ojca Świętego o przebaczenie. Nie masz przecież innego wyjścia. Zdajesz sobie już chyba sprawę, że tu w Anglii nie dostaniesz żadnego stanowiska odpowiadającego twojemu urodzeniu, wykształceniu i umiejętnościom. Traktują cię i zawsze traktować cię będą jak intruza, natręta, żebraka i przybłędę, albo co gorsza, jak ukrytego katolika

i hiszpańskiego szpiega. Unikaj jak ognia ambasady hiszpańskiej, bo gdy cię tylko przyłapią na rozmowie z Hiszpanami, wtrącą do więzienia i skończysz na szubienicy albo na ciężkich robotach w koloniach. Porozumiewać się z Hiszpanami możesz tylko za moim pośrednictwem. Ambasador hiszpański Don Alonso de Velasco interesuje się tobą, wie, że jesteś poddanym króla hiszpańskiego i że w żyłach twoich — po matce — płynie krew hiszpańskich hidalgów, a ponadto otrzymał polecenie z bardzo wysoka, od siostry wszechpotężnego księcia Lermy, hrabiny Cataliny Sandoval — którą prosił o to jej syn, Francisco, książę Taurisano — aby dopomóc ci w wydostaniu się z tych sieci, w które sam nieopatrznie zaplątałeś się.

A czasu wiele nie ma. Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, że nadciąga straszliwa, wieloletnia wojna, której płomienie ogarną całą Europę? Naprzeciwko siebie staną Północ i Południe. Oto wczoraj sam brałeś udział w uroczystościach weselnych, na które razem ze swoim przyjacielem przygotowaliście nędzne i bezwstydne wierszydła. Złowróżbne to wesele — podobne do pochodni podpalającej dom! Król angielski Jakub — niepomny, że Anglicy zamordowali jego matkę, świętą męczennicę wierną katolicyzmowi, Marię Stuart — planuje wielką wyprawę wojenną, mającą na celu zniszczenie Kościoła katolickiego w całej Europie. Wydał swoją córkę, Elżbietę za księcia Fryderyka, elektora Palatynatu, licząc na to, że po śmierci cesarza Macieja, ten Pfalzgraf, będący przywódcą wszystkich heretyków niemieckich, zostanie cesarzem. Wtedy połączone armie Anglii i Cesarstwa runą przez Francję na Hiszpanię i Włochy, aby zniszczyć katolicyzm i złupić kościoły, klasztory i pałace. Marzą o tym, aby po stu latach powtórzyć zbrodnicze Sacco di Roma. Marzy im się także Sacco di Venezia i Sacco di Napoli — ograbią i zniszczą wszystko, co kochasz, uczynią Włochów niewolnikami barbarzyńców, pijanych Niemców i perfidnych Anglików. A ty gdzie wtedy będziesz? W orszaku sług najeźdźcy twojego kraju? Wybieraj, zanim będzie za późno!

— Nie wszyscy Anglicy są barbarzyńcami — wtrącił Vanini — był kiedyś kanclerzem Anglii miłośnik Muz, humanista Tomasz More.

— Z rozkazu króla heretyka kat ściął temu szlachetnemu mężowi głowę toporem. More był męczennikiem świętej sprawy, bronił związku Anglii z Rzymem, z Italią, z odrodzeniem literatury, poezji, sztuki i nauk. Żył wśród dzieł filozofów i poetów, i oddał życie za te dzieła. Czy nie wolałbyś takiej pięknej, męczeńskiej śmierci, wśród dzieł i za dzieła, od żywienia się okruchami z pogańskiego stołu heretyka Abbota?

Moravi umilkł i powoli rozpłynął się w angielskiej mgle, z której wyjrzała teraz groźna twarz rozgniewanego starca, arcybiskupa Canterbury, Abbota.

Rozdział 10

W ANGIELSKIEJ MGLE 1613—1614. ARCYBISKUP ABBOT. UCIECZKA Z LONDYŃSKIEGO WIĘZIENIA

„Wtrącony do londyńskiego więzienia, gdzie jako męczennik chrześcijański przebywałem 49 dni, ogarnięty byłem płomiennym pragnieniem złożenia daniny z własnej krwi w obronie autorytetu Kościoła Katolickiego".

Giulio Cesare Vanini

— Jak ci się mieszka w Lambeth? — zapytał Genocchi Vaniniego.

— Arcybiskup dał mi miotłę, żebym sam sobie zamiatał swój pokój. Karmi mnie rybami i opowiadaniami o wielkiej rybie, która połknęła proroka Jonasza. Wyobraź sobie, że Jonasz to jego ulubiony prorok i że do 48 wersetów Księgi Jonasza napisał komentarz w postaci 30 kazań liczących łącznie 638 stron. Codziennie, wczesnym rankiem, kiedy jeszcze gwiazdy nie zdążą zblednąć, uderza pięścią w drzwi mojego pokoju i jak sternik z Księgi Jonasza woła wielkim głosem: „Co ty tak twardo śpisz? Wstań, wzywaj Boga — Jonasz, rozdział 1, wiersz 6". Kilka lat temu był wicekanclerzem uniwersytetu w Oksfordzie. Wsławił się tam paleniem obrazów przedstawiających ukrzyżowanie, a 140 studentów wtrącił do więzienia

za to, że słuchali jego kazania o Jonaszu na siedząco i w kapeluszach. Dwa lata temu kupił sobie godność arcybiskupa kantuareńskiego płacąc za nią 2 tysiące 682 funty szterlingi. Działalność arcybiskupią rozpoczął w sposób chwalebny od wytoczenia procesu Bartłomiejowi Legatowi, którego kazał torturować, a następnie spalić na stosie. Głównym jego zajęciem jest organizowanie intryg politycznych. Zauważyłeś pewnie, że na dworze królewskim są dwie wielkie partie. Na czele pierwszej partii stoją trzej Howardowie: Henry Howard, Earl of Northampton, Thomas Howard, Earl of Suffolk i Charles Howard, Earl of Nottingham, którzy sądzą, że małżeństwo królewicza Karola z infantką hiszpańską, za którą król Jakub otrzymałby posag w wysokości miliona funtów szterlingów opromieniłoby złotym blaskiem tron angielski a z króla angielskiego uczyniło największą potęgę Europy, arbitra politycznych sporów pomiędzy państwami europejskimi. Na czele drugiej partii stoją Lord Ellesmere, Earl of Pembroke, Earl of Southampton, Sir Thomas Lake i arcybiskup Abbot. Dziełem Abbota było wydanie Elżbiety za Fryderyka i związanie w ten sposób Anglii z niemieckimi protestantami. Król waha się pomiędzy obiema partiami, ale największy wpływ wywiera na niego kochanek córki Suffolka, Lady Frances Howard, Robert Carr, wicehrabia Rochester. Lady Frances jest żoną Earla Essexa, ale żyje z Robertem Carrem. Otóż szatański plan arcybiskupa Abbota, którego król chce zmusić do zgody na udzielenie rozwodu Lady Frances z Essexem, polega na tym, żeby skompromitować i zniszczyć „cudzołożników"; uderzając w córkę, zadać cios Thomasowi Howardowi, a faworyta królewskiego Carra, należącego do partii Howardów, zastąpić jakimś innym młodym człowiekiem, który byłby posłusznym pionkiem partii Abbota. Ma już nawet kandydata na to stanowisko, jest nim piękny jak Antinous student George Villiers. Najzabawniejsze jest to, że do podsunięcia tego chłopaka królowi, arcybiskup chce skłonić królową Annę.

— Czy królowa Anna jest katoliczką?

— Tak, ale arcybiskup Abbot pracuje usilnie nad jej nawróceniem. Opowiadał mi, że po jednej uczcie, kiedy od nadmiaru wina i piwa dostała ataku wątroby i myślała, że już umiera, został wezwany do jej łoża i przeprowadził z nią decydującą rozmowę, uzyskując następujące trzy odpowiedzi na zadane jej pytania:

— Wkrótce staniesz przed Bogiem, czy liczysz na wstawiennictwo świętych?

— Nie, ojcze, rezygnuję z ich orędownictwa.

— A zatem liczysz na swoje własne zasługi?

— Moje dobre uczynki nie mają żadnego znaczenia.

— Na cóż więc liczysz?

— Zdaję się całkowicie na łaskę mojego Zbawiciela Jezusa Chrystusa.

Usłyszawszy te trzy odpowiedzi arcybiskup Abbot uznał, że królowa wyrzekła się katolicyzmu i stała się prawowierną anglikanką, toteż udzielił jej rozgrzeszenia i namaścił ją olejami świętymi, aby mogła stanąć przed Bogiem jako owieczka z jego owczarni. Ale po kilku dniach bóle minęły i królowa o wszystkim zapomniała.

— A co będzie z nami?

— Szczerze mówiąc, mam już zupełnie dość ścielenia sobie łóżka i chodzenia z miotłą po pokoju, jedzenia ryb, picia angielskiego piwa i słuchania kazań arcybiskupa Abbota. A od czytania dzieł teologów anglikańskich zbiera mi się na wymioty.

— No to kiedy wracamy na kontynent?

— Jak tylko nadejdzie odpowiedź z Rzymu, że papież Paweł V przebacza nam i gotów jest przyjąć nas z powrotem na łono Kościoła katolickiego.

— Ale jak się stąd wydostaniemy?

* *
*

— Tak, to z mojego polecenia skuto ci łańcuchami ręce i nogi, z mojego polecenia wtrącono cię do ciemnego lochu. Dobrzy chrześcijanie donieśli mi jak spędzasz czas, który miałeś poświęcić na posty, modlitwy i zgłębianie dzieł angielskich teologów. Jesteś bezwstydnym rozpustnikiem, wszetecznikiem i fornikatorem. Oto zeznania niewinnych dziewic i czcigodnych matron, których łoża splamiłeś, zhańbiłeś, zbrukałeś swoją ohydną żądzą. Jak dzikie zwierzę wdzierałeś się do cudzych sypialni i tarzałeś się na czystych łożach, uczyłeś nieprzystojnych, niezgodnych z naturą pieszczot, przemieniając uczciwe kobiety w rozpustnice, cudzołożnice, nierządnice!

Są i dowody rzeczowe — grzmiał arcybiskup Abbot. — Moi słudzy otworzyli z mojego rozkazu twoje kufry i zbadali ich zawartość. Nie było w nich książek do modlitwy ani traktatów teologicznych, ale Machiavelli i Aretino, bezbożni włoscy papiści. Twoje wyrzeczenie się błędów papizmu było udane, w głębi duszy pozostałeś papistą, rzymskim katolikiem, rozpustnym Włochem, uczniem Machiavellego i Aretina!

Mam także twoje listy, w których — dając dowody czarnej niewdzięczności za otrzymane dobrodziejstwa — skarżysz się na mnie lordowi Chamberlainowi i ambasadorowi Carletonowi, że za mało ci daję pieniędzy i że sam musisz sobie słać łóżko, i sprzątać własny pokój. Myślałeś sobie pewnie, że do puchowej pościeli każę ci sprowadzać najdroższe londyńskie kurtyzany.

Wszyscy jesteście jednakowi — przeklęte włoskie przybłędy. Pamiętam dobrze takiego jednego Włocha, też teologa i filozofa jak ty. Nazywał się Giordano Bruno z Noli. Też papista i wielki fornikator a przy tym tajny agent króla francuskiego Henryka, którego chciał ożenić z naszą królową i osadzić na angielskim tronie.

Są poszlaki, że i ty jesteś tajnym agentem Hiszpanii. Doniesiono mi o twoich tajemnych spotkaniach z papistami. Wyśpiewasz nam to wszystko na torturach. Mamy tu stare, dobrze wypróbowane narzędzia tortur i sporo nowych, sprowadzonych

George Abbot, arcybiskup Canterbury. Portret z londyńskiej National Portrait Gallery z książki Paul A. Welsby: George Abbot the Unwanted Archbishop, London 1962

z Norymbergi. Zapoznasz się z nimi, jeśli zechcesz ukrywać prawdę.

A teraz przyznaj się. Czy to prawda, że twoje nawrócenie się na naszą wiarę było udane i że w głębi duszy pozostałeś katolikiem?

— Tak, to prawda.

— I czego się teraz spodziewasz, nieszczęsny?

— Pragnę męczeńskiej śmierci za świętą katolicką wiarę — — —

* *
*

Czekał na tę śmierć 49 dni. Ostatniego dnia dowiedział się, że król Jakub I podpisał wyrok. Nie była to jednak kara śmierci, lecz zesłanie na wyspy Bermudy, z których nie powrócił jeszcze żaden zesłaniec. Miał tam umierać powoli, przez wiele miesięcy, pod batem dozorcy ciężkich robót.

Tego samego dnia dostał od przekupionego strażnika pilnik, nóż i wiadomość, że o północy czekać będą pod wieżą więzienną konie. Pociął prześcieradła, związał je w jeden długi pas i kiedy usłyszał rżenie koni opuścił się z wieży na dół. Tam czekali na niego wysłannicy ambasadora hiszpańskiego, z którymi pogalopował nad brzeg morza. Przygotowana łódź odpłynęła z nim w kierunku Belgii.

Całej ucieczce przyglądali się z ukrycia wysłannicy króla Jakuba, dla którego ucieczka Vaniniego była najbardziej korzystnym zakończeniem wszystkich związanych z jego osobą kłopotów.

Opuszczając Anglię Vanini nie czuł do niej żadnego żalu. Gdyby nie starcze, złośliwe skąpstwo arcybiskupa Abbota, które szybko rozwiało jego nadzieje na rozpoczęcie tu prawdziwego życia, uważałby pobyt w Anglii za niezwykle miłą przygodę. Dziewczęta angielskie były naprawdę urocze, a Wenecjanka Miranda umiejętnie koiła jego tęsknotę za włoskim niebem.

Był na audiencji u króla, był na weselu księcia Fryderyka, poznał największego z angielskich filozofów, a 49 dni angielskiego więzienia — prześladowania za wiarę — to był niezwykle cenny kapitał, z którym można było rozpoczynać nowy etap życia.

Tym razem, po 182 dniach więzienia w Tuluzie, żaden ambasador, ani angielski, ani hiszpański, nie pomoże mu. Nikt nie przekupi strażnika, żeby dał mu pilnik i nóż. I nie usłyszy rżenia koni przynoszących mu wolność. I nie rozpocznie jutro nowego życia, bo żadnego jutra nie będzie, chyba że...

Chyba, że kiedyś, przed sprawiedliwym trybunałem Potomności, ktoś policzy jego dni spędzone w więzieniu Tuluzy i uzna, że było to męczeństwo za piękną i słuszną sprawę.

* *
*

Po ucieczce Vaniniego z Anglii, arcybiskup Abbot napisał do ambasadora Carletona długi list, w którym wyjaśniał mu, co się stało:

Lambeth, dnia 16 marca 1614 roku

Otrzymałem Pański list z dnia 28 lutego, który w postaci nienaruszonej dotarł do moich rąk i dowiedziałem się z niego o tym — co wcześniej już słyszałem z ust samego Króla — że Sir Thomas Lake poinformował Pana o złym obrocie, jaki przybrały sprawy obu włoskich zakonników...

Jeszcze w zeszłym roku informowano mnie, że starszy z nich wysyła potajemnie listy do Rzymu, ale nie chciałem temu wierzyć. Urządzeni tu byli bowiem w sposób następujący. Najpierw, przez dwa miesiące przebywali obaj w moim domu w Lambeth. Mieli tu mieszkanie, odzież i wyżywienie, wszystko na mój koszt. Młodszemu zapewniliśmy możliwość studiowania w Oksfordzie, gdzie miałby mieszkanie, wyżywienie

i wszystko to, co potrzebne do studiów, ale on wolał zamieszkać w pałacu Lorda Arcybiskupa Yorku, który dawał mu pieniądze i pełne utrzymanie. Mieszkał tam przeszło rok, uczęszczając w tym czasie na nabożeństwa i przyjmując komunię. Wydrukował także książeczkę z własnymi wierszami, ułożonymi na wesele księcia elektora Palatynatu, w których to wierszach nazwał papieża Antychrystem. Po roku wyraził życzenie powrotu do Londynu, twierdząc, że zamierza wydrukować następną książkę i zwrócił się z prośbą do samego Króla... Wkrótce potem rozchorował się i leżał w jednym z prywatnych domów w Londynie, gdzie zapewniliśmy mu opiekę lekarza a jego przyjacielowi dawaliśmy wiele pieniędzy, aby się o niego troszczył. Na prośbę obu tych Włochów, którzy chcieli być razem, zgodziłem się, aby również i młodszy zamieszkał w Lambeth. Znaleźliśmy więc dla niego mieszkanie w przyzwoitym domu i był na moim utrzymaniu aż do samego wyjazdu z Anglii.

Starszy od samego początku do końca mieszkał w moim domu, jadał przy moim stole, chyba że nie było miejsca, wtedy jadał razem ze służbą. Otrzymał także meble do swojego pokoju i pościel zarówno w Lambeth jak w Croydon, dokąd zabierałem go ze sobą na lato. Poza mieszkaniem, wyżywieniem i piciem obaj otrzymywali ode mnie wysokie sumy pieniężne na drobne wydatki, co wyniosło przeszło 55 funtów szterlingów, nie licząc tych sum, które młodszy otrzymał od pana arcybiskupa Yorku, nie licząc 120 funtów szterlingów, które otrzymali przy innych okazjach, jak to wynika z dokładnie prowadzonych rachunków. Kiedy mieszkał u mnie, uczęszczał na nabożeństwa, przyjmował dwa lub trzy razy komunię w mojej kaplicy i wielokrotnie wygłaszał kazania w Kościele Włochów w Londynie, zwłaszcza na samym początku, podobnie zresztą jak i jego przyjaciel.

Przed Bożym Narodzeniem wyraziłem zgodę na jego wyjazd do Cambridge, gdzie otrzymał bardzo wiele pieniędzy. Po Bożym Narodzeniu pozwoliłem mu na wyjazd do Oksfordu, gdzie ofiarowano mu jeszcze więcej pieniędzy. No i tam właśnie

w rozmowie z pewnym człowiekiem, który niegdyś był katolickim księdzem i żył wiele lat we Włoszech, wyznał, że w pewnej mierze pozostał papistą i nosi się z zamiarem ucieczki z naszego królestwa. Również i kilka innych osób słyszało od niego podobne rzeczy; nie powstrzymał się przy tym od pewnych wyrażeń świadczących o braku szacunku dla naszego Króla, a także o braku szacunku dla mojej osoby; pozwolił sobie nawet na wiele kłamstw, twierdząc, że nie wywiązuję się ze zobowiązania utrzymywania go. Kiedy się o tym wszystkim dowiedziałem, a zeznania świadków zostały mi doręczone na piśmie, postanowiłem ich przesłuchać, zwłaszcza, że przenieśli oni już po kryjomu znaczną część swoich rzeczy z mojego domu w inne miejsce, przygotowując się do ucieczki.

W czasie pierwszego przesłuchania potwierdzili swoje przywiązanie do naszej religii i stanowczo zaprzeczyli, jakoby zamierzali uciekać. Dla zamaskowania przygotowań do ucieczki udali się tego dnia, w którym zostali aresztowani, na kazanie do Kościoła Włochów, a starszy z nich obiecał, że wygłosi kazanie następnej niedzieli, chociaż — jak się później przyznał — był pewien, że następnej niedzieli będzie już daleko stąd.

Dopiero w czasie drugiego przesłuchania obaj przyznali się, że są zdecydowanymi papistami. Jeszcze nigdy w ciągu całego mojego życia nie spotkałem równie bezwstydnych i niegodziwych łotrów. To po prostu przekracza pojęcie ludzkie — ogarnięcie całej tej przewrotności, która tkwiła w ich duszach [...]

[...] Ascanio, kaznodzieja Kościoła Włochów, miał rację, kiedy od dawna już sprzeciwiał się, aby Juliusz Cezar wygłaszał kazania w kościele, twierdząc, że jest on człowiekiem bez żadnej religii, człowiekiem całkowicie świeckim, a przy tym rozpustnikiem, cudzołożnikiem i wielkim fornikatorem... Nie chciano temu wierzyć, a przecież okazało się, że były do tego podstawy. Przekonałem się zresztą o tym sam i z książek, jakie posiadali, i z ich własnych zeznań, że w ostatnich miesiącach książkami, które najgorliwiej studiowali, były dzieła Piotra

Aretina i Machiavellego w języku włoskim. Oto jaką odznaczali się cnotą!

Wyobrażam sobie, że teraz postawi Pan dwa pytania: co się z nimi stało i jaka była przyczyna tego, że odeszli od naszej wiary. Na pierwsze pytanie odpowiadam, że młodszy z nich został uwięziony w swoim własnym pokoju w Lambeth, w domu strażnika królewskiego, ale o północy wyskoczył przez okno, zsuwając się na ziemię na pasie z powiązanych ze sobą prześcieradeł. Następnie przez 20 dni ukrywał się w domu pana 94 (liczba ta w szyfrach arcybiskupa oznaczała ambasadora hiszpańskiego, którym w owych czasach był nie Velasco, lecz Diego Sarmiento de Acuña — A. N.), a potem opuścił Anglię.

Pragnąc, aby tego drugiego strzeżono lepiej, posłałem go do więzienia w Gatehouse. Po 14 dniach stanął przed Sądem Kościelnym, który go ekskomunikował i przekazał władzy świeckiej. Postanowiono, że zostanie zesłany na Bermudy, aby tam kopaniem zarabiać na własne wyżywienie. Zanim jednak wykonano ten wyrok, przy pomocy przekupionych, jak sądzę, strażników i podstępu pewnych Włochów, uciekł z więzienia, wyrządzając w ten sposób wielką zniewagę Majestatowi naszego Króla.

Jeśli zaś chodzi o to, w jaki sposób odeszli od naszej wiary, to sądzę, że sprężyną był tutaj 23 (kapelan) pana 95 (liczba ta w szyfrach arcybiskupa oznaczała Antonia Foscariniego, ambasadora weneckiego w Londynie), który jest człowiekiem pozbawionym skrupułów i wyrządził tu już wiele szkód. Człowiek ten wyznał mi, że mniej więcej rok temu, Juliusz Cezar błagał go na kolanach, aby zechciał zwrócić się do pana 160 (nuncjusza) żyjącego w 177 (to znaczy w Paryżu), prosząc o napisanie listu do 130 (liczba ta oznaczała w szyfrach papieża) z prośbą o przebaczenie dla obu zakonników, którzy opuścili swój zakon, a on wyraził zgodę i uczynił to. A Juliusz Cezar wyznał mi, że za to przebaczenie musiał zapłacić 100 koron, wysyłając je za pośrednictwem rzeczonego 23 do pana 160 w 177. Teraz Pan sam niech osądzi, czy obaj bracia rze-

czywiście cierpieli tu niedostatek, jeśli poza pieniędzmi na drogę mieli jeszcze tak wielką sumę, aby móc przekazać 100 koron poza nasze Królestwo do 130.

W całą tę sprawę zamieszany jest pan 94 (ambasador hiszpański), który od dnia swojego przyjazdu do Anglii zaangażował się w wiele podobnych spraw i mam nadzieję, że zostanie za to uderzony, ponieważ oko naszego Państwa widzi każdy jego krok. Otrzymał on bardzo wiele pieniędzy od 124 (liczba ta oznaczała w szyfrach króla hiszpańskiego) i przekupuje wszystkich na prawo i lewo. Między innymi przekupił on już 23 (kapelana) i służbę pana 93 (ambasadora francuskiego) a także sekretarza pana 95 (ambasadora weneckiego); ludzie ci są teraz w większym stopniu jego sługami niż swoich panów. To samo stara się uczynić z sekretarzami 62 (naszego Króla), 69 (naszych arcybiskupów) i 78 (członków Rady Królewskiej).

Pozostaję miłującym Pana przyjacielem

George Abbot arcybiskup Canterbury

Rozdział 11

AMSTERDAM, 1614 R. PORTUGALCZYK GABRIEL ACOSTA. ROZMOWA O NIEŚMIERTELNOŚCI

„Pewien nieszczęsny ateista, którego spotkałem w Amsterdamie wyśmiewał chrześcijański zwyczaj zawieszania w sypialni małżeńskiej różnych obrazków, które wyobrażają świętych".

Giulio Cesare Vanini

W Amsterdamie, dokąd obaj przyjaciele przybyli po udanej ucieczce z Anglii, znowu zaczęto nazywać Vaniniego „bratem Gabrielem" a Genocchiego „bratem Bonawenturą". Pewnego dnia „brat Bonawentura" wpadł zadyszany do biblioteki, w której Vanini studiował dzieło Cardana *O nieśmiertelności duchów* i zawołał:

— Mam dla ciebie zagadkę, Edypie. Wygląda na człowieka, ma 29 lat, urodził się na samym krańcu ziemi, jest filozofem, interesuje się nieśmiertelnością duszy, ma na imię Gabriel i przebywa obecnie w Amsterdamie. Kto to jest?

— To jestem ja — odpowiedział Vanini — mam 29 lat, urodziłem się w Finibusterre nad Morzem Jońskim, czytam księgę *O nieśmiertelności duchów,* moje imię zakonne brzmi Gabriel, jestem doktorem filozofii i znajduję się w Amsterdamie.

— Nie zgadłeś. Osoba, o którą cię pytałem, to Portugalczyk Gabriel Acosta, urodzony w Oporto nad brzegami Oceanu Atlantyckiego, niedaleko przylądka Finisterre, studiował filozofię w Coimbrze i uciekł wraz z braćmi przed inkwizycją portugalską do Amsterdamu. A oto i on sam we własnej postaci.

— Co sądzisz o nieśmiertelności duszy? — zapytał Acosta spoglądając na księgę, którą czytał Vanini.

— Proszę cię, Gabrielu, żebyś zechciał mnie zwolnić od odpowiedzi na to pytanie.

— A to dlaczego?

— Ponieważ ślubowałem mojemu Bogu, że kwestią tą nie będę się zajmował tak długo, dopóki nie stanę się siwobrodym starcem, bogaczem i Niemcem, żyjącym w kraju, gdzie nie ma inkwizytorów.

— Widzę, bracie Gabrielu, że jesteś równie przebiegły jak ów rabin z Nazaretu, który nie dał się złapać faryzeuszom w zastawiane przez nich sidła pytań: czy należy płacić podatek Cesarzowi i kamienować cudzołożnice. Ale trafiłeś na swego sobowtóra, który cię widzi na wskroś i czyta w tobie jak w otwartej książce. Twój pozorny brak odpowiedzi na moje pytanie jest również odpowiedzią, i to jeszcze jak wymowną i zuchwałą. Przecież, gdybyś wierzył w nieśmiertelność duszy tak jak to przykazał Kościół, Matka Wasza, to nie byłoby żadnego powodu odmawiania mi odpowiedzi. Skoro jednak nie chcesz powiedzieć na ten temat nic więcej, to posłuchaj przynajmniej, co ja myślę na ten temat i, jeśli potrafisz, udowodnij mi, że się mylę.

— Mów. Jesteśmy sami a ściany tego pokoju wydają się nie mieć uszu, choć na tym świecie, jak sam o tym wiesz, różnie bywa. Dziś mówisz, jutro składają na ciebie donos, a pojutrze leżysz na łożu tortur.

— Dla prawdy warto pójść nawet na takie łoże.

— Bo prawda, jak księżniczka Elżbieta, najlepsza jest na-

ga — wtrącił Genocchi, któremu przypomniało się epithalamium napisane przez angielskiego rywala.

— Ale na waszych świętych obrazach dusze ludzkie wyglądają jak młode dziewczyny przyodziane w białe koszule. Czy i wy tak samo wyobrażacie sobie wasze dusze?

— Nie mam nic przeciwko młodym dziewczynom, drogi Gabrielu, ani nagim, ani przyodzianym w białe koszule; a malarzom pozostawmy wolność malowania dziewcząt zarówno nagich jak przyodzianych. To tylko arcybiskup Abbot nakazywał palenie takich obrazów, bo mgła angielska zaćmiła jego wątły umysł. Na szczęście pozostawiliśmy tego szaleńca daleko w Lambeth, a tu znajdujemy się w wolnej Holandii, gdzie mistrz Rubens zaludnia wielkie płótna pysznymi kształtami nagich dziewcząt, uchodząc przy tym za pobożnego chrześcijanina. A co do twego pytania: jesteśmy filozofami i wiemy, że owe dusze na świętych obrazach są przeznaczone dla ludu, który nie ma wykształcenia filozoficznego; my zaś ujmujemy duszę w sposób pojęciowy, ponadzmysłowy jako tchnienie żywotne...

— Doskonale. Otóż zgodzicie się chyba ze mną, że owo tchnienie żywotne, którym żyje człowiek, znajduje się we krwi. Tchnieniem tym człowiek żyje, wykonuje swoje dzieła i porusza się, dopóki mu go staje, a kończy żywot dopiero wówczas, gdy owo tchnienie wygasa w sposób naturalny albo wskutek jakiegoś gwałtownego wypadku. I nie ma żadnej różnicy pomiędzy duszą zwierzęcia a duszą człowieka, jak tylko ta, że dusza człowieka jest duszą rozumną, a dusza zwierzęcia jest duszą rozumu pozbawioną...

— Ejże, znam wiele zwierząt, które mają więcej rozumu od niejednego teologa. Ale mów dalej, bo wydaje się, że mówisz całkiem do rzeczy.

— Stawiam teraz pytanie: kto tę duszę w ciele człowieka płodzi? Odpowiadam: jest jasne jak słońce, że to człowiek płodzi duszę innego człowieka drogą naturalnego płodzenia,

tak samo jak zwierzę płodzi duszę innego podobnego mu zwierzęcia, jak słoń płodzi innego roztropnego słonia, lis innego chytrego lisa, a koń silnego, posłusznego i dzielnego konia; człowiek zatem płodzi innego człowieka, jak on sam rozumnego i o myśli świadomej...

— Powiem ci coś więcej. Gdyby prawdą było to, co powiadają niektórzy teologowie, że człowiek otrzymuje duszę od Boga, to zaprawdę godniejszą od człowieka istotą byłby pies, który może przekazać cząstkę własnej duszy swemu szczenięciu, niż człowiek pozbawiony tej możliwości przez Boga zabierającego ludziom atrybut przekazywania duszy własnemu potomstwu.

— To piękna myśl, bracie Gabrielu Vanini. Pozwól, że postawię teraz następne pytanie: czy dusza człowieka jest śmiertelna, czy też przeciwnie — nieśmiertelna. Ja odpowiadam, iż z tego, co zostało dotąd powiedziane wynika, że dusza jest śmiertelna, skoro, jak powiedzieliśmy, znajduje się ona we krwi i w tchnieniu żywotnym, które najpierw umiera i gaśnie w człowieku zanim sam człowiek umrze. Nie umarłby człowiek, gdyby tchnienia życiowego czyli duszy, która go ożywia, w nim nie zbrakło: tę naturalną prawdę potwierdza wiele miejsc Pisma świętego...

— Czyżbyś zamierzał obalać wiarę w nieśmiertelność duszy wersetami Pisma świętego?

— Tak, bracie Gabrielu. Bo powiedz sam, czy Bóg nie powiedział do Adama: „Z drzewa wiadomości dobrego i złego nie jedz, bo którego dnia będziesz jadł z niego, śmiercią umrzesz". A więc człowiek stworzony został jako istota śmiertelna i podległa śmierci. Inaczej bowiem, gdyby człowiek z istoty swej był nieśmiertelny, nawet po zjedzeniu rajskiego jabłka nie mógłby umrzeć. Skoro zaś Bóg rzekł człowiekowi: „Prochem jesteś i w proch się obrócisz", tym samym Bóg oznajmił człowiekowi, że jest istotą śmiertelną, że jego dni są liczone i mają swój koniec, i że człowiek musi powrócić do tego, czym był przedtem.

— A zatem wy, Portugalczycy, którzy odżywiacie się od stuleci sardynkami, obrócicie się w sardynki, z których utworzona jest substancja waszego ciała...

— Nie przerywaj. Albowiem napisane jest w Piśmie świętym: „Azali umarłym cuda czynić będziesz? Albo ci, którym życia nie stało, powstaną i będą ci cześć oddawać? Azali kto w grobie jest będzie opowiadał miłosierdzie twoje a sprawiedliwość twoja opowiadana będzie w ziemi zapomnienia?" A w iluż psalmach powiedziane jest, że życie człowieka jest krótkie jak odcięty przez tkacza płat płótna lub jako podmuch letniego wiatru. A kiedy się kończy, to nie pozostaje człowiekowi nawet nadzieja, by mógł zdobyć nowe, inne życie. Albowiem „drzewo, które ucięte będzie, ma nadzieję, że odrodzi się znowu, a pędy jego odrosną i wypuści gałęzie zielone. Ale człowiek, gdy umrze i bezsilny będzie a martwy, gdzież on jest? Jako gdyby wody wyszły z morza, a rzeka ustawszy wyschła: tak człowiek, gdy zaśnie snem śmierci, nie powstanie z martwych, nie zbudzi się i nie ocuci ze snu swego". Z tego wszystkiego okazuje się, że z człowieka zmarłego nic nie pozostaje i nie ożyje on nigdy. Bo „wszystko idzie na swoje miejsce i wszystko z prochu jest uczynione i w proch się obraca. A więc nie ma nic lepszego dla człowieka, jak cieszyć się pracą rąk swoich i tylko to jest jego udziałem". Jedno bowiem człowiek ma życie a innego już mieć nie będzie. Niechże więc stara się to obecne swoje życie, jedyne które ma, przeżyć jak najlepiej. Czy tak, bracie Gabrielu?

— Nie, Gabrielu Acosto. Twoje wywody to kolos na glinianych nogach i lekkie pchnięcie wystarczy, aby wszystko to zawaliło się w gruzy. Zdecyduj się raz wreszcie kim jesteś: filozofem czy rabinem? Zacząłeś mówić rozumnie jak wykształcony epikurejczyk, a potem okazało się, że swoje wywody opierasz na świętych księgach Hebrajczyków, uważając je za niewzruszony fundament prawdy. A dla filozofów wasze święte księgi nie są niczym więcej jak zbiorem naiwnych bajek dla dzieci.

— Nie obrażaj, bracie Gabrielu, mojego narodu, bo naród mój wiele wycierpiał i wciąż jeszcze znosi prześladowania za wiarę ojców i pogardę za wierność dawnym obyczajom. Nie zapominaj też, że owe święte księgi Hebrajczyków są fundamentem wiary chrześcijańskiej, której przecież jesteś wyznawcą. Wychowany w wierze katolickiej uciekłeś przed inkwizycją do Anglii, ale i tam, wyrzekając się katolicyzmu nie przestałeś być chrześcijaninem. Teraz powróciłeś na łono Kościoła katolickiego, więc i ty zdecyduj się raz wreszcie kim jesteś: filozofem czy chrześcijaninem? Nie sądzę bowiem, aby jedno z drugim można było pogodzić. Sam dobrze wiesz, że apostołowie byli ludźmi ubogimi, ciemnymi, niewykształconymi prostakami. Całe wasze chrześcijaństwo jest dziełem niewykształconych prostaków i już wkrótce nadejdzie czas, kiedy zostanie zniszczone przez wykształconych filozofów.

Dlatego właśnie Szaweł, którego nazywacie świętym Pawłem starał się uczynić wszystko, aby nie dopuścić do rozwoju umysłowego chrześcijan i jak najdłużej utrzymać ich w nieuctwie i prostactwie. Dlatego właśnie u chrześcijan istnieje zwyczaj zawieszania w sypialni małżeńskiej różnych obrazków, które wyobrażają świętych, a to w tym celu, żeby kobiety zachodzące w ciążę przekazywały potomstwu cechy umysłowe owych świętych prostaków, gardzących nauką i rozumem. I dlatego właśnie Kościół katolicki każe uważać obcowanie cielesne za grzech, aby odebrać małżonkom zapał do służenia Wenerze. Dobry chrześcijanin musi spełniać obowiązki małżeńskie w taki sposób, aby nie odczuwać przy tym grzesznej rozkoszy. I to jest przyczyną, że w małżeństwach chrześcijańskich stosunki odbywają się niechętnie i ospale, co znowu staje się powodem, że niemrawy ten nastrój przenika do nasienia, a z niego znów, konsekwentnie, rodzą się tępe i niemrawe dzieci — w sam raz dostatecznie usposobione do trwania w religii chrześcijańskiej, która ostrzega przed diabelskimi sidłami filozofii i przyrzeka zbawienie „ubogim duchem". Dlatego właśnie, bracie Gabrielu, uciekłem z Portugalii, żeby tu, w Amsterdamie, móc swo-

bodnie wyznawać wiarę mojego narodu. Naród bowiem jest częścią nas samych, a kto się swego narodu wyrzeka, ten jak odcięta gałąź więdnie i usycha.

— Subtelnie przeniknąłeś tajemnice chrześcijańskich sypialni, ale zapomniałeś o tym, że nie wszyscy święci chrześcijańscy byli prostakami. Czy nie widziałeś obrazów wyobrażających świętego Hieronima czytającego uczone księgi? Czyżbyś uważał Mojżesza za większego filozofa od sławnych na cały świat filozofów i uczonych chrześcijańskich?

— Sam wiesz, że Mojżesz był gruntownie wykształcony w naukach Egipcjan. Potrafił też wyprowadzić swój lud z kraju Faraona, z domu niewoli. A wasz Mesjasz nie tylko nie potrafił wyzwolić ludu spod panowania Rzymian, ale nawet samego siebie nie zdołał ocalić od śmierci na krzyżu.

— Owe nauki Egipcjan to nauki czarnoksiężników egipskich. Mojżesz nie był wykształconym filozofem ale czarownikiem, a raczej iluzjonistą, zmieniającym laski w węże i wysypującym z worka żaby. Jego mądrość polegała na tym, że zawsze otaczał się siłą zbrojną i za jednym zamachem potrafił wymordować dwadzieścia cztery tysiące ludzi, a kiedy uciekał z Egiptu doradził swoim rodakom, aby nakradli jak najwięcej złota i srebra. Pozwól, że przypomnę ci XII rozdział Księgi Wyjścia, wiersze 35 i 36: „I uczynili synowie Izraelscy jako był przykazał Mojżesz: i prosili u Egipcjanów naczynia srebrnego i złotego i szat bardzo wiele. A Pan dał łaskę ludowi przed Egipcjany, że im pożyczali: i złupili Egipcjany" i dopiero tak obłowieni uciekli, a pokonawszy liczne niebezpieczeństwa podróży, ostatecznie siódmego dnia przybyli do bezpiecznego miejsca, i z tej to racji Mojżesz nakazał dzień ten czcić jako poświęcony Bogu, chcąc w ten sposób przekonać lud, że Najwyższe Bóstwo sprzyja jego panowaniu. Przekonawszy zaś lud w ten sposób o słuszności swoich poczynań, łatwo Mojżeszowi utrzymać go w zależności od siebie.

W tym momencie wtrącił się do rozmowy Genocchi:

— Prawdę mówiąc, religia Mojżesza nie jest bynajmniej

taka naiwna, jak to się wśród chrześcijan pospolicie sądzi. No bo weźmy na przykład nas dwóch. Ciągle nam powtarzano, że królestwo Boże nie jest z tego świata i kiedy wstępowaliśmy do zakonu karmelitów kazano nam składać ślub ubóstwa. Kiedy uciekaliśmy z Włoch do Anglii, byliśmy ubogimi zakonnikami; kiedy uciekaliśmy z Anglii, też nie przywieźliśmy ze sobą złotych ani srebrnych naczyń i nie złupiliśmy należycie angielskich biskupów, u których mieszkaliśmy. Byliśmy i jesteśmy ludźmi ubogimi, chociaż z niebieską, włoską i hiszpańską krwią w żyłach. A o wyznawcach Mojżesza, mieszkających tu w Amsterdamie, powiadają, że mają wiele złota i srebra. Więc może należałoby się zastanowić, skoro już przyzwyczailiśmy się do zmieniania wyznania, czy zamiast wracać na łono Kościoła katolickiego nie opłaciłoby się nam lepiej przystąpić do społeczności żydowskiej i przejść na religię Mojżesza. Drogi Gabrielu Acosto, co o tym sądzisz? Czy nie mając w żyłach żydowskiej krwi, możemy zostać przyjęci do waszej gminy?

— Sami nie wiecie o tym, jakie jarzmo włożylibyście sobie na szyję, wchodząc pomiędzy tych przeklętych faryzeuszy. Ile razy ja sam przeklinałem ten dzień, w którym — za podszeptem szatana — powziąłem myśl o ucieczce z Portugalii. Wpadłem, jak to się mówi, z deszczu pod rynnę czy też z patelni na rożen. Tam podejrzewano mnie, że udaję tylko katolika, a w głębi serca jestem wyznawcą Mojżesza. Tu, moi bracia podejrzewają mnie, że udaję tylko wyznawcę Mojżesza, a w głębi serca jestem apikojresem nie mającym żadnej religii. A ja chciałbym żyć wśród mojego narodu, lecz w amsterdamskiej gminie jestem sam jak Hagar na pustyni, otoczony podejrzliwością, pogardą i nienawiścią. Jakże często ogarniają mnie wątpliwości, czy Zakon Mojżesza powinien być poczytywany za prawo Boże, albowiem wiele rzeczy zmusza do sądu wręcz przeciwnego. Coraz częściej dochodzę do przekonania, że religia Mojżeszowa — podobnie jak wszystkie inne religie — jest tylko wymysłem ludzkim, który kłóci się z prawem natury. Kapłani wszystkich religii wymyślają urojone strachy, aby

obracać ludzi w swoich niewolników i zmuszać ich do ślepego posłuszeństwa. Ale błagam, nie mówcie o tym moim rodakom, bo zostanę wyklęty i ukrzyżowany...

* *
*

A jednak Vanini mylił się sądząc, że ściany pokoju, w którym rozmawiał z Acostą „nie mają uszu". Acosta był śledzony przez swoich współwyznawców, którzy ukryci na strychu słyszeli całą rozmowę i nazajutrz złożyli donos rabinom.

Nieszczęsny Acosta nie znał owych donosicieli i kiedy wkrótce zwaliły się na niego nieszczęścia, zaczął podejrzewać, że to Vanini i Genocchi powtórzyli rabinom jego słowa. A po dwudziestu kilku latach, kiedy pogrążony w rozpaczy pisał — na kilka dni przed samobójstwem — *Wizerunek własny żywota,* wspomniał o tej rozmowie w następujący sposób:

„Toczyłem wojnę z rabinami, którzy mnie nienawidzili i popełnili wobec mnie wiele haniebnych uczynków. Tymczasem zaś nowa rzecz się zdarzyła. Przypadek zrządził, że wdałem się w rozmowę z dwoma mężami, przybyłymi z Londynu do Amsterdamu: jeden z nich był Włochem, drugi Hiszpanem. A ponieważ byli chrześcijanami i nie wywodzili się z Żydów, przeto tłumacząc się swoim ubóstwem prosili mnie o poradę w sprawie przystąpienia do społeczności z Żydami i przejścia na ich religię. Odradziłem im tedy, by tego nie czynili, a pozostali raczej tym, czym są; nie wiedzą bowiem, jakie jarzmo chcą włożyć sobie na szyję. Prosiłem ich jednocześnie, żeby rozmowy naszej nie zdradzili Żydom, oni zaś to przyrzekli... a potem wszystko odkryli faryzeuszom".

Rozdział 12

BRUKSELA, 1614 R. NUNCJUSZ GUIDO BENTIVOGLIO. ROZMOWA O NIEŚMIERTELNOŚCI

„Zwyczajem mędrca jest czynić wszystko, żeby zdobyć chwałę wiecznego imienia u potomnych".

Giulio Cesare Vanini

Po kilku dniach Vanini zaproszony na wieczerzę przez nuncjusza Bentivoglia ośmielił się — po trzecim kielichu wina — postawić pytanie:

— Ciężkie przejścia w londyńskim więzieniu pogrążyły mój umysł w głębokim mroku i zachwiały moją wiarą. Niechże mnie więc Wasza Wielebność oświeci, utwierdzi w wierze i wyjaśni mi, jak to naprawdę jest z nieśmiertelnością duszy.

— Wino rozwesela serce — rzekł nuncjusz Bentivoglio. — Wino rozwiązuje języki. Wino sprawia, że z twarzy spada maska. Wystarczyły trzy kielichy starego hiszpańskiego wina, a i z twojej twarzy spadła maska, ukazując mi twoje prawdziwe oblicze. Twoje szczęście, zuchwały bezbożniku, że i ja jestem po trzech kielichach wina, które uśpiły we mnie nuncjusza i przeobraziły mnie w dom Dionizosa. Jeżeli więc powiem coś nie tak jak trzeba, to pamiętaj, że to nie nuncjusz papieski przemawia przez moje usta, ale bóg pogański Dionizos.

Pytasz mnie o nieśmiertelność duszy, ty, który studiowa-

łeś filozofię w Padwie. A ja też byłem kiedyś padewczykiem, wykarmionym na tej samej awerroistycznej truciźnie. Otóż, jako byli padewczycy, pilni czytelnicy diabelskich ksiąg Piotra Pomponacjusza, wiemy, że nie ma żadnych racji rozumowych przemawiających za nieśmiertelnością duszy, podobnie jak nie ma żadnych racji filozoficznych, które przemawiałyby przeciwko wieczności świata czy przeciwko teorii Kopernika. Ale właśnie to, że rozum i filozofia prowadzą nas do przekonania o śmiertelności duszy, wieczności świata, obrotach Ziemi i braku Stwórcy, stanowi najlepszy argument za tym, że rozum należy podporządkować wierze, a filozofię teologii. Gdyby za naszą świętą religią przemawiały racje rozumowe, nie byłoby żadną zasługą to, że się wierzy. A tak kiedy po śmierci dusza twoja stanie przed obliczem Boga, będziesz mógł powiedzieć: — Panie mój, rozum mówił mi, że ciebie nie ma, a filozofia mówiła mi, że dusza jest śmiertelna; lecz ja — wbrew rozumowi i filozofii — wierzyłem w ciebie i w nieśmiertelność duszy, a zatem musisz otworzyć przede mną wrota niebios, zwłaszcza, że w mojej sprawie będzie interweniować u ciebie wielu świętych, do których zawsze odnosiłem się z największym szacunkiem, aby zapewnić sobie ich orędownictwo.

Dobrze uczyniłeś, zrywając z angielskimi heretykami, którzy twierdzą, że uczynki nasze ani orędownictwo świętych nie mają żadnego znaczenia. Nasza wiara uczy, że to my sami budujemy sobie naszą nieśmiertelność...

— Sami? Bez łaski Bożej?

— A kto tu mówi, że bez łaski? — zawołał nuncjusz Bentivoglio — wiadomo, że łaska Boża jest do zbawienia niezbędnie potrzebna. Jeżeli więc zasłużysz sobie dobrymi uczynkami na łaskę — a w dodatku jeszcze kilku potężnych świętych wstawi się za tobą u Boga — to co ty sobie myślisz, że Bóg jak jakiś skąpiec będzie ci tej łaski potrzebnej do zbawienia żałował? Da ci tej łaski tyle, że się w niej skąpiesz po same uszy jak w złotej kąpieli i będziesz jaśniał nieśmiertelną chwałą jak gwiazda na niebie.

Guido Bentivoglio, nuncjusz papieski w Brukseli z książki C. Galeazzo Gualdi: Scena d'huomini illustri d'Italia, Venezia 1659, Egz. Bibl. Uniw. Wrocław

Cała rzecz tylko w tym, co z ciebie zasługuje na nieśmiertelność. Pomyśl sam, czy cały, taki jaki jesteś, czy ze wszystkimi swoimi wadami, przywarami, grzechami i śmiesznościami chciałbyś trwać wiecznie wśród dusz doskonalszych od ciebie, których musiałbyś się wstydzić, czy też wolałbyś pójść do nieba tylko tą cząstką własnej istoty, która jest najbardziej twoja i najbardziej doskonała? Czy będąc garbusem, chciałbyć wejść do nieba ze swym garbem, aby również w niebie być pośmiewiskiem aniołów, czy też wolałbyś ten garb zostawić na ziemi, a do nieba wkroczyć pięknie wyprostowany, zdobywając wieczność tylko dla tego, co jest w tobie piękne i godne podziwu?

Więc co jest godniejsze naszych zabiegów: czy zdobycie nieśmiertelności dla całej naszej duszy, która nas ożywia, kierując wszystkimi naszymi czynnościami, pożądaniami, zawiścią, gniewem, postępkami samolubnymi, tchórzliwymi i małodusznymi, czy też zdobycie nieśmiertelności dla naszych myśli, dla tych myśli, które sami wymyśliliśmy, uformowaliśmy, wyrzeźbiliśmy?

Taki Tasso albo Guarini? Niby są martwi, a przecież żyją. I podobnie inni, będący wielkimi pisarzami albo bohaterami, którzy z orężem w ręku dokonali czegoś wspaniałego i w ogóle ludzie zajmujący się jakąkolwiek nauką lub profesją. Potomność oceni ich sprawiedliwie i w zależności od tego, czego dokonali, sprawi, że jedni będą żyć wiecznie a drudzy, którzy na takie życie niczym sobie nie zasłużyli, pogrążą się w mroku zapomnienia. I to jest właśnie taki trybunał, przed którym każdy z nas stanie.

— Przed sądem Boga czy przed trybunałem Potomności?

— Powiedziałem ci już, że jestem — podobnie jak i ty — byłym padewczykiem. Rozum powiada, że żadnego sądu Bożego nie ma i nie będzie. Na pewno oceniać nas będzie jedynie Potomność i dlatego człowiek rozumny nie żyje wyłącznie troską o dzień dzisiejszy, ale stara się o to, żeby swoimi dziełami zapewnić nieśmiertelność swemu imieniu. Natomiast Sąd Ostateczny przed tronem Boga, którego istnieniu rozum zaprzecza,

jest przedmiotem wiary. Nieśmiertelności imienia możemy być pewni, jeżeli tylko potrafimy stworzyć jakieś dzieło godne trwania. A nieśmiertelność duszy... dopiero po śmierci dowiesz się, czy w tej sprawie prawdę mówiła wiara, albo i nie dowiesz się nigdy, jeżeli prawdę mówił rozum.

A teraz nalej wina, aby odpędzić myśl o śmierci. Lubię cię, Juliuszu Cezarze, bo swoją osobą przypominasz mi lata spędzone w Padwie. W tej Padwie, której nie zobaczę już nigdy, bo jeśli nawet wrócę kiedyś do Padwy, to nie będzie ona tą Padwą, którą opuściłem. Nie można dwa razy wstąpić do tej samej rzeki — mawiał Heraklit. Bo niby ta sama rzeka, ale woda już nie ta. I Padwa niby ta sama, ale już nie ta. Bo Padwa, to nie są mury Antenora i nieruchome, nieożywione domy, ale to życie umysłowe, które tam pulsowało w latach mojej młodości. I dziewczęta, które wtedy tam spotykałem, nie są już takie młode i piękne jak przed dwudziestu laty i ja sam nie jestem już tym, kim byłem. Mówiliśmy o nieśmiertelności, o tym, co będzie po śmierci, a tymczasem chociaż jeszcze żyję, to przecież coś we mnie już umarło. Co się stało z moją młodością? Gdzie jej szukać, jak ją odzyskać? Coraz częściej, zamiast myśleć o tym, co będzie ze mną po śmierci, myślę o tym, co się stało z tym, co utraciłem. Cyganka wywróżyła mi 67 lat życia i teraz zastanawiam się: czy po śmierci będę wkraczać do nieba niedołężny, z garbem 67 lat, czy też dobry Bóg pozwoli mi pozostawić w kącie 50 lat życia, sprawiając cud, abym jako 17-letni student powrócił na zawsze do Padwy — takiej, jaką była ona wtedy, z tymi samymi przyjaciółmi i z tymi samymi dziewczętami, śpiewającymi te same piosenki i obdarzającymi mnie tymi samymi pieszczotami.

— Jeżeli już wolno byłoby samemu kształtować swoją pośmiertną przyszłość — powiedział Vanini — to ja nie chciałbym powrotu do przeszłości, do tego, co już było. Bo dla mnie szczęście to nieustanne pojawianie się czegoś nowego, ciągłe pasmo niespodzianek, wciąż nowe wrażenia, nowe przeżycia, nowe myśli i nowe dzieła. Czyż nie przez to wieczne odmienia-

nie się świata, wyłanianie się wciąż nowych form, odmiennych od tych, które istniały dotąd, czyż nie przez tę zmienność i różnorodność świat jest taki piękny?

— Świat jest piękny, jeżeli oczy są młode a całe ciało zdrowe, silne i jędrne. Jakże się cieszyć różnorodnością potraw, jeśli wypadły zęby i boli wątroba? Jakże się cieszyć różnorodnością dziewcząt, jeżeli... Nalej wina i zmieńmy temat rozmowy.

Rozdział 13

GENUA 1614. SKRZYDLATE DUSZKI I BRYGIDA SPINOLA DORIA Z PORTRETU MISTRZA RUBENSA

> „Szczęśliwi aż nazbyt malarze naszego stulecia, którzy pragną przekazać potomnym oglądane przez siebie piękno (...) Bezpowrotnie straconą jest każda chwila, której nie wypełnia miłość".
>
> *Giulio Cesare Vanini*

Kiedy we Flandrii, w obecności nuncjusza Bentivoglio, powracał na łono Kościoła katolickiego, czuł, że czyni to samo po raz drugi. Znowu jest aktorem zmuszonym do udawania.

Wyrzekając się w Anglii katolicyzmu czuł, że w głębi duszy jest katolikiem. Teraz, kiedy w Brukseli powracał do Kościoła katolickiego, czuł, że katolicyzm swój pozostawił na zawsze w angielskim więzieniu. Gdyby wykonano wówczas wyrok śmierci, umierałby z godnością i żarliwą wiarą, jak przystało na katolickiego męczennika. Teraz myślał już tylko o tym, czy i w jaki sposób zapłacą mu za tę jego katolicką gorliwość. Na razie jednak, to wcale nie jemu za nią płacono, ale on musiał płacić, zaciągając u lichwiarzy dług — 100 koron — na poczet przyszłych, i co gorsza, wcale nie tak pewnych dochodów.

Wypowiadając przepisane prawem kanonicznym formuły, stawiał sobie pytanie, kim jest naprawdę? Za każdym razem

przymus budził jego sprzeciw, ujawniając mu, że nie jest tym, kim chcą, żeby był. W Anglii, udawał że nie jest katolikiem, teraz zmuszają go do udawania, że jest katolikiem i właśnie ten wysiłek wkładany w udawanie przekonywał go, że od katolicyzmu odszedł bardzo daleko. Ale w jakim kierunku? Na pewno nie w kierunku religii wyznawanej w Anglii i nie w kierunku religii wyznawanej w Niemczech.

— Jak to się stało? — zapytywał samego siebie — jeszcze kilka tygodni temu byłem gotów do poniesienia męczeńskiej śmierci za wiarę katolicką a dziś odczuwam katolicyzm jako pęta i maskę, która zasłania moje prawdziwe oblicze. Czy nie dzieje się tak dlatego, że odebrano mi wolność wyboru? Ani tam, ani tu nie mogę być samym sobą. Wszędzie trzeba udawać — cóż to za podły świat, w którym cały porządek państwowy oparty jest na udawaniu.

Konieczność udawania rozdwaja nas na dwóch różnych ludzi. Jeden z nich udaje, a drugi mu się przygląda i śmieje się z aktora. Ale gorzki to śmiech, bo śmiejemy się z samych siebie.

Tam, przed arcybiskupem Abbotem, żeby zachować szacunek dla samego siebie zrzuciłem maskę, bo przez moment zdawało mi się, że wiem kim jestem. Może i teraz zdobyłbym się na zrzucenie maski, gdybym tylko wiedział, co się za nią kryje. Wiem kogo udaję, ale nie wiem kim naprawdę jest ten, co udaje. Za maską, którą nakładam na twarz jest ciemno i pusto. Jaki jestem naprawdę? Ż a d e n!

Oto dochodzę już do trzydziestego roku życia i okazuje się, że j e s t e m n i k i m. Uciekając do Anglii wierzyłem, że przewyższę moimi czynami Lutra, że będę widział, jak od moich działań zmienia się oblicze świata. A tymczasem świat pozostał taki sam jak był a ja nie znam swego własnego oblicza. Jestem nikim. Jestem nikim.

„Jestem nikim!" — to właśnie te słowa wypowiedział w Genui, w pałacu Dorii. Wkrótce bowiem po uroczystym powrocie na łono Kościoła, opuścił Flandrię i wraz z Genocchim udał się do Genui. Tam ich wspólny przyjaciel, karmelita Gregorio

Spinola polecił go jako nauczyciela filozofii swojemu szwagrowi, młodemu matematykowi, Giacomo Dorii.

Młody Doria był wyjątkowo zdolnym uczniem i udzielanie mu lekcji było prawdziwą przyjemnością. Czasem tylko jakieś ważne sprawy polityczne odrywały go od nauki i wtedy Vanini musiał po kilka godzin czekać w bibliotece na zjawienie się ucznia. Było tam jednak wiele interesujących książek, więc czekanie na ucznia nie było stratą czasu i Doria zawsze znajdował swojego nauczyciela zatopionego w lekturze.

Kiedyś zdarzyło się, że nie miał chęci na czytanie, a ponieważ czekanie na ucznia przedłużało się, oderwał wzrok od półek z książkami i zaczął się przyglądać obrazom zawieszonym na ścianach. Nie zauważał ich przedtem, bo albo zajęty był wykładem, albo przeglądał książki.

Teraz powoli oglądał jeden obraz po drugim aż wreszcie doszedł do wnęki, gdzie stał pulpit, na którym Giacomo Doria rozkładał studiowane przez siebie foliały. W tej części pomieszczeń bibliotecznych nigdy jeszcze nie był, bo zgromadzone tam były dzieła matematyków, które interesowały go mniej od dzieł przyrodniczych. Ale tam właśnie, gdy znad pulpitu spojrzał na ścianę, był obraz, od którego nie mógł teraz oderwać oczu.

Obraz ten przedstawiał młodą damę w bogatym, weselnym, niemal królewskim stroju, z uśmiechniętą główką na ogromnej kryzie, w czapce przystrojonej piórem, z wachlarzem w prawej dłoni.

Soczyste barwy i światłocienie stwarzały złudzenie, że to nie obraz, ale pusta złota rama, za którą stoi przyglądająca mu się dziewczyna, oddychająca, bliska, ciepła i żywa.

I nagle zaczął odczuwać, że dzieje się z nim coś niezwykłego, jak gdyby był jednym z tych norymberskich mechanizmów, w których powoli rozkręcająca się sprężyna powoduje przewidziane przez zegarmistrza ruchy. W całym ciele przebudziły się tysiące delikatnych przeźroczystych duszków, skrzydlatych elfów, tchnień, i rozpoczęły wędrówkę ku górze, aby zająć miej-

sce w jego oczach. Opuszczały zajmowane przez siebie pozycje w jego stopach, goleniach, kolanach, udach, w dłoniach i ramionach, w wątrobie, sercu i płucach, czyniąc z jego oczu amfiteatr, z którego oglądały teraz tę tajemniczą damę tysiące widzów. Wszystko powoli w nim zamierało, tracił czucie w nogach i rękach, przestał oddychać a serce przestało bić. Był już tylko oczami i niczym więcej. Wszystkie tchnienia opuściły jego ciało i skupiły się w jego oczach a nawet już nie w oczach, lecz z oczu płynęły ku oglądanemu przedmiotowi i przywierały do niego. Teraz tam, za tymi złotymi ramami, na kryzie, przy policzkach, ustach i oczach nieznajomej damy była jego dusza. A opuszczone przez życiodajne tchnienia ciało jego — pozbawione duszy — runęło na ziemię jak martwa kłoda.

Kiedy przyszedł do siebie, nie wiedział, czy to co się zaczęło dziać, działo się naprawdę, czy też było tylko snem. Dama z portretu była tuż przy nim i cuciła go trzymanym w prawej dłoni czarnym hiszpańskim wachlarzem, a kiedy otworzył szeroko oczy, podała mu dzban pełen wina.

W pierwszej chwili myślał, że zeszła do niego z portretu, ale portret wisiał na swoim miejscu. Były teraz dwie: jedna na ścianie, druga przy nim. Obie równie piękne, obie bliskie, obie żywe.

— To dzieło wielkiego mistrza belgijskiego — powiedziała widząc, że patrzy na obraz — dzieło mistrza Piotra Pawła Rubensa, które namalował kilka lat temu, kiedy był u nas w Genui. Dzieło, które nigdy nie zestarzeje się, dzieło, na którym wiecznie będę młoda, taka jak w tym dniu, kiedy ukończył ten obraz.

A ty kim jesteś? Czy to ty właśnie jesteś owym sławnym teologiem, lekarzem, filozofem, doktorem obojga praw, który uciekł z angielskiego więzienia? Opowiadał mi o tobie mój brat, Gregorio Spinola. Ale wyobrażałam sobie ciebie zupełnie inaczej — z długą srebrną brodą. Nie, to niemożliwe, jesteś chyba za młody na nauczyciela filozofii. Ale w takim razie kim jesteś?

Brygida Spinola Doria. Obraz Rubensa. Własność prywatna H. J. R. Bankes, Kingston Lacy, Wimborne, Dorset

— Jestem nikim.

Roześmiała się.

— Przecież widzę cię i dotykam. Nie jesteś nikim, ale żywym człowiekiem, który ma jakieś imię i nazwisko.

— Jestem nikim. Mistrz Rubens uprzytomnił mi, że jestem nikim. Nie potrafię — tak jak on to uczynił — dać wiecznego życia temu, co jest tak piękne jak ty. Nie potrafię przekazać potomnym tego piękna, które oglądam. I wcale nie jestem taki młody — zbliżam się do 30 roku życia a jeszcze nie stworzyłem żadnego takiego dzieła, które otworzyłoby przede mną Bramę Wieczności. Niestety, wciąż jeszcze jestem nikim i stąpając po ziemi nie pozostawiam po sobie żadnych trwałych śladów. Ten obraz — bezgranicznie piękny — jest obrazem budzącym bezgraniczny smutek. Jego bezgraniczna doskonałość uprzytamnia moją bezgraniczną nijakość, bezosobowość, bezimienność i brak istnienia. Nie istnieję, nie mam imienia, jestem nikim, nikim, nikim.

— Nieprawda. Jesteś młody, mądry, sławny i piękny. To nieprawda, że nie pozostawiasz trwałych śladów. Kto ciebie zobaczy choć raz jeden, ten już o tobie nigdy nie zapomni. Kto ciebie raz usłyszy, ten ciągle zastanawiać się będzie nad twoimi słowami. Sława twojego imienia przekroczyła Alpy, dotarła do Genui z dalekiej Flandrii, zanim jeszcze pojawiłeś się w Ligurii. O twojej bezgranicznej wiedzy opowiadali memu stryjowi ambasador hiszpański i nuncjusz Bentivoglio. A wczoraj przyszły listy z Paryża, w których donoszą mojemu mężowi, że nuncjusza Ubaldiniego zainteresował twój projekt napisania 18 ksiąg *Apologii Soboru Trydenckiego* przeciwko niemieckiemu teologowi Chemnitzowi.

Ale właściwie, co się tutaj stało? Usłyszałam w swoim pokoju hałas, a gdy przybiegłam leżałeś na podłodze jak martwy. Ledwie udało mi się ciebie ocucić.

* *
*

— Ach jakie to interesujące — zawołała, gdy opowiedział jej, w jaki sposób zemdlał. — Opowiedz mi jeszcze o tych skrzydlatych duszkach. Jak wyglądają i czym się zajmują?

— Są bardzo rozmaite. Większe, mniejsze, maleńkie i zupełnie maciupeńkie. Jedne są jasne, delikatne, przeźroczyste, niewidzialne, drugie ciemne, a jeszcze inne zupełnie czarne. Krążą nieustannie po całym ciele i kierują ruchami naszych rąk i nóg, skurczami i rozkurczami serca, obiegiem krwi, rozprowadzaniem powietrza po wszystkich pęcherzykach płuc. Szczególnie wiele pracy mają przy trawieniu, zajmując się przetwarzaniem spożywanych przez nas ciast i mięs, orzechów i pomarańcz w naszą własną krew, ciało, mięśnie, kości, zęby i gałki oczne. One zajmują się także wytwarzaniem naszego nasienia i czuwają nad prawidłowym rozwojem płodu w łonie matki. A kiedy otwieram księgę, zbiegają się z całego ciała do oczu, abym lepiej widział litery i do mózgu, żebym rozumiał to, co czytam. A jeśli mam do rozwiązania jakiś trudny problem, jakieś *admirandum arcanum* Natury, wówczas zbiega się ich do mózgu tyle, że pozbawiona ich reszta ciała stygnie, nieruchomieje, zamiera. W Neapolu i w Padwie zdarzało mi się nieraz od nadmiernego wysiłku umysłowego tracić przytomność.

— Biedne duszki, tyle mają ciężkiej pracy... A co się z nimi dzieje, jeśli są bardzo zmęczone?

— Zmęczone, wyczerpane przestają pracować. Wtedy spożyte przez nas pokarmy pozostają w nas nieprzetrawione i odczuwamy ból żołądka. Oglądane przez nas przedmioty zasnuwa mgła. Przestajemy rozumieć czytaną książkę. Zapominamy, o czym zaczęliśmy mówić. Krew nasza przestaje wytwarzać nasienie i nie dociera ono tam, dokąd powinno. A przeciążone nadmiernym wysiłkiem duszki umierają.

— I nic już nie może przywrócić im życia?

— Wskrzesza je tylko zapach róż i świergot ptaków.

— Ach, jaka jestem niemądra! Gdybym o tym wszystkim wiedziała wcześniej, to zamiast cucić cię tu wachlarzem, kaza-

łabym moim służącym wynieść cię do ogrodu. Chodźmy tam zaraz, aby przywrócić życie biednym, skrzydlatym duszkom.

...Cela więzienia w Tuluzie wypełniła się zapachem genueńskich róż, które hodowała piękna pani Brygida Spinola Doria. Więźniowi zdawało się także, że słyszy świergot ptaków i plusk ryb.

W ogrodzie pałacowym był basen a w jego przeźroczystej wodzie widać było dziwne, wielobarwne ryby.

— Mówią o tobie, że wiesz wszystko. Powiedz więc, skąd biorą się ryby?

— Przyroda, Królowa i Bogini śmiertelnych na siedem różnych sposobów powołuje do życia ryby. Jedne powstają z gnijącej materii rozkładających się trupów. Drugie — jak niegdyś Anadiomene — powstają ze srebrnej piany mórz. Inne — z ciężarnych chmur — spadają z kroplami deszczu. Czasami znowu ryba, zjadając ciało topielca, połyka jego nasienie, zachodzi w ciążę i rodzi małe rybki o ludzkich twarzach. Po piąte, ryby mogą powstawać z liści. Jesienią spadają z drzew złote liście i ledwie dotkną ziemi, odskakują i na złotych skrzydełkach odlatują do rzek i mórz. Po szóste, ryby jak ptaki wylęgają się z małych jajeczek. Po siódme wreszcie — jak ludzie — niektóre ryby powstają z żaru miłosnych pieszczot.

— Mówiłeś przed chwilą, że jesteś nikim, a tymczasem jesteś wszechwiedzący jak bóstwo. I kiedy słucham cię, nie wiem kim jesteś: człowiekiem czy bóstwem? Powiedz, kim jesteś: Bogiem czy Vaninim?

— Jestem nikim.

— A ja myślałam, że filozofowie są wolni od towarzyskich przesądów, nakazujących im udawanie skromności. Podobnie jak przez słowa tego, który nazywa siebie „sługą sług bożych", również przez twoje słowa o własnej niepozorności przebija lucyferyczna pycha człowieka, który za życia zdobył światową sławę.

— Od fanfar światowej sławy więcej jest wart jeden pocałunek ukochanej dziewczyny.

— Pięknie to powiedziane, ale sprzeczne chyba z całym

trybem twojego życia: od świtu do późnej nocy ślęczysz nad książkami i nie masz czasu myśleć o nas, dziewczynach nie znających się na filozofii. Przyznaj, że wolisz stare, zakurzone księgi od dziewcząt.

— „Perduto è tutto il tempo
Che in amar non si spende"

— Bezpowrotnie straconą jest każda chwila, której nie wypełnia miłość...

W ogrodzie zjawił się Giacomo Doria. Pani Brygida opowiedziała mu o tym, co się wydarzyło.

— A kiedy wreszcie udało mi się go ocucić, wygłosił mi wykład, najpierw o duszkach a potem o rybach. Mistrz Vanini opowiada o wszystkim tak zajmująco, że być może zrozumiałabym również i coś z matematyki, gdyby tylko zechciał przedstawić nam jakiś problem.

Giacomo przyłączył się do jej nalegań.

— Spróbuję. Jest taki jeden matematyczny problem, który mi się właśnie przypomniał. Od trzech tysięcy lat najwięksi matematycy próbowali rozwiązać pewne zadanie, ale żadnemu to się nie udało. Chodzi mianowicie o podzielenie liczby dziewięć na dwie równe liczby całkowite, bez ułamków.

— To zadanie niewykonalne — powiedział Giacomo Doria.

— Ano zobaczymy. Jest właśnie odpowiedni patyk i miękka ziemia, można przystąpić do rozwiązania.

Zacznę od rozłożenia dziewiątki na dziewięć kolejnych liczb od dwójki do dziewiątki: 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10. Podzielmy teraz te liczby w taki sposób, żeby po lewej stronie było pięć pierwszych a po prawej — trzy ostatnie i dodajmy je do siebie:

$$2 + 3 + 4 + 5 + 6 + 7 = 27$$
$$8 + 9 + 10 = 27.$$

Tak więc dokonaliśmy tego, czego przed nami nie potrafił uczynić żaden matematyk. Podzieliliśmy dziewiątkę na dwie równe połowy: zarówno po lewej jak po prawej mamy tę samą liczbę całkowitą: 27.

Rozdział 14

GENUA 1614 R. SEN BRYGIDY. ROZMOWA O SNACH

„Przebudziła się, westchnęła głęboko i powiedziała, że była dręczona we śnie przez jakiegoś ducha".

Giulio Cesare Vanini

Lękał się tej miłości. Uderzyła go niespodziewanie jak piorun z jasnego nieba. Jeżeli jej ulegnie, spali się od niej cały i nie pozostanie po nim żaden ślad. Przyszła za wcześnie, bo wciąż jeszcze czuł się nikim. Nie stworzył żadnego dzieła, w którym rozpoczęłaby się jego prawdziwa egzystencja, trwała i niezniszczalna. Postanowił więc uciekać z Genui. Decyzję przyspieszyła rozmowa z uczniem.

Giacomo Doria pokazał mu swoją piękną kolekcję broni palnej, sztyletów i szpad, a następnie ni stąd, ni zowąd zapytał:

— Dlaczego we snach pojawiają się dręczące nas duchy?

— We śnie — powiedział Vanini — oczy przykryte są powiekami i bledną z powodu nieobecności tchnień, które je odżywiają i zabarwiają. Obrazy rozmaitych duchów i innych nieprawdziwych stworów dlatego pojawiają się nam we snach, ponieważ te ślady obrazów, które na jawie — po oderwaniu się od zmysłów zajętych inną pracą i wyparte z umysłu przez żywe myśli o czymś innym — są zacierane we śnie, ponieważ w czasie snu zmysły wypoczywają mając przerwę w wypełnia-

niu swoich funkcji, a następnie są poruszane wyziewami i latają czasem powoli, a czasem bardzo szybko, zależnie od gęstości lub delikatności wyziewów, stąd wyobrażamy sobie we śnie różne rzeczy niemożliwe, jako że — w związku z unieruchomieniem warsztatu zmysłów — również i mózg, najważniejszy narząd odczuwania, zasypia ze znużenia i wobec tego nie może kierować owymi obrazami w sposób prawidłowy, zgodny z rozumem i prawdą.

— A czy sny sprawdzają się? Słyszałem, że niektórzy ludzie potrafią we śnie przewidywać przyszłe zdarzenia.

— Awerroes sądził, że sny takie pojawiają się za sprawą boskich Inteligencji, które obracają niebiosami. Ale twierdzenie Awerroesa nie przemawia mi do przekonania, ponieważ nie ma żadnych argumentów, z których wynikałoby, że te Inteligencje w ogóle istnieją. Prócz tego Awerroes słusznie zaprzecza temu, jakoby Inteligencje te mogły poznawać to, co jednostkowe — nie posiadają bowiem organów zmysłowych — a więc nie mogą nam one ukazywać we snach poszczególnych zdarzeń, o których same nic nie wiedzą.

Gdyby Inteligencje zsyłały nam te widzenia dla przestrogi, to można zapytać, dlaczego nie dają nam ich raczej podczas naszego czuwania, niż we śnie. Przecież za bardziej pewne uważamy to, co widzimy na jawie, niż to, co oglądamy we śnie. Dodam: żeby jeszcze Inteligencje udzielały nam jasnych i wyraźnych rad: „Czyń to, a nie czyń tamtego". Tymczasem sny zapowiadają przyszłość przez takie kołowania i manowce, że musimy zwracać się do zawodowych wykładaczy snów, którzy — wziąwszy od nas pieniądze — powiadają, że widziana we śnie góra oznacza trudności i przeszkody, pomarańcze oznaczają piersi kobiece a rozjuszone byki — pragnienie miłosnego zbliżenia.

Słuszniej więc byłoby powiedzieć, że podobnie jak myśl nasza na jawie z rozmaitych oznak snuje przypuszczenia na temat przyszłości, to w taki sam sposób i jeszcze łatwiej czyni to we śnie, ponieważ — uwolniona od dziennej pracy ciała

— ma nareszcie spokój. Ale, moim zdaniem, dusza nigdy nie odpoczywa i nie przerywa swoich czynności. Również i w czasie snu zajęta jest ciałem, starając się o przywrócenie mu sił. Nie pozwala jej to skupić się na sprawach trudnych i wzniosłych i dlatego zamiast prawdziwego obrazu przyszłości bawi nas nieprawdopodobnymi wszeteczeństwami, kłamliwymi widziadłami i chimerycznymi bajkami.

— Nie można jednak zaprzeczyć, że czasami w snach zdarza się trafnie przewidzieć jakieś grożące nam niebezpieczeństwo.

— Cóż za znaczenie może mieć słabiutki promyk prawdy — jeden na dziesięć milionów kłamstw i niemal całkowicie zasłonięty wieloma mgłami fałszu? Nawet i ja, któremu przecież — według doktryny astrologów — powinny śnić się sny bardziej prawdziwe (jako że Księżyc, królujący w czasie nocy i uważany przez Ptolemeusza za rodzica wróżb, asystował przy moich narodzinach w fazie pełni — mówiła mi o tym moja ciotka, Izabela Lopez de Noguera), nawet i ja, powtarzam, miałem, jak sięgam pamięcią, zaledwie pięć takich snów, w których przewidywałem przyszłość, a i z tych pięciu snów tylko jeden później się sprawdził i to też zaledwie w połowie. Poza tym ów sen poprzedzały liczne rozmyślania na jawie zbliżone do tego, co później zarysowało się we śnie. Z tego też powodu sądzę, że wszystkie sny powstają z niedokładnego poznania oraz z poprzestawiania i przemieszania tego, co się widziało na jawie — jeśli chodzi o przyczynę materialną, i z rozmaitych ruchów tchnień w zależności od spożytych potraw — jeśli chodzi o przyczynę sprawczą.

— A co sądzisz o cudownej mocy niektórych słów?

— To, co się na ten temat opowiada, należy zazwyczaj do zabobonnej magii, która nie znając prawdziwej przyczyny niezwykłego zjawiska, skłonna jest do poszukiwania przyczyny sprawczej w tajemniczej mocy niektórych słów.

— Posłuchaj jednak tego, co wydarzyło się dzisiejszej nocy. Tuż po północy przebudziły mnie jęki śpiącej obok mnie Bry-

gidy. Wydawało się, że przygniata ją i dręczy jakiś niewidzialny duch. Przerażony tym, co zobaczyłem, wykrzyknąłem wielkim głosem czcigodne imię Jezusa, a ona przebudziła się, westchnęła głęboko i powiedziała, że była dręczona we śnie przez jakiegoś strasznego ducha, który usłyszawszy imię Jezusa natychmiast czmychnął.

— Nie dziwi mnie to, ponieważ na imię Jezusa każdy pada na kolana, nawet duch piekielny. Jednakże żaden dekret Kościoła Rzymskiego nie zabrania twierdzić, że gdybyś wypowiedział wówczas głośno jakiekolwiek inne imię, również uwolniłbyś ją od zmory, ponieważ to nie dzięki mocy imienia, lecz dzięki sile twojego głosu obudziła się i przyszła do siebie.

— A jaka była przyczyna pojawienia się złego ducha?

— Trudność strawienia obfitej kolacji. Przypomnij sobie wczorajsze sarny, zające, bażanty, indyki, sosy, kremy, grzyby i groch, torty, orzechy, wina. Pani Brygida nie mogła tego wszystkiego strawić, więc gęsta flegma i czarna żółć zaczęły gromadzić się wokół serca, uciskając przeponę i płuca. Ciężkie i gęste tchnienia spowodowały skurczenie tych ścięgien, które powodują wznoszenie się piersi, a zahamowanie ich rozszerzania się przywiodło na pamięć te przyczyny, które zwykle przeszkadzają ich rozszerzaniu się, a więc na przykład przygniatający nas ciężar. W ten sposób we śnie pani Brygidy pojawił się straszny duch o potężnych rozmiarach jako rzekoma przyczyna odczuwanego przez nią ucisku.

— Pytałem ją o imię tego ducha. Nie chciała powiedzieć. Mówiła, że nie pamięta, a potem, że lęka się wypowiedzieć jego imię. Wreszcie jednak uległa moim naleganiom i wyznała, że zmora, która ją dręczyła we śnie, była duchem Juliusza Cezara... Czy potrafisz mi to wyjaśnić?

— Nic łatwiejszego. Pamiętasz przecież o czym rozmawialiśmy podczas kolacji. Rozważaliśmy problem, kto zasługuje na miano największego wodza wszystkich czasów. Ty, panie, twierdziłeś, że największym wodzem był Aleksander Wielki, ja dowodziłem, że wszystkich wodzów przewyższa Ambrogio

Spinola, natomiast pani Brygida powiedziała, że najbardziej przemawia do jej wyobraźni Juliusz Cezar...

— I dlatego we śnie dręczy ją obraz Juliusza Cezara? A co ja mam uczynić, żeby ją od tego obrazu uwolnić?

— Wszystkie kobiety ze wszystkich krajów świata, a w ich liczbie również i te najcnotliwsze, śnią o mężczyznach. Brak takich snów — jak o tym pisali Arystoteles i Hipokrates — byłby jednoznaczny z utratą kobiecości.

— A czy filozofowie też śnią o kobietach?

— Częściej, panie, niż inni śmiertelnicy.

— A o jakiej kobiecie śniłeś ty sam tej nocy?

— Nie jest rzeczą bezpieczną, panie, wymienić jej imiona. Kobieta, o której śniłem, jest bowiem żoną potężnego pana, posiadającego długie ręce.

— Dlaczego powiedziałeś: imiona, a nie: imię?

— Ponieważ pani ta ma dwa imiona: Karolina i Małgorzata. Pochodzi ze sławnego rodu de Montmorency i jest żoną księcia Kondeusza. Kochał się w niej kawaler lotaryński, Bassompierre, ale w drogę wszedł mu król Henryk IV, który oszalał dla niej z miłości i, żeby odebrać ją Kondeuszowi, zawarł przymierze z Karolem Emanuelem, księciem Sabaudii, obiecując, że osadzi go na tronie mediolańskim, zebrał armię liczącą 40 tysięcy ludzi i postanowił — na trzech frontach naraz — zaatakować wojska hiszpańskie: w Niderlandach, w Lombardii i za Pirenejami. Gdyby nie sztylet Ravaillaca, cała Europa stanęłaby w ogniu... Było to w roku 1610. Nuncjusz Bentivoglio widział ją w grudniu 1611 r., kiedy opuszczała Brukselę, udając się do Paryża. Była wówczas jeszcze piękniejsza i — jak powiedział nuncjusz — gotowa jeszcze raz podpalić świat. Więc kiedy dziś w nocy ujrzałem ją we śnie, powiedziałem sobie: — Umrę, jeśli jej nie zobaczę na jawie. Pozwól mi, panie, jeszcze dziś wyruszyć do Francji...

— Będzie nam ciebie brakowało, mistrzu Vanini — powiedział Giacomo Doria.

A kiedy do komnaty weszła Brygida, Giacomo powiedział:

— Stało się to, czego obawialiśmy się. Juliusz Cezar wyrusza na podbój Galii. Ode mnie dostanie na drogę białego konia, a od ciebie?

— Chciałabym, żeby mój paź Tarsjo, pojechał z nim jako jego giermek...

Rozdział 15

W DRODZE DO NICEI 1614 R. POETA GIAMBATTISTA MARINO I JEGO „GALERIA"

„Giambattista Marino, rycerz Orderu Sabaudzkiego, największy z włoskich poetów i umiłowany mój druh powiadał, że doskonałość dziewcząt polega na ich niedoskonałości..."

Giulio Cesare Vanini

Karol Emanuel, książę Sabaudii, zaprosił poetę Marina, któremu przed pięciu laty, 11 stycznia 1609 r. ofiarował wieniec laurowy i tytuł rycerza zakonu świętego Maurycego.

Dowiedziawszy się, że Marino wyjeżdża z Genui, Vanini postanowił towarzyszyć mu aż do Nicei.

Vanini spotykał Marina w Genui na przyjęciach wydawanych przez przedstawicieli obu potężnych rodów, które w tym okresie żyły ze sobą w zgodzie, przypieczętowanej niedawno podwójnym weselem. Dwaj bracia, Carlo i Giacomo Doria poślubili dwie siostry, Weronikę i Brygidę Spinole, a Giambattista napisał na tę uroczystość dwa barokowe epitalamia, w których — ze zwykłym sobie zuchwalstwem — pozwalał sobie przewidywać różne intymne szczegóły obu poślubnych nocy. Odczytane w czasie uczty weselnej epitalamia wywołały prawdziwą burzę śmiechu u obecnych w pałacu mężczyzn.

Panie udawały, że się wstydzą, a Marino otrzymał za swoje wiersze hojną zapłatę. Opowiadał o tym Vaniniemu w czasie wspólnej podróży z Genui do Nicei.

Słuchając tych wierszy, Vanini gryzł wargi do krwi i czuł jak pali go twarz. Wiersze te rozbierały jego Brygidę z drogocennych szat, ukazując wszystkim to, czego on — uciekając z Genui — na zawsze się wyrzekał...

— Czy wiesz — zapytał go Marino — dlaczego dziewczęta rosną szybciej od chłopców?

— Być może dlatego, że substancja ich ciała jest bardziej rozrzedzona i bardziej wilgotna, więc ciepło, które jest przyczyną sprawczą wzrastania, szybciej rozchodzi się po tkankach...

— Nie, mój drogi, dzieje się tak *propter imperfectionem,* bo dziewczyna to *puer imperfectus,* a zatem Natura szybciej może dokonać swego dzieła.

— Gdyby to było prawdą, wynikałoby z tego, że kobieta jest istotą doskonalszą od mężczyzny.

— W jaki sposób?

— Właśnie *propter imperfectionem.* Jeżeli różnica płci polega na tym, że mężczyzna jest istotą skończoną, a kobieta istotą niedokończoną, to doskonałość skończonego mężczyzny jest czymś martwym, ponieważ — jako coś gotowego — nie rozwija się, gdy tymczasem doskonałość kobiety polega na tym, że jest ona wciąż niedokończona, a więc jest czymś żywym, rozwijającym się, wymagającym stale dopełniania. Jako istota skończona, mężczyzna jest wciąż taki sam, gdy tymczasem kobieta, jako istota niedokończona, jest zmienna, wciąż inna i ciągle pojawia się w niej coś nowego.

— A więc według ciebie prawdziwa doskonałość polega na niedoskonałości? Paradoksem tym sprzeniewierzasz się swemu mistrzowi, Arystotelesowi, który przez doskonałość rozumiał pełnię wykończenia. Jeśli dzieło jest wykończone, nie ma żadnego braku i nie można już niczego dodać, to znaczy, że cel został osiągnięty i dzieło jest absolutnie doskonałe.

— Przekonam cię, że sam w to nie wierzysz. Wyobraź sobie dwa światy. Jeden po arystotelesowsku absolutnie doskonały, gotowy, wykończony, który się już nie rozwija i w którym nie pojawia się nic nowego. Drugi mniej doskonały, bo nie gotowy, nie wykończony, zaskakujący nas nieustannym pojawianiem się tego, co nowe, czego nigdy przedtem nie było. W tym pierwszym człowiek nie ma nic do roboty, bo wszystko już zostało wykonane. W tym drugim świecie, nie wykończonym, wymagającym uzupełniania, dopełniania, człowiek czuje się potrzebny, bo to właśnie jego aktywność dopełnia i współtworzy ów nieustannie rozwijający się świat, a to, co nowe jest naszym własnym dziełem, wzbogacającym to, co istniało przed nami. Porównaj te dwa światy i powiedz szczerze, w którym świecie wolałbyś żyć: czy w tym absolutnie doskonałym, którego doskonałość skazuje cię na bezczynność, czy w tym rzekomo niedoskonałym, który daje ci możliwość czynnego włączenia się w proces tworzenia jego kształtu?

— Obawiam się, mój drogi przyjacielu, że będę musiał uznać się za pokonanego. Wygląda na to, że świat niedokończony jest światem doskonalszym od świata gotowego, a w każdym razie ja na pewno wolałbym żyć w owym świecie nie gotowym, który można zmieniać i współtworzyć.

— No to pozwól, że przytoczę jeszcze jeden argument. Jesteś poetą, więc po argument sięgniemy tym razem do poezji. Wyobraź sobie dwa wiersze, jeden po arystotelesowsku doskonały: nic ująć, nic dodać. Wobec takiego wiersza stajesz niemy i zapominając o sobie podziwiasz jego skończoną doskonałość. A oto drugi wiersz, niedoskonały, nie wykończony, któremu brakuje to i owo, wymagający, abyś dopełnił własnym wysiłkiem to, czego autor nie dopowiedział. Tamten wiersz tylko podziwiałeś, a ten zmusza cię do wysiłku, do współdziałania z poetą, do brania aktywnego udziału w procesie tworzenia wiersza. Który wiersz wolisz: czy ten, przy którym jesteś niczym, czy ten, który cię czyni poetą?

— Przebacz mi. Przed chwilą postawiłem ci zarzut, że

Giambattista Marino. Sztych z 1624 r. Z książki: K. Chłędowski: Rzym, ludzie baroku, 1931

sprzeniewierzasz się Arystotelesowi. A teraz powiem ci coś wręcz przeciwnego: odrzuć precz Arystotelesa, a gmach filozofii, który ty sam zbudujesz, będzie znacznie wspanialszym gmachem, od tego, który on zbudował. Twój przykład z wierszami uprzytomnił mi, że znasz moje prawdziwe myśli lepiej ode mnie. Zaraz cię o tym przekonam. Oto niedawno byłem w Como, w pałacu, który niegdyś należał do biskupa Paola Giovia. W ogrodzie przed wejściem do pałacu stał wielki posąg nagiej dojrzałej kobiety, z wyrytym napisem „Bogini Natura", a w pałacu znajdowała się wspaniała galeria obrazów, którą zaplanował i kazał — przed stu laty — wykonać biskup Giovio.

Zmiast chrześcijańskich świętych i męczenników, biskup humanista kazał sporządzić portrety przedstawiające najwybitniejszych poetów, filozofów i wynalazców czyli humanistyczną republikę uczonych. Otóż podobną republikę uczonych zamierzam pokazać w mojej *Galerii* rzucając wyzwanie malarzom. Skrzyżujemy nasze szpady, ich pędzel i moje pióro, aby wszyscy przekonali się, kto potrafi malować lepsze portrety: malarstwo czy poezja? Zarozumiali malarze sądzą, że tylko oni potrafią ukazać prawdziwe oblicze człowieka — ale są w błędzie, bo pokazują tylko ciało ludzkie. A poezja może sięgać głębiej i spoza powłoki ciała wydobyć duszę, ukazując znacznie prawdziwszy wizerunek człowieka.

Poezja jest większą, trudniejszą i szlachetniejszą sztuką od malarstwa. Bo dla malarza celem jest tylko *„bellezza"* czyli piękno do oglądania, natomiast celem poety jest *„meraviglia"* czyli coś zadziwiającego i zdumiewającego, zmuszającego do zastanowienia się, do szukania, do wnikania w głąb tajemniczego zjawiska. Tego właśnie najbardziej pragnę. Zadziwiać swoimi wierszami i zdumiewać. A poeta, który tego nie potrafi, niech lepiej zmieni pióro na zgrzebło i zamiast pisać wiersze, niech idzie czyścić konie do stajni!

— A kogo umieścisz w swojej *Galerii?*

— Zacznę od odkrywców nowych lądów, takich jak Krzy-

sztof Kolumb i od tych, którzy je zdobywali — jak Fernando Cortez. Umieszczę tam królów — którzy mi za ten zaszczyt powinni sowicie zapłacić — poczynając od Ludwika XIII. Umieszczę wielkich wodzów — Attylę i markiza Ambrogia Spinolę. Pokażę w mojej *Galerii* największych wrogów Kościoła, takich jak Julian Apostata, Henryk Korneliusz Agryppa z Nettesheim i Kalwin, a obok nich najsławniejszych obrońców Kościoła katolickiego, Ignacego Loyolę i Roberta Bellarmina. Za teologami będą szli wielcy filozofowie: Heraklit, Demokryt, Sokrates, Platon, Arystoteles, Epikur, Awerroes, Ficino, Telesio, Cremonini, sławni astronomowie: Galileusz i Tycho de Brahe, wynalazcy: Girolamo Cardano i Giambattista della Porta... Czy wiesz, że Porta wynalazł czarnoksięską latarnię? Wchodzisz do ciemnego pokoju, a tam na białym płótnie można zobaczyć wyraźnie, tak jak w rzeczywistości, sceny polowania, spotkań towarzyskich, walk i zabaw oraz wszystko, co zechcesz, drzewa, lasy, góry, rzeki, jelenie, dziki, nosorożce, słonie, lwy i inne zwierzęta. A w czasie, gdy zwierzęta i myśliwi będą się na tym płótnie poruszać, słychać będzie dźwięki trąb i rogów myśliwskich. Najbardziej zadziwiające jest jednak to, że Porta potrafi pokazać na swoim płótnie nie tylko ludzi znajdujących się daleko, ale również ich twarze, wielokrotnie powiększone. Wszyscy sądzą, że to czary, ale Porta wyjaśnił mi, że wszystko to polega na odkrytym przez niego sposobie przepuszczania światła. Obraz zostaje umieszczony przed soczewką jakby przed otworem okiennym; pełni ona taką samą funkcję, jaką spełnia przezroczysta źrenica w oku. Całe to czarnoksięstwo jest rezultatem działania naturalnych praw optyki. Namawiam Portę, żeby przeniósł na płótno mój poemat o Wenerze i Adonisie. Kiedy ludzie zobaczą na płótnie rozbierającą się boginię i — w wielkim zbliżeniu — pieszczoty miłosne kochanków przy dźwiękach podniecającej muzyki, zdobędzie on sławę większą od wszystkich malarzy, którzy potrafią malować tylko w ten sposób, że unieruchamiają to, co się w rzeczywistości porusza. Ale wróćmy do mojej *Ga-*

lerii. Umieszczam w niej wielkich poetów: Lukrecjusza, Dantego, Petrarkę i Tassa, i zuchwałych nowelistów: Boccaccia i Aretina, wielkich malarzy i rzeźbiarzy: Michała Anioła i Rafaela, Caravaggia i Bronzina, a na samym końcu najpiękniejsze kobiety.

— Jakie kobiety?

— Przede wszystkim dwie siostry: Brygidę i Weronikę, a jeżeli zostaną przyjęte moje warunki i otrzymam tę sumę, jaką podałem, to znajdą się tam również królowa Maria Medyceuszka i jej faworyta, Leonora Galigai.

* *

Kawaler Marino został w Nicei, a Vanini i Tarsjo wyruszyli w dalszą drogę sami.

— Co sądzisz, panie mój — zapytał Tarsjo Vaniniego — o *Galerii*, którą zamierza napisać kawaler Marino?

— Kawaler Marino przeciwstawia sobie poezję i malarstwo, stawiając poezję ponad malarstwem, ale sam jako poeta wciąż naśladuje malarzy. Powiada, że malarze mogą namalować tylko to, co piękne, natomiast poezja może wzbudzać niepokój, zadziwiać i zdumiewać. Ale to przeciwstawienie nie wydaje mi się trafne, bo na przykład twoja pani, Brygida Spinola Doria, na portrecie — wyczarowana pędzlem mistrza Rubensa — jest jednocześnie zachwycająco piękna i zagadkowa, zdumiewająca, wzbudzająca niepokój. A więc nie tylko poeta, ale również malarz, a w każdym razie tak wielki malarz jak Rubens, potrafi pokazywać na płótnie zarówno niezwykłe piękno jak i zdumiewające tajemnice, zmuszające do wysiłku umysłowego, do próby wnikania w głąb tajemnicy tkwiącej w półuśmiechu twojej pani.

Książka, którą ja napiszę, musi być taka jak twoja pani, Brygida, jednocześnie piękna i zagadkowa. Bohaterką tej książki będzie „Bogini Natura" — ta z ogrodu biskupa Giovia.

A pokażę w tej książce nie tylko jej piękno, lecz także jej *meraviglie, admiranda arcana,* zdumiewające tajemnice, zmuszające do myślenia, do badania, do poszukiwania. I będzie w tej książce moja „galeria" — tych wszystkich ludzi, których chciałbym zabrać ze sobą na drugi brzeg: będą tam moi rodzice i ciotka Izabela, Bartolomeo Argotti i Bonawentura Genocchi, moi ulubieni poeci: Wergiliusz, Owidiusz, Tasso i filozofowie: Pomponacjusz, Cardano, Scaligero. I będzie tam oczywiście Lukian, który oswobodził mój umysł od wiary w te wszystkie przesądy, fałsze i kłamstwa, którymi starano się mnie spętać.

Skrzyżujemy jeszcze nasze szpady, drogi kawalerze Marino. Zmierzymy się, czyja sztuka jest większa, trudniejsza i szlachetniejsza: twoja poezja czy moja filozofia?

* *
*

O zmroku Vanini i Tarsjo znaleźli się w gęstym lesie. Był nów, na niebie świeciły tylko gwiazdy. Z daleka dobiegły czyjeś jęki. Kiedy zbliżyli się, zauważyli kilkunastu ludzi leżących na ziemi, obdartych do naga, pokrwawionych, dogorywających.

— Niech będzie przeklęty książę Karol Emanuel. Marzy mu się małżeństwo z księżniczką francuską, wojna z Hiszpanią i korona cesarska, a nie umie zapewnić bezpieczeństwa w swoim własnym księstwie. Byłem bogatym kupcem — jestem nędzarzem. Po całym księstwie grasują bezkarnie bandy rozbójników, napadają, grabią, gwałcą, mordują. Kilku moich ludzi uciekło, więc teraz banda przetrząsa cały las. Uciekajcie stąd co sił, aby i was nie spotkał ten los, co mnie.

Uciekając przez las natrafili na nędzną lepiankę, zasłoniętą przez krzaki i gałęzie. Ledwie zdążyli się w niej ukryć, gdy usłyszeli głosy zbliżających się rozbójników. Gdy kilku rozbójników znalazło się tuż przy lepiance, Vanini i Tarsjo

wstrzymali oddech. Słyszeli jak biją głośno ich serca i lękali się, że to bicie ich zdradzi.

Ta noc trwała bardzo długo. Rozbójnicy przychodzili i odchodzili. Nie było mowy o śnie. Gdy rozbójnicy byli daleko, Vanini i Tarsjo patrzyli przez niewielki otwór w lepiance na gwiazdy i rozmawiali ze sobą szeptem. Vanini zauważył wówczas, że jedna z gwiazd jest jakby trochę czerwieńsza od innych.

Groziło im śmiertelne niebezpieczeństwo, ale zapomnieli o nim snując fantastyczne domysły na temat naturalnych przyczyn różnic w barwie gwiazd.

— Czy wiesz, Tarsjo — powiedział nagle Vanini — przyglądając mu się uważnie — niewiele tu widać, ale w tym świetle gwiazd wydajesz mi się chwilami bardzo podobny do pani Brygidy.

— Często mi o tym mówiono — powiedział Tarsjo — i właśnie dlatego jestem teraz z tobą, mistrzu Vanini. Bo moja pani powiedziała do mnie tak: nasz mistrz Vanini opuszcza nas udając się do Francji. Chciałabym mu dać coś na pamiątkę. Nie mogę dać mu obrazu Rubensa i nie mam żadnej miniatury. Ale mówią, że jesteś do mnie podobny, więc jeżeli ofiaruję mu ciebie, to twoja twarz będzie mu przypominać dni spędzone w Genui. Pomyślałem wówczas, że moja pani zakochała się w tobie, skoro tak bardzo lęka się, że mógłbyś o niej zapomnieć.

— Nie zapomnę o niej nigdy, mój drogi chłopcze — powiedział Vanini — to wielkie szczęście, że będę miał przy sobie zawsze jej żywy obraz. Od nieruchomych postaci malowanych przez Rubensa, od poruszających się na płótnie czarnych cieni z latarni czarnoksięskiej mistrza Porty, lepszy jesteś ty, Tarsjo, będący żywym konterfektem tej, którą kocham nad życie.

— Jeżeli przyjdzie taka chwila, mówiła pani Brygida, wyprawiając mnie w drogę, że mistrz Vanini przyzna się do tego, że mnie pokochał, zapytaj go wówczas, czy zauważył, jak wte-

dy, pierwszego dnia, w ogrodzie przy krzewie róż — nie mogąc dotknąć ustami jego ust — całowałam jego oczy moimi oczami i szeptałam przy tym słowa wiersza, które poeta Marino napisał właśnie na tę chwilę dla nas obojga:

„Poichè far non posso io
che bocca con bocca si tocchi,
baciansi almeno intanto
occhi con occhi"

— Gdy twoich ust nie wolno ustom dotknąć moim — niechże oczy z oczami pocałunek spoi.

— Czy zauważyłem? Przecież wtedy moje oczy z jej oczami całowały się tak namiętnie, że do końca życia przeszywać będzie serce cierpieniem utraconego szczęścia pamięć tej chwili.

Rozdział 16

PARYŻ 1615 R. W BIBLIOTECE NUNCJUSZA ROBERTA UBALDINIEGO NAD DZIEŁAMI HERETYKÓW I ATEISTÓW

> „Spory pomiędzy heretykami, a katolikami to spory o kozią wełnę (...) Należy zbadać co na ten temat mówią ateiści".
>
> *Giulio Cesare Vanini*

Po przyjeździe do Paryża Vanini udał się do pałacu nuncjusza papieskiego, Roberta Ubaldiniego, biskupa Montepulciano, któremu rzymski Trybunał świętej Inkwizycji polecił — jeszcze jesienią 1613 r. — roztoczenie nad Vaninim opieki i wykorzystanie go w taki sposób, aby Kościół katolicki miał z niego najwięcej pożytku. Listem z dnia 6 listopada 1613 r. nuncjusz Ubaldini zapewnił papieża Pawła V, że jeśli tylko Vanini ucieknie z Anglii i zjawi się u niego w Paryżu, polecenie świętego Trybunału zostanie wykonane.

W sierpniu 1614 r. Vanini przyjechał z Brukseli do Paryża i wręczywszy nuncjuszowi Ubaldiniemu listy polecające od nuncjusza Bentivoglia przedstawił projekt pracy nad dziełem, w którym zamierzał podjąć polemikę z poglądami teologa luterańskiego Martina Chemnitza w obronie Soboru Trydenckiego. Dzieło miało składać się z osiemnastu ksiąg. Nun-

cjusz obiecał, że zastanowi się nad tym projektem, wyrażając jednocześnie życzenie, aby Vanini wrócił do Włoch.

Podróż do Włoch odbył Vanini wspólnie ze swym przyjacielem Genocchim. Razem uciekali z Włoch do Angiii, razem uciekali z Anglii do Belgii i teraz razem wracali przez Francję do Włoch. Genocchi wrócił do rodzinnego miasta Chiavari pod Genuą, a Vanini zatrzymał się w Genui, gdzie Giacomo Doria zaproponował mu stanowisko prywatnego nauczyciela filozofii. Po kilku miesiącach Ubaldini wezwał Vaniniego z powrotem do Paryża. Vanini pożegnał Dorię i po kilku tygodniach był znów w Paryżu.

To drugie spotkanie Vaniniego z Ubaldinim wyglądało zupełnie inaczej. Nuncjusz zaprowadził go do tej części pałacu Cluny, w której mieściła się ogromna biblioteka i długo pokazywał mu najcenniejsze rękopisy i pierwsze druki z epoki Quattrocenta, a następnie zatrzymał się przy pewnej płaskorzeźbie i pokazał Vaniniemu, jak otworzyć sekretne przejście prowadzące na kręte schody do komnaty znajdującej się na szczycie wieży. W komnacie tej znajdował się zbiór najniebezpieczniejszych dzieł, wciągniętych na papieski indeks ksiąg zakazanych.

— Ojciec Święty, Paweł V, ze znakomitego rodu Borghese, przychylił się łaskawie do mojej prośby, a także do próśb hrabiego Gondomara i księcia Taurisano, aby umożliwić ci odpokutowanie grzechów pracą na chwałę Boga i Kościoła. Udziela ci się nieograniczonego zezwolenia na czytanie wszystkich dzieł zakazanych. Pozwalam ci także na korzystanie z wszystkich ksiąg, które znajdują się w mojej bibliotece a także na pracę w tej komnacie. Możesz przychodzić tu o każdej porze dnia i nocy i przebywać w tym skrzydle mego pałacu jak długo zechcesz. Czytaj. Pracuj. Pisz księgi. Pokaż, co potrafisz.

*

Czytając dzieła teologów katolickich i protestanckich, Vanini wypisywał z nich argumenty i kontrargumenty obu stron, streszczając, modyfikując, zaostrzając i budując z tego materiału swoją *Apologię Soboru Trydenckiego*. Praca postępowała szybko naprzód a tymczasem Vanini czuł, że oddala się od tych sporów coraz bardziej. Wydawał się sobie Juliuszem Cezarem, który z loży cyrkowego Amfiteatru ogląda walkę gladiatorów. Teologowie luterańscy, kalwińscy i katoliccy zadawali sobie wzajemnie dotkliwe ciosy, nie szczędzili sobie obelg i drwin, obnażali najsłabsze miejsca zwalczanych doktryn, a on czuł, że nie jest i nigdy już nie będzie jednym z nich. Nie zdawał sobie jeszcze dokładnie sprawy z tego kim jest, ale to wiedział już z całą pewnością, że nie jest ani katolikiem, ani hugenotą, ani purytaninem, ani luteraninem, ani arminianinem, ani anabaptystą, że znalazł się właściwie już poza chrześcijaństwem, które na jego oczach miotało się w konwulsjach teologicznych kontrowersji. Szczególnie chętnie przytaczał w swojej pracy obszerne fragmenty z pism jezuitów, którzy zaślepieni nienawiścią do Lutra uznającego Pismo święte za jedyne źródło wiary, sądzili, że najlepiej wykażą niezbędność opierania wiary na autorytecie nieomylnego papieża, jeżeli uda im się wykazać, że Pismo święte jest niedoskonałym tworem samych ludzi, zawiera liczne sprzeczności, pomyłki i twierdzenia fałszywe, a zatem nie może być przyjmowane jako jedyne źródło wiary.

Wypowiedzi jezuitów na temat Pisma świętego zbliżały się w ten sposób do tego, co o Piśmie świętym mówili ateiści, dla których było ono tylko zbiorem bajek. Nie dostrzegali w nim nie tylko mądrości objawienia Bożego, ale nawet zwykłej mądrości ludzkiej, znacznie wyżej ceniąc bajki Ezopa od tego, co rzekomo zostało objawione przez Boga.

Mając teraz łatwy dostęp do dzieł ateistów i zezwolenie władz kościelnych na ich studiowanie, postanowił zbadać, co w tych wszystkich sprawach, które go najbardziej interesowały, mówią ateiści. Sporządził sobie nawet, na własny użytek, mały

podręczny rejestr najsławniejszych ateistów starożytnych i nowożytnych. Wybrał jeden, pięknie oprawny zeszyt, napisał na nim *Album Atheorum* i zaczął do swojego rejestru wpisywać po kolei imiona: Diagoras z Melos, Protagoras, Diodor z Sycylii, Cyceron, Lukrecjusz, Lukian, Machiavelli, Pomponacjusz, Cardano. Następnie zaczął wpisywać tam najważniejsze problemy, a przy nich najpierw to, co rzeczywiście mówili ateiści, a później — coraz częściej — i to, co jeszcze mogliby na ten sam temat powiedzieć.

W ten sposób równolegle z *Apologią Soboru Trydenckiego* zaczęły powstawać dwie inne jego książki; w *Apologii* oddawał głos teologom katolickim i protestanckim, natomiast w *Amfiteatrze* i w *Dialogach* dopuszczał do głosu ateistów, a jeżeli w czytanych przez siebie książkach nie mógł znaleźć poszukiwanych wypowiedzi, wymyślał je sam i swoimi własnymi wywodami uzupełniał rozumowania ateistów.

I dopiero w tej pracy zaczął odnajdywać siebie samego. Zauważył, że ateiści, których wciągnął do swojego rejestru, zamieszkali na stałe nie tylko w jego pamięci, ale i na wyższych piętrach jego świadomości. Zwłaszcza Diagoras i Lukian byli zawsze obecni wówczas, gdy rozwiązywał jakiś trudny problem i wyraźnie uczestniczyli w rozwiązywaniu każdego problemu.

— Pitagoras powiedziałby, że zuchwałe dusze Diagorasa i Lukiana przywędrowały w moje ciało — mówił do siebie, spoglądając na ogród przez zakratowane okno wieży pałacu nuncjusza Ubaldiniego.

Miał więc za sobą pierwsze, sprawione przez siebie cuda. Okazało się, że potrafi wskrzesić zmarłych. Wysiłkiem własnej myśli wskrzesił myślicieli, którzy zmarli przed tyloma stuleciami, spowodował, że zmartwychwstali i znów zajmują się myśleniem. Myślą, zadają ciosy, wybuchają śmiechem, biorą udział w toczących się walkach i niebawem zaczną odnosić zwycięstwa.

Nie był już sam i nie był już „nikim". Znalazł w życiu cel,

wybrał swoją misję: „Zdzierać zasłonę z kłamstw, zwalczać fałsz, ujawniać oszustwa!"

Wprawdzie „świat chce być oszukiwany", ale trzeba mu tę chęć wybić z głowy. Musi podjąć większe zadanie niż Luter, który był tylko antypapieżem i chciał uwolnić świat od papiestwa. A gdyby tak uwolnić świat od wszystkich wyznań chrześcijańskich, kładąc kres nieskończonym sporom teologicznym „o kozią wełnę"? Po co te wszystkie wyznania i religie, skoro całkowicie wystarczy to, co Natura wypisała w sercu każdego człowieka: dążenie do prawdy i życzliwość dla wszystkich ludzi?

Rozdział 17

PARYŻ 1615 R. WIERSZE PRZYJACIÓŁ

„Czyny naszych przyjaciół pobudzają nas do spełniania podobnych czynów".

Giulio Cesare Vanini

Życzeniem nuncjusza Ubaldiniego było, aby Vanini nie poświęcał całego czasu zakurzonym księgom, ale wszedł w świat żywych ludzi, zwłaszcza tych, którzy znajdowali się najbliżej dworu królowej regentki, Marii Medyceuszki.

— Miej oczy szeroko otwarte, gra bowiem toczy się o wielką stawkę. Heretycy angielscy i niemieccy chcieliby posłużyć się francuskimi hugenotami, aby oderwać Francję od Stolicy Apostolskiej. Nie należy dopuścić do tego, aby udało im się skłócić dwa najpotężniejsze państwa katolickie: Francję i Hiszpanię. Jesteś Włochem, katolikiem, masz w sobie krew hiszpańską i byłeś prześladowany za wiarę przez Anglików; ambasador hiszpański ułatwił ci ucieczkę z Anglii. Opowiadaj więc szlachcie dworskiej, wśród której wkrótce zaczniesz się obracać, o prześladowaniach katolików w Anglii, o okrucieństwach angielskich marynarzy i staraj się umacniać przyjazne uczucia dla Hiszpanii.

Wiadomość o tym, że w Genui jego uczniem był Giacomo Doria spowodowała, że i w Paryżu wielu arystokratów zaczęło

go prosić, aby uczył ich filozofii. Wpływowy minister Nicolas Brulart de Sillery zaproponował mu, aby uczył jego bratanka, Louis Brularta. Wykładów jego słuchali także David de Castelpers-Levis, baron de Panat, Adrien de Montluc hrabia de Caramain Cramail, książę de Chabannais, Artur d'Epinay Saint Luc i wielu innych. Odczytywał im fragmenty *Amfiteatru* i rozważał z nimi kwestie omawiane w *Dialogach*.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym Vanini ukończył pisanie *Amfiteatru* i dla uczczenia tego faktu wydał skromne przyjęcie dla najbliższych przyjaciół.

Przyjaciele nie przyszli z pustymi rękami, ale nic nie mówili i z tajemniczymi minami jedli pieczeń cielęcą, kuropatwy, rutę w sałacie, ogórki, śliwki i gruszki w occie, ser mediolański, a dopiero przy deserze, kiedy podano wino z miodem, plasterki owoców w cukrze, rodzynki i nasiona szyszek, ujawnili, jaką zgotowali niespodziankę.

Najpierw Jean Gontier, nadworny lekarz królowej wyciągnął z zanadrza pergamin i odczytał łaciński wiersz:

Na Amfiteatr Juliusza Cezara Vaniniego, najsubtelniejszego filozofa

Orężem pokonał niegdyś Juliusz Pompejusza,
Nasz Cezar pokonał Arystotelesa swoim talentem.
Szczęście i wojsko dały sukces Juliuszowi,
Nasz Juliusz Cezar zwyciężył jedynie potęgą swego umysłu.
A jak talent przewyższa rozszalały oręż,
Tak nasz Cezar przewyższa Cezara chwałą.

Z następnym wierszem wystąpił nauczyciel retoryki, Jean Scheffer:

Epigram na Amfiteatr najjaśniejszego i najuczeńszego pana doktora Juliusza Cezara Vaniniego

AMPHITHEATRVM
ÆTERNÆ PROVIDENTIÆ
DIVINO-MAGICVM.
CHRISTIANO-PHYSICVM,
nec non
ASTROLOGO-CATHOLICVM.
Aduersus veteres Philosophos, Atheos, Epicureos, Peripateticos, & Stoicos.

Autore IVLIO CÆSARE VANINO, *Philosopho, Theologo, ac Iuris vtriusque Doctore.*

Ad Illustrissimum, ac Excellentiss Dominum, D. Franciscum de Castro, Comitem Castri, Ducem Tauriani, &c Serenissimi Hispaniarum Regis ad Summum Sacerdotem, Sacerdotumque Principem Legatum amplissimum.

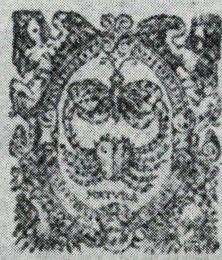

LVGDVNI,
Apud Viduam ANTONII DE HARSY,
ad insigne Scuti Colonienſis.

M. D C. XV.
CVM PRIVILEGIO REGIS.

Karta tytułowa książki Vaniniego „Amphitheatrum" 1615

Niech ustąpią mi cuda Tarpejskiego Rzymu
I dumne amfiteatry na siedmiu pagórkach,
Bo oto już się nowy Amfiteatr wznosi,
Wspanialsze dzieło wydaje na świat Vanini.
A jak w Romulusowych tylko śmierć żałosna
Żyła, tu zamiast śmierci kwitnie samo życie.
Amfiteatr ten tyleż od innych sławniejszy,
Ile życie zacniejsze i lepsze od śmierci.

Po Schefferze zabrał głos historyk Francesco Voersio odczytując epigram

Na Amfiteatr najprzenikliwszego doktora Juliusza Cezara Vaniniego

Gdyby Juliusz Cezar żył w naszych czasach,
Mógłby się u ciebie uczyć, jak zwyciężać.

Vitalis Carles, zwany przez przyjaciół „miłośnikiem Muz" odczytał epigram

Na Amfiteatr Juliusza Cezara Vaniniego, najwybitniejszego teologa

Zapłakał kiedyś Juliusz, gdy posąg zobaczył
Aleksandra Wielkiego, płoniąc się ze wstydu.
A jakżeby zapłakał, jakie łzy wylewał,
Gdyby mógł ujrzeć dzieło naszego Cezara?

Następny wiersz wygłosił filozof Gabriel De Prades:

Jakich ci niegdyś triumfów przysporzył oręż, Cezarze?
A tobie jakie zaszczyty przyniesie Amfiteatr?
Amfiteatry Saleuka dały mu życie wieczne,

Ty również wieczną osiągniesz sławę, co nie przeminie.
Wobec wzniosłego umysłu traci znaczenie przemoc,
Wszystko przewyższasz swoim wspaniałym Amfiteatrem.

Największą niespodziankę sprawił jednak Vaniniemu doktor medcyny, Ponce Prévost z Taraskonu, który pospieszył się ze swoim epigramem napisanym dla uczczenia nie *Amfiteatru*, lecz następnego dzieła to znaczy *Dialogów*, a ułożył swój epigram nie — jak pozostali przyjaciele — w języku łacińskim, lecz w języku Homera:

Do najjaśniejszego i najuczeńszego Pana Juliusza Cezara Vaniniego, najsławniejszego doktora teologii, prawa i filozofii

Ani Arystotelesa Wielkiego ani Platona
Nie czcisz już więcej, Hellado, nowego bowiem mędrca
Wydała na świat Italia.
Oto sławny Cezar, Vanini otwiera przed nami
Skarbiec Natury przynosząc przyczyny, ruchy, początki
Tysięcy niezwykłych zjawisk, tych, które kryje w sobie
Kosmos o urzekających kształtach. A korzyść największa
Z tak wspaniałego skarbu to wiedza, że Przyroda
Jest Stworzycielką wszystkiego.

Uradzono, że najlepiej będzie zawieźć rękopis do Lyonu, gdzie pani De Harsy, córka sławnego drukarza Frellona i właścicielka drukarni po zmarłym niedawno mężu, Antoine, zapewni *Amfiteatrowi* Vaniniego szybki i staranny druk. Tam bowiem drukował swoje prace, dedykowane kanclerzowi Brulartowi sławny Izaak Casaubon: wydania Teofrasta i Athenaiosa.

Oblewanie ukończonego rękopisu *Amfiteatru* trwało całą noc. Wiersze przyjaciół umocniły Vaniniego w przekonaniu, że wreszcie napisał taką książkę, na którą od dawna czekano.

W ochronnym kontekście polemiki skierowanej „przeciwko starożytnym filozofom, ateistom, epikurejczykom, perypatetykom i stoikom" obszernie referował poglądy starożytnych i nowożytnych ateistów, rozwijając je i uzupełniając własnymi rozważaniami, wkładanymi w usta mało znanego Diagorasa, a także rozmaitych współczesnych ateistów, nie wymienianych z nazwiska a spotykanych rzekomo w Niemczech, w Genewie, w Amsterdamie i w Paryżu. Dowodząc, że od wrogów wiary więcej szkody wyrządzają wierze nieudolni „obrońcy wiary", Vanini niemiłosiernie drwił z teologów, obnażając ich nieudolność i nieporadność w walce z ateistami. „Nawet Tomasz z Akwinu — mówił Vanini — nie potrafił przeciwstawić ateistom ani jednego rzetelnego argumentu", a cóż dopiero inni teologowie, którzy swoim niedołęstwem wystawiali wiarę na śmiech.

Nie był teraz sam. Miał wokół siebie wielu uczniów i przyjaciół, którzy z szacunkiem przysłuchiwali się jego słowom, wyrażali głośno aprobatę dla tego, co mówił i wybuchali głośnym śmiechem, kiedy pozwalał sobie na zuchwałe drwiny.

Co więcej, zauważył, że przyjaciele ci są obecni nie tylko wtedy, kiedy siedzą sobie w jednym pokoju za stołem, ale także i wtedy, kiedy zupełnie sam, na wieży w pałacu nuncjusza Ubaldiniego pisze swoją książkę. Czuł na sobie ich spojrzenia, słyszał ich pytania, a gdy udawało mu się napisać coś śmiesznego, rozlegał się ich głośny śmiech — chociaż w komnacie pałacowej nikogo nie było.

— Jakie to dziwne — myślał — noszę w sobie cały mój świat. Pisząc *Amfiteatr* sam powoli stałem się amfiteatrem, wypełnionym publicznością. Na arenie kłębią się moje myśli, toczy się walka, raz po raz rozbłyska jakaś nowa prawda, a na to wszystko, co się we mnie dzieje spogląda (z mojego wnętrza) wiele osób, które we mnie zamieszkały. Uciekłem z Genui, ale mimo to jest tutaj ze mną i patrzy na mnie z loży Brygida Spinola Doria. Uciekłem z Anglii, a oto z drugiej loży potrzy na

mnie arcybiskup Abbot. A wyżej nad nimi stoi mój ojciec, przy nim mistrz Bartolomeo Argotti, a w dali złowrogi cień Henryka Sylwiusza.

...W celi więziennej też nie był sam. Zaludniła się jak amfiteatr przyjaciółmi, uczniami i wrogami. Będą z nim do ostatniej chwili. Będą czekać na to, co powie. Będą patrzeć, jak będzie umierał.

Rozdział 18

LYON, MARZEC 1615 R. ZACZAROWANA KARCZMA. UKARANIE PIJANYCH MUSZKIETERÓW

„W marcu, kiedy byłem w Lyonie (...) karczmarz zażądał za skromną kolację 30 soldów (...) Wtedy chłopiec mój rozsypał proszek z zasuszonych tarantul (...) i wszyscy zaczęli podskakiwać. Nie tylko katolicy, ale również hugenoci sądzili, że to jakieś diabelskie czary..."

Giulio Cesare Vanini

Do Lyonu przybyli późnym wieczorem. Było za późno, żeby niepokoić panią De Harsy, więc strudzeni podróżą zatrzymali się w pierwszej napotkanej karczmie. Ledwie usiedli za stołem i zamówili kolację, do karczmy wtargnęła najpierw jedna a potem druga grupa hałaśliwych muszkieterów z dwóch różnych oddziałów; jedni z nich byli katolikami, drudzy hugenotami i po kilku dzbanach wina zaczęły się wzajemne docinki i zaczepki.

Vanini i Tarsjo siedzieli cicho starając się, aby nie zwrócono na nich uwagi, ale niestety nie pozostawiono ich w spokoju. Przysiadło się do nich dwóch muszkieterów, jeden katolik a drugi hugenota i zaczęli natarczywie domagać się, aby Vanini rozsądził ich spór. Jego milczenie rozdrażniało ich coraz bar-

dziej, więc odezwał się, ale wtedy od razu poznali, że jest Włochem. Okazało się wtedy, że ich nienawiść do Włochów była silniejsza od dzielących ich różnic wyznaniowych. Przywołali swoich towarzyszy i podobnie jak w Anglii, tak i tu posypały się wyzwiska.

— Czego szukasz, ty włoski przybłędo, wysłanniku atramentowego marszałka Conciniego, intrygancie i trucicielu medycejski — wołali jeden przez drugiego, szturchając go i zabierając się do bicia.

Jedynym wyjściem było zawołanie karczmarza i postawienie wszystkim muszkieterom wina. To ich ułagodziło. Odeszli od niego, pousiadali za stołami, ale postawili warunek, że będzie im śpiewał włoskie piosenki.

— Dobrze, dobrze, zaśpiewam wam tarantelę, ale poczekajcie aż mój chłopiec przyniesie mi piszczałkę, którą mam przytroczoną do siodła.

Wychodzącemu chłopcu wcisnął do rąk sakiewkę i szepnął kilka słów na ucho. Tarsjo zrozumiał w lot o co chodzi, rozciął sakiewkę kozikiem i korzystając z tego, że nikt nie zwracał na niego uwagi przeciskał się do wyjścia krążąc pomiędzy stołami i rozsypując na stoły i kolana muszkieterów żółty proszek.

Tymczasem podszedł karczmarz i zażądał za kolację 30 soldów. Była to suma olbrzymia, ale karczmarz również nie cierpiał Włochów i sądził, że może bezkarnie wyłudzić większą sumę od bezbronnego cudzoziemca.

— Zatańczysz mi i ty — szepnął Vanini z wściekłością — odliczając soldy w taki sposób, żeby przylepił się do nich rozsypany na stole proszek.

Tymczasem Tarsjo przyniósł piszczałkę i Vanini zbliżył ją do ust, przypominając sobie melodie śpiewane w Apulii.

Karczmarz zgarnął pieniądze i już przy pierwszych dźwiękach taranteli zaczął się drapać, otrząsać i zabawnie podskakiwać. Rozbawiło to muszkieterów i tarantelę zagłuszył ich ha-

łaśliwy, pijacki śmiech. Ale wkrótce i oni zaczęli się kręcić, wstawać z ław, podrygiwać i pląsać.

Zabawny był to widok. Szalone podskoki karczmarza i kilkunastu muszkieterów. Tańczyli wszyscy, katolicy i hugenoci — Vanini grał na piszczałce salentyńską tarantelę, a Tarsjo zaśmiewał się do łez.

— To karczma zaczarowana! — zawołał jeden z muszkieterów — bić karczmarza czarownika, żeby nas odczarował!

Uwierzyli mu wszyscy, nie tylko katolicy, ale również hugenoci. Drapiąc się, otrząsając i skacząc rzucili się na karczmarza i zaczęli okładać go pięściami.

— Masz napiwek do tych trzydziestu soldów, które mi, jak złodziej, wydarłeś.

— Czy nie sądzisz, panie mój — rzekł Tarsjo — że za to zabawne widowisko warto było zapłacić trzydzieści soldów?

— Warto było, mój chłopcze. Ale chyba teraz należy skorzystać z tego zamieszania i wynieść się stąd, zanim się do nas dobiorą.

Rozdział 19

PARYŻ 1615 R. ŚMIERĆ ASTROLOGA RUGGIEREGO I MARSZAŁKOWA LEONORA GALIGAI

„Myślałem, że to dzieło diabła, ale okazało się, że sprawcami są książęta".

Giulio Cesare Vanini

Pani De Harsy obiecała, że *Amfiteatr* ukaże się w końcu czerwca, a najpóźniej w pierwszych dniach lipca. List polecający od kanclerza Brularta i fakt, że dzieło było poprzedzone dedykacją dla księcia Taurisano zadecydowały o tym, że drukarze odłożyli inne rękopisy na bok i od razu przystąpili do składania *Amfiteatru*.

Vanini wrócił z Lyonu do Paryża, a tam czekała już na niego wiadomość, że jego uczeń Artur d'Epinay Saint Luc, czerpiący dochody z bogatego opactwa cystersów w Redon pragnie go przedstawić swojemu kuzynowi, potężnemu faworytowi królowej Marii, Bassompierre'owi.

— Artur opowiadał mi wiele o tobie, mistrzu Vanini. Tak się zdarzyło, że potrzebny mi jest spowiednik, któremu mógłbym wypłacać pensję w wysokości 200 talarów rocznie. Zanim jednak zdecyduję się ciebie zatrudnić, pozwól, że zadam ci kilka pytań, aby sprawdzić, czy będziemy do siebie pasowali. Pytanie

pierwsze: czy będziesz wymagał, abym słuchał odprawianych przez ciebie mszy?

— Jeżeli mi tylko pozwolisz, to nie będę ich wcale odprawiał.

— Pytanie drugie: czy będziesz mi udzielał rozgrzeszenia za stosunki miłosne z dziewicami i cudzymi żonami?

— Byłoby grzechem, panie, gdybyś mając tak piękne ciało — piękniejsze od ciała Heleny Trojańskiej — powstrzymywał się od tych stosunków i pozbawiał kobiety rozkoszy obcowania z tobą.

— No to jeszcze trzecie i ostatnie pytanie: czy wierzysz w Boga?

— Otrzymałem, panie, staranne wychowanie i przede wszystkim nauczono mnie uprzejmości. A jak powiada nasze włoskie przysłowie: *il credere è cortesia.* Człowiek uprzejmy zawsze wierzy w to, co mówią.

— A więc nareszcie będę miał takiego spowiednika, jaki mi jest potrzebny. Dziękuję ci, mój miły Arturze, za to, żeś mi go przyprowadził. Jeżeli chcesz, jeszcze dziś możesz się sprowadzić do mojego pałacu. Mój służący wskaże ci twoje pokoje, w prawym skrzydle z własnym ogrodem. Mam nadzieję, że będzie ci się u mnie bardziej podobało, niż u arcybiskupa Abbota w Lambeth. Nie będziesz musiał sam zmieniać pościeli ani sprzątać. Będą to czyniły młode pokojówki.

* *
*

A więc już nie jest nikim. Wkrótce ukaże się *Amfiteatr,* teraz wszystkie siły poświęci na dokończenie *Dialogów.* Budzi powszechne zainteresowanie; w salonach zawsze jest otoczony przez młodych markizów i piękne hrabianki, zachwycające się jego urodą i ceniące jego dowcip. Arystokracja francuska narzuciła mu sposób bycia: przede wszystkim chcą, żeby śmieszył. Może sobie teraz pozwolić na każdą zuchwałość, byle tyl-

Francois de Bassompierre, sztych z XVII w.

ko została wypowiedziana w sposób budzący śmiech. Zresztą sława jego dowcipu była już tak wielka, że teraz, cokolwiek powiedział, było przyjmowane wybuchami śmiechu, bo nikt nie chciał narazić się na podejrzenie, że nie zrozumiał jakiejś subtelnej aluzji, która na pewno musiała się kryć w słowach filozofa.

Zastanawiał się teraz coraz częściej, co właściwie kształtuje jego osobowość. Czy to Ubaldini, Bassompierre i młodzież skupiona wokół dworu sprawia, że on, Vanini, jest takim, jakim jest, czy on sam własnymi decyzjami rzeźbi swoje własne oblicze duchowe, czy też o wszystkim decydują z daleka pomyślne dla niego koniunkcje planet.

Postanowił porozmawiać o tych sprawach z astrologiem. Na dworze królewskim w Paryżu przebywał w owym czasie sławny włoski astrolog, Cosmo Ruggieri, ale Vanini wybrał się na rozmowę zbyt późno. Ruggieri umierał.

Na życzenie umierającego przyjaciele przenieśli jego posłanie do wieży.

— Odsłońcie kotary, otwórzcie szeroko okna — powiedział — żyłem wśród gwiazd i chciałbym umierać wśród gwiazd.

— Skąd wiesz, że umrzesz? — zapytał Vanini. — Czy mówi o tym twój horoskop?

— O tym, że umrę, mówi mi moje chore ciało i dogasająca w nim dusza. A gwiazdy są daleko i zajmują się swoimi własnymi sprawami. Cóż daleką gwiazdę może obchodzić to, że umieram?

— Ale przecież układałeś horoskopy królowej i książętom.

— Byłem dworakiem, jak wy wszyscy. A pierwsze przykazanie dworaka brzmi: książętom nie mówi się nigdy prawdy, ale tylko to, co pragną w danym momencie usłyszeć. Wyczytywałem więc dla nich z gwiazd zaszczyty, sławę, bogactwa, władzę, zwycięstwa, powodzenie w miłości i w ten sposób panienka Astrologia, głupiutka córeczka Nauki o gwiazdach żywiła

mnie i odziewała, abym mógł spokojnie badać ruchy ciał niebieskich.

— Więc gwiazdy nie mają żadnego wpływu na losy ludzi? A komety? Czy nie zapowiadają śmierci królów?

— Kiedy Jacques Clément wbijał sztylet w pierś króla Henryka III, a François Ravaillac w pierś króla Henryka IV, nie było na niebie żadnej komety. To nie komety spowodowały ich śmierć, ale intrygi polityczne. Nie gwiazdy ustaliły datę ich śmierci, ale spiskujący książęta. Czasem zdarza się wprawdzie, że gdy na niebie pojawia się kometa, to przypadkiem w tym samym czasie umiera jakiś monarcha. Umiera jednak nie od komety, lecz najczęściej od trucizny, którą mu podsuwa rodzony brat, żona albo stryj.

— O losach ludzi decyduje Bóg — odezwała się Leonora Galigai, żona marszałka d'Ancre.

— Boga nie ma, miła Leonoro. Żyjąc na dworze miałaś wiele okazji, żeby się o tym przekonać. Jedynymi bogami są królowie i książęta, bo to od ich łaski i niełaski zależy nasz los. Od ich kaprysu zależy to, co nas spotyka: dziś cię wywyższą a jutro poniżą; wczoraj rzucili ci sakiewkę pełną dukatów a jutro zabiorą ci to, co najbardziej kochasz, żonę lub córkę. Idąc na dwór nigdy nie wiesz, czy pan, od którego zależy twój los, będzie tego dnia słonecznym bóstwem czy przeklętym diabłem.

— Nie wymawiaj, Cosmo, imienia diabła na łożu śmierci! — zawołała Leonora, czyniąc znak krzyża — żeby nie zjawił się i nie porwał cię ze sobą do piekła!

— Nie ma diabła. Takich diabłów, czarnych z rogami, jak ich malują w kościołach, wymyślili księża. Prawdziwymi diabłami są tylko diabły w ludzkiej skórze, królowie i książęta. To oni potrafią zmienić nasze życie w prawdziwe piekło. I tylko takich diabłów lękaj się, Leonoro, bo gdy wyciągną po ciebie swoje szpony, nie obroni cię ani człowiek żaden, ani Bóg.

* *
*

Nie wiedziała Leonora, że słowa umierającego astrologa zawierają straszliwą prawdę. Nie wiedziała, że dni jej są już policzone, a cios spadnie na nią z tej strony, z której najmniej się go spodziewa. Nie zauważała błysków nienawiści w oczach ślicznego dziecka, syna swej dobrodziejki, królowej Marii. Nie pamiętała już zdarzenia, które miało miejsce kilka lat temu, kiedy — z polecenia królowej — asystowała przy jego lekcjach i uderzyła go, ponieważ po raz drugi już nie nauczył się zadanego wiersza Scaligera.

— Dlaczego mnie bijesz? — zawołał mały Ludwik.

— Bo masz być królem Francji, a król Francji musi być człowiekiem wykształconym.

— Nienawidzę cię. Jak dorosnę, każę cię zabić.

— Nie uczynisz tego, bo zasmuciłbyś swoją matkę. To twoja matka kazała mi czuwać nad tym, żebyś odrabiał lekcje.

— To matkę też każę zabić!

— Nie uczynisz tego, bo za taki grzech ciężko ukarałby cię Bóg.

— To Boga też każę zabić!

Leonora zapomniała o tych słowach rozżalonego dziecka, ale obecny przy tej scenie lekarz królewicza, Jean Héroard zapisał je w swoim dzienniku.

Nie zapomniał o tym wydarzeniu królewicz Ludwik i czekał niecierpliwie na chwilę, w której dorośnie i będzie mógł spełnić swoją groźbę. Na razie jego ulubioną zabawą było bicie kijem psa.

— Dlaczego bijesz psa? — zawołał Jean Héroard.

— Uczę go posłuszeństwa królowi. I tak samo będę uczył naród francuski, żeby mi był posłuszny.

* *
*

Umierający astrolog chciał spędzić ostatnie chwile życia sam na sam z ukochanymi gwiazdami. Opuścili go więc.

Ludwik XIII. Malował Pourbus. Florencja, Uffizi

Schodząc razem z wieży, Vanini i Leonora sądzili, że rozstając się z umierającym oddalają się w ten sposób od śmierci; nie zdawali sobie sprawy, że oto rozpoczynają wspólnie drogę do własnej, coraz bliższej i równie okrutnej śmierci.

— Trudno wyobrazić sobie piękniejszą śmierć — powiedział Vanini — wprawdzie w ostatnich słowach Ruggierego było wiele goryczy, ale teraz został sam z tym, co najbardziej w życiu ukochał. Od dawna już dusza jego przebywała raczej wśród gwiazd, niż w jego ciele, a wkrótce przeniesie się tam całkowicie i na zawsze.

— A twoja dusza, mistrzu Vanini? — zapytała Leonora.

— W tej chwili przebywa raczej w moich rękopisach, niż w moim ciele. Myślami jestem w Lyonie i czuję jak pieści mnie dotknięcie delikatnych dłoni pani De Harsy, wygładzającej karty rękopisu i sprawdzającej, czy drukarze prawidłowo składają mój Amfiteatr. Jeszcze kilka miesięcy, a pani De Harsy sprawi, że zostanę zwielokrotniony i pachnące czarną farbą egzemplarze rozfruną się jak stado ptaków po całym świecie. I ja prawdziwy będę tam, w nich, bardziej niż tu.

Odprowadził Leonorę aż do jej pałacu. Pochłonięci rozmową nie zauważyli, że przed pałacem Concinich stał Bassompierre.

— Widzę, że mój kapelan nie traci czasu. Wśród tysięcy paryżanek potrafił wypatrzyć najpiękniejszą Włoszkę z otoczenia naszej królowej. Oto już i spacery nocą i westchnienia...

— Mylisz się, mój panie — przerwał Vanini — sądząc, że teraz jest noc. Świeci przecież słońce, jest południe.

— Znane jest twoje zamiłowanie do paradoksów. Ale trzeba być szalonym, żeby o północy twierdzić, że jest południe.

— A jednak to ja mam rację. Jest południe, świeci słońce, a słońcem tym jesteś ty sam, mój panie. Gdziekolwiek bowiem padną twoje promienie, tam wszystko się od razu złoci. Spowity długo w mrok płaszcza ubóstwa znalazłem się, panie mój, przed twoim obliczem i od razu zostałem ozłocony dukatami.

Leonora Galigai, żona Conciniego, marszałkowa d'Ancre (z książki G. Hanotaux)

— Ozłocę cię i teraz. Wygrałem właśnie w kości większą sumę od marszałka d'Ancre. Oto sakiewka. Jeżeli powiesz, że wolisz dukaty od pocałunków pani marszałkowej, sakiewka będzie twoja.

— Nie znam i nigdy nie poznam smaku jej pocałunków, ponieważ sławione przez poetę Marina piękno jej ciała zasłania przed nami na zawsze pancerz jej cnoty i małżeńskiej wierności. Niechże mnie więc w tym smutku pocieszą, panie, twoje dukaty.

— Weź i ode mnie sakiewkę, mistrzu Vanini. Dobrze wiem, że nie jestem piękna i że nikt na świecie nie pragnie moich pocałunków. Mimo to słowa twoje sprawiły mi przyjemność, za którą warto zapłacić. Bo widzisz, i ty, i ja, i kawaler Bassompierre, *siamo dello stesso mestiere,* uprawiamy ten sam zawód. Kiedy potrzebne mi są pieniądze, mówię królowej Marii, że jest piękna i mądra, a ona — chociaż dobrze wie, że to nieprawda — płaci mi za to, ponieważ chce mi wierzyć. To samo czyni kawaler Bassompierre, wyznając codziennie królowej swoją miłość i skarżąc się na jej okrucieństwo. A królowa płaci mu za to, bo jego udawanie sprawia jej przyjemność.

Z tego, co powiedziałeś przed chwilą i mnie, i Bassompierre'owi, wynika, że potrzebne ci są na coś pieniądze. Weź więc i ode mnie sakiewkę, a za następnym razem znów powiedz mi coś miłego, udając, że w to wierzysz. Ja też przed samą sobą będę udawała, że wierzę i w ten sposób to nasze ciężkie życie stanie się chociaż na chwilę trochę bardziej znośne.

Niczego jeszcze w życiu nie dostałam za darmo. Musiałam wszystko sobie kupować i za wszystko drogo płacić. Wszyscy wiedzą i głośno o tym mówią, że kupiłam sobie męża. Byłam brzydka, ale miałam pieniądze. On był piękny, ale nie miał ani grosza. Uczyniłam go marszałkiem Francji. Utrzymuję królową w przekonaniu, że jest mądra i piękna, a ona daje mi pieniądze, żeby mój Concino mógł je przegrywać w kości

i po każdej przegranej zapewniać mnie, że mnie kocha. Lubię jak przegrywa, lubię jak potrzebuje ode mnie pieniędzy, lubię jak zapewnia mnie o swojej miłości. Lubię to jego udawanie, i sama udaję, że mu wierzę i tak na tym udawaniu jakoś schodzi nam to życie.

— A ja nie lubię mądrych kobiet — powiedział Bassompierre po odejściu Leonory. — Jej myśli są za bardzo mądre i za bardzo prawdziwe, a to jest jeszcze bardziej irytujące od jej brzydoty. Całe szczęście, że na tym świecie nie brakuje kobiet pięknych i głupich.

Rozdział 20

PARYŻ 1615 R. ROZMOWA Z KRÓLOWĄ MARIĄ MEDYCEUSZKĄ. MEDYCEJSKA DROGA DO NIEŚMIERTELNOŚCI

„Najwyższym bytem — summum ens — jest złoto. Od złota bowiem zależą wszystkie inne byty".

Giulio Cesare Vanini

Dalszy ciąg rozmowy z Bassompierrem toczył się we śnie — Leonora Galigai, Galigai Leonora — powtarzał Bassompierre — Galigai Leonora, stara i brzydka jak zmora.

Słowa Bassompierre'a jak zaklęcia czarownika wywołały Leonorę z jej pałacu.

— Oto i ona, czarna florencka wrona. Spójrz na jej blade lica — prawdziwa czarownica! Sucha, koścista starucha, przybłęda natrętna jak mucha.

Zaklęcia były skuteczne. Leonora robiła się od nich coraz chudsza i brzydsza.

— Wiedźma z nasienia czarta. Czy wiesz ile teraz jest warta? Na hańbę miastu i światu: trzy miliony złotych dukatów!

Kiedy to powiedział, wzeszło słońce a ze słońca, jak z otwartego worka zaczęły wysypywać się małe złote słoneczka, złote dukaty, dźwięcząc wesoło jak dzwonki. Od blasku tych

dukatów Leonora wyprostowała się, jej chude ciało zaczęło pęcznieć, a suknia pękać, odsłaniając posągowe kształty bogini Wenus...

— Zbudź się wreszcie. Co ty tak twardo śpisz? Wstań — wzywa cię królowa Wenus. Wenus Medici...

Otworzył oczy. Ktoś szarpał go za ramię. Nie wiedział, czy to jeszcze sen, ale w dziewczynie, która go budziła rozpoznał pokojówkę marszałkowej.

— Ubieraj się. Powóz czeka. Królowa chce cię natychmiast widzieć. W powozie czeka pani marszałkowa.

Na dworze było jeszcze ciemno. Ale takie były wówczas obyczaje królów, że najważniejsze rozmowy rozpoczynali przed wschodem słońca. W powozie Leonora wyjaśniła mu, że kiedy opowiedziała królowej o rozmowie, jaką toczyli schodząc z wieży, królowa wyraziła życzenie natychmiastowego zobaczenia go. Chce bowiem zasięgnąć jego rady w pewnej niezwykle ważnej sprawie.

W poufnych spotkaniach z Włochami, królowa nie przestrzegała żadnej etykiety. Lubiła rozmawiać z nimi po włosku, często nawet o byle czym, ponieważ w ten sposób najlepiej odpoczywała, przenosząc się myślami w lata swojej młodości. Miała teraz 42 lata, ale otyłość sprawiała, że wyglądała na znacznie więcej.

— A więc to ty jesteś owym sławnym filozofem Vaninim, o którym wciąż mówi się na moim dworze? Bassompierre często przytacza twoje powiedzenia, a dziś wiele mi o tobie naopowiadała Leonora. Ile masz lat?

— Dwadzieścia dziewięć, Najjaśniejsza Pani.

— Znasz się na gwiazdach?

— Staram się usilnie wydzierać tajemnice Przyrodzie.

— No to powiedz mi, jak nazywają się księżyce krążące wokół Jowisza?

— To twoje rodzeństwo, Najjaśniejsza Pani. Noszą nazwisko najszlachetniejszego z rodów włoskich, którego córki za-

siadają na tronie Francji. Księżyce te nazywają się Gwiazdami Medycejskimi.

— Mówiono mi, że byłeś w Anglii. Czy widziałeś rodzinę królewską?

— Tak, Najjaśniejsza Pani. Byłem na weselu córki króla Jakuba z księciem Palatynatu.

— To dobrze. Powiedz mi w takim razie, który ślub był wspanialszy, tamten angielski, czy też ślub mojego syna?

— Ślub twego syna, króla Ludwika z infantką hiszpańską w takim stopniu przewyższał wspaniałością ów ślub angielski, w jakim królestwo Francji przewyższa dostojeństwem i potęgą księstwo Palatynatu.

— A co byś powiedział na małżeństwo królewicza Karola z moją córką, Henriettą?

— Nie ma na całym świecie księżniczki równie dostojnego rodu; nie ma zatem osoby bardziej godnej do zasiadania na tronie angielskim obok królewicza Karola.

— A moja córka Krystyna? Na jakim tronie byś ją posadził?

— Jestem Włochem, Najjaśniejsza Pani i sądzę, że należy oddać Włochom to, co utraciły, gdy opuściłaś je, aby zająć tron Francji. Oddaj więc, Najjaśniejsza Pani, swoją córkę synowi księcia sabaudzkiego, Karola Emanuela.

— A co sądzisz o małżeństwie mojego syna Ludwika z infantką Anną?

— Zapewniłaś w ten sposób trwały pokój pomiędzy dwiema największymi potęgami świata chrześcijańskiego. Jako poddany króla hiszpańskiego i syn szlachcianki hiszpańskiej cieszę się z tego szczególnie.

— Ale księciu Kondeuszowi i hugenotom nie podoba się to małżeństwo. Co mam zrobić z hugenotami? Co powiedziałbyś na drugą noc świętego Bartłomieja?

— Edyktem z Nantes król Henryk Wielki przekształcił hugenotów z wichrzycieli w wiernych poddanych. A nikczemny morderca Ravaillac nie był bynajmniej hugenotą, lecz...

Maria Medyceuszka, królowa Francji. Malował A. Bronzino, Florencja, Uffizi

— Wiem, kto kierował ręką Ravaillaca. Ale hugenoci to heretycy.

— Sprawę zbawienia ich dusz pozostaw, Najjaśniejsza Pani, Kościołowi. Największe niebezpieczeństwo polega na tym, żeby hugenoci nie porozumieli się z księciem Kondeuszem i nie obwołali go swoim przywódcą. Przede wszystkim więc trzeba ich ze sobą skłócić. We Francji jest tyle różnych sił, że trzeba umiejętnie posługiwać się jednymi przeciw drugim.

— A jeśli książę Kondeusz zbuntuje się?

— Masz Bastylię, Najjaśniejsza Pani.

— Odgadujesz moje myśli. Podobają mi się twoje odpowiedzi. Możemy zatem przejść do sprawy zasadniczej. Kto jest, według ciebie, największym poetą naszych czasów?

— Giambattista Marino.

— A kto jest największym malarzem?

— Mistrz Piotr Paweł Rubens.

— Czy kobiety na jego obrazach są rzeczywiście takie piękne?

— Doświadczyłem tego na samym sobie, Najjaśniejsza Pani. Kiedy w jednym z pałaców genueńskich ujrzałem obraz Rubensa upadłem z wrażenia jak martwy na ziemię i ledwie mnie docucono.

— Mówiła mi Leonora, że jesteś filozofem i piszesz książkę o nieśmiertelności. Powiedz mi więc w jaki sposób zdobywa się nieśmiertelność, a raczej, w jaki sposób może zdobyć nieśmiertelność ktoś taki jak ja. No bo widzisz, nie jestem mężczyzną, aby z mieczem w ręku toczyć wojny i przyłączać do Francji nowe prowincje. Nie jestem filozofem ani poetą, żeby unieśmiertelnić się w pisanych przez siebie księgach. Trochę rysuję, ale nie aż tak, żeby moje obrazy zapewniły mi nieśmiertelne imię u przyszłych pokoleń.

— Będziesz nieśmiertelna, bo twoja krew płynąć będzie w żyłach królów francuskich, hiszpańskich, angielskich. Będziesz nieśmiertelna, bo twoje mądre rządy zostaną opisane przez historyków.

— To wszystko nie to. Jestem kobietą i chciałabym, żeby potomni wiedzieli, że byłam piękna; chciałabym, żeby mnie widzieli i pamiętali rysy mojej twarzy, moje włosy, oczy, usta, ramiona. Posłuchaj uważnie, jak to sobie obmyśliłam.

Jestem Medyceuszką, a my Medyceusze odkryliśmy niezawodny sposób na zdobywanie wszystkiego, czego tylko pragniemy. Dzięki posiadanemu złotu kupiliśmy sobie panowanie nad Florencją. Dzięki olbrzymiemu posagowi, który oszołomił króla Henryka, zostałam królową Francji. Dla swego syna Gianniego — gdy chłopiec miał 9 lat — Lorenzo kupił mitrę arcybiskupią, a gdy miał 13 lat — purpurę kardynalską. Wkrótce potem opłaceni przez Lorenza kardynałowie wybrali Gianniego papieżem. Sypnęliśmy złotymi dukatami, a Michał Anioł wyczarował z kamienia posągi Medyceuszy, które podziwia cały świat. Sypnęliśmy dukatami, a Galileusz umieścił na niebie gwiazdy medycejskie. Więc postanowione: nieśmiertelność budować mi będą kawaler Marino i Rubens. Marino — dźwięcznymi rymami, Rubens — światłem soczystych barw. Dwadzieścia jeden wielkich płócien pokaże potomnym najważniejsze wydarzenia mojego życia — wśród królów, książąt, bogów i bogiń. Po sztuce złota za każde dotknięcie pędzla.

A tu sztuka złota dla ciebie za dobrą radę, w jaki sposób biedna kobieta może kupić sobie nieśmiertelność.

* *
*

Tego samego dnia spotkali się w ogrodzie we trójkę: Leonora, Vanini i Giambattista Marino.

— Kawalerze Marino — zapytała Leonora — dlaczego dotąd nie napisałeś ani jednego wiersza o swoim przyjacielu Vaninim?

— Jestem za biedny, droga Marszałkowo, żeby móc pisać wiersze za darmo. Nie mam ojca bankiera ani książęcych włości, pisaniem wierszy w pocie czoła zarabiam na chleb.

— A gdyby ci zapłacić, czy potrafiłbyś na poczekaniu ułożyć wiersz?

— Oczywiście. To przecież mój zawód.

— Gotowa jestem zapłacić, żeby się o tym przekonać. Ile za wiersz?

— To zależy jaki wiersz. Im więcej zapłacisz, tym więcej szlachetnego kruszcu zadźwięczy w słowach tego wiersza.

— Za wiersze wysławiające moją urodę płaciłam ci po sztuce złota za każde udane kłamstwo. Ale w przypadku mistrza Vaniniego nie musisz się trudzić wymyślaniem kłamstw. Wystarczy, żebyś powiedział wierszem prawdę.

— Jak każesz, ale w takim razie wiersze będą kosztowały drożej, bo zgodzisz się chyba, że prawda jest droższa od kłamstwa. A zatem po dwie sztuki złota za każdą prawdę, płatne po każdym rymie.

— Mam przy sobie sześć sztuk złota, więc na razie zakupię dla mistrza Vaniniego nieśmiertelność w wymiarze trzech rymów. Zaczynaj.

Marini zaczął się przyglądać Vaniniemu tak, jakby widział go po raz pierwszy i, przybrawszy odpowiednią pozę, zaczął recytować:

„Włos z przyrodzenia ukędzierzawiony
W pierścienie czarne wije się skręcony".

To rzekłszy wyciągnął rękę, na którą Leonora położyła dwie sztuki złota.

„Pod nim granica czoła wyniosłego
Jest majestatu pełna wesołego".

Otrzymawszy dwie następne sztuki złota Marino wyrecytował trzeci dwuwiersz:

„Ale kto gwiazdy wyrazi słowami
Pod wyniosłymi posadzone brwiami?"

Proszę o dwie sztuki złota.

— Za co, kawalerze Marino? Zamiast wyrażać słowami pochwałę mistrza Vaniniego, sam zadajesz pytanie: „kto wyrazi słowami" piękno jego oczu. Odpowiadam: ten, kto potrafi to wyrazić wierszem, dostanie obiecaną zapłatę.

— Ale przecież to jest taki poetycki sposób wyrażania się. Zdanie to ma tylko pozornie formę pytania, a naprawdę jest twierdzeniem.

— Nic mnie nie obchodzą wasze poetyckie sposoby wyrażania się. Płacę, więc mam prawo wymagać, żeby towar był dobry.

— Niech ci będzie, chociaż mnie samego wiersze te drożej kosztują:

„Gwiazdy mądrości, z wiedzy oceanem
Wszystkie piękności w jedną twarz zebrane!"

— O, teraz lepiej. Ale zanim ci zapłacę, zapytajmy mistrza Vaniniego czy wiersze te są rzeczywiście warte sześć sztuk złota?

— To zależy. Trzeba zapytać, czy kawaler Marino naprawdę ci te wiersze sprzedaje, czy też pokazał ci tylko to, co w dalszym ciągu pozostaje jego własnością. Jeżeli tylko pokazał, to właściwą zapłatą będzie również pokazanie mu tylko tych sztuk złota. A jeżeli naprawdę ci sprzedał i wiersze te stały się twoją własnością, to nie wiem, co będzie z jego poematem o Adonisie, z którego wiersze te zostały wyrwane — jak przednie zęby. Wybieraj, kawalerze Marino: albo oddaj pani marszałkowej cztery sztuki złota, które wziąłeś, albo weź całą sakiewkę i szukaj dentysty, żeby ci teraz wstawił do twojego poematu sztuczne zęby.

Rozdział 21

PARYŻ 1615 R. DUCH ASTROLOGA NA CMENTARZU ŚWIĘTEGO SULPICJUSZA. LEKARZ GRÉGOIRE CERTAIN

„Któż na cmentarzu świętych Niewiniątek albo świętego Sulpicjusza potrafiłby odróżnić materię zwłok ludzkich od materii myszy i robaków?".

Giulio Cesare Vanini

Astrolog Ruggieri spędził ostatnie godziny życia sam wśród ukochanych przez siebie gwiazd. Następnego dnia przed południem przyszedł lekarz Grégoire Certain i stwierdził śmierć. Zmarłemu astrologowi wyprawiono skromny pogrzeb i pochowano go na cmentarzu świętego Sulpicjusza.

Minęło kilka tygodni od pogrzebu, gdy do rąk inkwizytora paryskiego wpłynął donos wyliczający liczne bluźnierstwa wypowiedziane przez Ruggierego w ostatnich dniach życia. W donosie wspominano także o wielu innych włoskich przybłędach, którzy — z uszczerbkiem dla praw wysoko urodzonych Francuzów — wdarli się na wysokie stanowiska, wyłudzając od królowej złoto i klejnoty. Wysunięto także oskarżenie, że Leonora Galigai, którą widziano u łoża umierającego astrologa, przy pomocy praktyk czarnoksięskich omotała umysł królowej.

Podjęcie decyzji nie było wcale łatwe. Inkwizytor dosko-

nale orientował się, że to nie gorliwość religijna dyktowała słowa donosu, ale ktoś stojący bardzo wysoko postanowił wciągnąć go do starannie obmyślonej rozgrywki politycznej. Na razie władza należała do królowej i narażanie się na jej gniew nie było bezpieczne. Już wkrótce jednak, za kilka lat albo może nawet za kilka miesięcy władza przejdzie w ręce młodego króla i jego faworytów, którzy przepędzą Włochów z królewskiego dworu. Może wówczas ciężko zapłacić za lekceważenie donosu. Zresztą ci, którzy wystosowali ten donos, mogą i na niego napisać donos do Rzymu zarzucając mu brak gorliwości w zwalczaniu heretyków i bluźnierców.

Ważąc długo wszystkie argumenty za i przeciw, inkwizytor postanowił wytoczyć proces zmarłemu astrologowi, a zebrane w czasie procesu materiały przeciwko Leonorze Galigai, schować w archiwach trybunału do wykorzystania w odpowiedniejszym czasie.

Wydany wyrok uznawał Ruggierego za bluźniercę pozbawionego prawa do spoczywania w poświęconej ziemi. Z rozkazu inkwizytora grabarze rozkopali jego grób i wyrzucili rozkładające się zwłoki na pobliski śmietnik, gdzie wyrzucano zdechłe konie, psy i koty.

W kilka dni później Grégoire Certain, który jako lekarz został wezwany przez inkwizytora do stwierdzenia tożsamości zwłok i był obecny przy wywożeniu ich na przycmentarny śmietnik, zaprowadził Vaniniego na cmentarz świętego Sulpicjusza i opowiedział mu wszystko, co się wydarzyło.

Była noc rozświetlana jedynie pełnią księżyca wynurzającego się raz po raz zza chmur.

— Jak sądzisz? — zapytał Certain Vaniniego — czy istnieje tylko jedna materia, czy też jest wiele różnych rodzajów materii?

— Większość arystotelików odróżnia dwa rodzaje materii: doskonałą i niezniszczalną materię ciał niebieskich oraz gorszą od niej materię, z której utworzone są wszystkie byty sfery podksiężycowej. Moim zdaniem jednak istnieje tylko jedna

jedyna materia, ta sama w gwiazdach Drogi Mlecznej co w roślinach i zwierzętach, albowiem materia pierwsza jest niepodzielna i stanowi pierwszą zasadę rzeczy. Z niej więc składają się Niebiosa tak samo jak i wszystko to, co nasze.

— Zauważ jednak, przenikliwy Mistrzu — rzekł Certain — co wynika z twoich słów: jeśli materia Niebios jest identyczna, jak twierdzisz, z materią pchły i żuka gnojaka, to czynisz w ten sposób Niebiosa czymś lichym i podłym.

— Nic podobnego, bo przecież ciało ludzkie, będąc podmiotem boskiej substancji czyli intelektu, nie jest bynajmniej czymś mniej szlachetnym niż ciało niebieskie. Ciała niebieskie nie mają bowiem duszy ani wolnej woli, nie decydują same o kierunku drogi, którą przemierzają, ale — jak szkapa zaprzęgnięta do kieratu — krążą wciąż po tej samej orbicie, gdy tymczasem ciało ludzkie jest zespolone z intelektem, a więc jest czymś doskonalszym od ciała niebieskiego. Co więcej, nawet maleńka pchła jest bytem doskonalszym od gwiazdy, bo skacze jak jej się podoba.

— Ale materia niebios nie podlega zepsuciu tak jak materia naszego ciała.

— To właśnie kwestionuję. Materia nasza również nie podlega zepsuciu, a jedynie to się psuje, co jest z niej złożone. A psuje się i ginie wszystko. Więdną najpiękniejsze kwiaty, umierają nie tylko żebracy, ale również książęta i królowie. Walą się w gruzy wspaniałe miasta. Ruiny pałaców i kościołów zarastają gęstym lasem. Upadają i rozkładają się potężne państwa. Wysychają rzeki. Giną religie. Jakże potężna była religia chrześcijańska czterysta lat temu za papieża Innocentego III, a teraz w sto lat po wystąpieniu Lutra miota się w przedśmiertnych konwulsjach wojen religijnych. Tylko materia wiecznie trwa, jedna i ta sama we wszystkich bytach, niezniszczalna, aktywna, zdolna do przybierania wszelkich form.

— Sądzisz więc, że materia ciała ludzkiego jest taka sama jak materia ciał zwierząt?

— Spójrz sam. Właśnie tu, jak mówiłeś, wyrzucono kilka dni temu wykopane z grobu zwłoki Ruggierego. Przecież to nie Ruggieri tu leży. Ta forma, która sprawiała, że pewna, ukształtowana przez nią w określony sposób część materii była ciałem Ruggierego, rozwiała się. Materia pozbawiona formy nie jest już jego ciałem, ale bezkształtną materią, która nie różni się wcale od tej materii, co na tym samym śmietniku stapia się z nią w jedną oślizgłą, gnijącą, cuchnącą masę, a była kiedyś ciałem myszy polnej, kudłatego pieska czy wysmukłego konia. Pozbawiona formy może teraz zostać uformowana w nowy sposób, dając substancję trawie i kwiatom, które tu wkrótce zakwitną. Czy nie zauważyłeś, że najpiękniejsze kwiaty rosną właśnie na grobach, czerpiąc soki z rozkładających się zwłok?

— Byłbym gotów się zgodzić, że materia jest jedna a całe zróżnicowanie bierze się wyłącznie z różnorodności form. Powiedz mi jednak, mistrzu Vanini, co się dzieje z formami, kiedy oddzielają się od materii?

— Platonicy powiadają, że poza przyrodą istnieje drugi, odrębny świat oddzielonych, niematerialnych form, ale to są bajki. Inni mówią, że formy powracają do łona materii, która dlatego właśnie może przybierać wszystkie formy, ponieważ ma wszystkie formy w sobie. Inni jeszcze mówią, że forma to tyle, co pewien układ czyli porządek. Weź kilkanaście kamyków i ułóż je w jeden szereg a następnie rozrzuć je, czy ma sens pytanie, co się stało z porządkiem owych uporządkowanych kamyków, które zostały rozrzucone? A może chcesz, żebym uwierzył, że ów porządek oddzielony od kamyków, które porządkował, unosi się jako niematerialna forma ponad ziemią i szuka materii, którą mógłby sobą uporządkować?

— No to spójrz, mistrzu Vanini, na ten znajdujący się o kilkadziesiąt kroków od nas rozkopany grób, z którego wyrzucono zwłoki astrologa Ruggierego. Czy widzisz ducha, który się nad tym grobem unosi?

— Widzę. Duchy takie widywałem już wiele razy nocą na

cmentarzach i nad bagnami. Z rozkładającej się materii unoszą się białe, delikatne dymy przypominające swoim kształtem, z daleka, postać ludzką, a ludzie zabobonni biorą te mgiełki za duchy zmarłych. Nie sądzisz chyba, że to duch astrologa Ruggierego unosi się nad otwartym grobem?

— Czy chcesz w ten sposób powiedzieć, że nie zostało po nim nic, bo śmierć unicestwiła go całkowicie?

— Tego nie powiedziałem. Materia, która tworzyła jego ciało, nie została uniecestwiona, ale trwać będzie wiecznie, przybierając wciąż nowe formy. Dusza jego, już za jego życia przebywała bardziej wśród gwiazd i tego wszystkiego, co Ruggieri kochał, niż w jego własnym ciele. A gwiazdy i książki, które kochał istnieją w dalszym ciągu. Życiem swoim Ruggieri pozostawił trwałe ślady w pamięci wielu ludzi i w tej chwili, kiedy o nim rozmawiamy, jest on obecny w naszych myślach i w naszych słowach, a więc znacznie bliżej nas, niż ta poruszana wiatrem mgiełka nad jego grobem.

— A jednak sądzę, że w tej sprawie ostatnie słowo należy do doświadczenia. Przyjdź kiedyś do mojej pracowni, a pokażę ci kilka zadziwiających eksperymentów. Mam dużą doniczkę, w której wyhodowałem piękną, pąsową różę. Pewnego dnia różę tę wyciąłem, zgniotłem, wcisnąłem do szklanej rurki, którą zakorkowałem i zacząłem podgrzewać, włożywszy uprzednio do korka cienką słomkę. Następnie rurkę tę umieściłem w doniczce i oto przez słomkę zaczął wydobywać się dym odtwarzając kształt wyciętej róży. Kiedy indziej znów spaliłem na popiół kilka raków, a kiedy w nocy wróciłem do pokoju, zobaczyłem ponad popiołem dym o kształcie raka. Czy nie sądzisz, mistrzu Vanini, że...

— W podobny sposób dziecko bierze wieczorem krzak za wilka, a cesarz Rudolf zobaczył na księżycu półwysep Apeniński z Sycylią i Sardynią.

— Śmiejesz się ze mnie. Nie wierzysz mi?

— Ależ wierzę ci, mój drogi Certain. Wyświadczyłeś mi tyle dobrego, jesteś moim wiernym przyjacielem, a ja miał-

bym ci odpłacić za to niegrzecznością? Znasz przecież nasze włoskie przysłowie: *Il credere è cortesia.* Zwykła grzeczność nakazuje wierzyć temu, co mówią nasi przyjaciele. Ty wierzysz, że widziałeś ducha Ruggierego, ducha róży i ducha raka, bo chcesz w to wierzyć, a ludzie zawsze wierzą w to, w co chcą wierzyć. Ja wierzę w to, że widziałeś tę trójcę duchów, bo chcę ci wierzyć. Jesteś moim przyjacielem, więc dla ciebie — gdyby ci na tym zależało — uwierzyłbym nawet w Trójcę świętą i inne tajemnice naszej świętej religii, co wcale nie jest takie łatwe. Z przyjaźni dla Genocchiego wierzyłem w spadające z nieba żabki, z przyjaźni dla ciebie wierzę zarówno w twoją różę jak i w twojego raka, a jeśli zechcesz, to uwierzę nawet i w to, że chleb i wino zmieniają się w ciało i krew, a król francuski posiada nadprzyrodzoną moc uzdrawiania trędowatych zwykłym dotknięciem ręki.

— Przerażasz mnie. Ty przecież już w nic nie wierzysz.

— Wierzę, Certain, we wszystko, bo za niewiarę drogo się na tym świecie płaci. Spróbuj w Anglii nie wierzyć, że papież jest Antychrystem, a natychmiast wtrącą cię do więzienia. Spróbuj tu u nas nie wierzyć w diabła i czary, a zaraz inkwizytor weźmie cię na tortury i pośle cię na stos. Z obawy przed świętą inkwizycją wierzę więc we wszystko to, w co nasi inkwizytorzy chcą żebym wierzył. A z obawy przed utratą twojej przyjaźni wierzę, że po cmentarzu świętego Sulpicjusza przechadza się Cosmo Ruggieri, trzymając w jednej ręce pąsową różę, a w drugiej pąsowego raka.

Rozdział 22

PARYŻ, 1 STYCZNIA 1616 R. CUD KRÓLA LUDWIKA

„Cesarz Wespazjan udawał, że jest obdarzony boską mocą, w tym celu, żeby jego poddani jeszcze bardziej go czcili ... Cała Francja wierzy, że król Ludwik XIII, jaśniejący blaskiem wszelakich cnót jak słońce, posiada otrzymaną od Boga moc wypędzania wrzodów z ciał".

Giulio Cesare Vanini

Pierwszego stycznia 1616 r. Certain zaprowadził Vaniniego na niezwykłe widowisko: przewidziany ceremoniałem dworskim i zaplanowany na ten dzień cud. „Najbardziej chrześcijański" ze wszystkich królów Europy, król francuski miał w tym dniu pokazać wszystkim niedowiarkom, że jest obdarzony przez Boga nadprzyrodzoną mocą uzdrawiania chorych. Moc taką uzyskali królowie francuscy wiele stuleci temu, a każdy kolejny monarcha nabywał ją w czasie uroczystości koronacyjnych. Nadszedł więc czas, żeby 15-letni Ludwik XIII pokazał światu, że i on — postawiony przez Boga nad narodem — posiada moc sprawiania cudów.

Ubrany na biało, przystrojony w brylanty siedział na tronie w czasie mszy i przyglądał się gromadzie brudnych, obdartych, odrażających żebraków, których twarze pokryte były

okropnymi, ropiejącymi wrzodami. Było ich 68, znajdowali się najbliżej ołtarza. Tłum dworzan trzymał się od nich w przyzwoitej odległości — z obawy przed zarażeniem. Najbardziej przerażona była młodziutka królowa Anna, siedząca na drugim tronie, obok Ludwika.

Po skończonej mszy król Ludwik wstał z tronu, a wszyscy padli na kolana. Król zbliżył się do gromady chorych i po kolei dotykał prawą dłonią ich twarzy. Chorzy przestali jęczeć. W kościele zrobiło się tak cicho, że słychać było tylko bicie serca młodej królowej. Dopiero kiedy król dotknął ostatniego żebraka, rozległ się krzyk radości. Jeden z chorych, który miał twarz ukrytą w dłoniach, odwrócił się do tłumu dworzan, podniósł wysoko ręce do góry i pokazał wszystkim czystą twarz, z której znikły straszne wrzody. Za nim drugi, trzeci, dziesiąty odwracali się, pokazując uzdrowione twarze i wydając okrzyki radości. Wtedy biskup, a za nim dworzanie zaczęli krzyczeć: — Cud, cud!

Tymczasem król Ludwik obmył ręce w srebrnej misie i zasiadł z powrotem na tronie. Rozległa się muzyka, rozśpiewał się chór, a potem biskup wygłosił kazanie o boskim pochodzeniu władzy królewskiej, przypominając, jak straszne kary ściąga na siebie ten, kto ośmiela się sprzeciwiać władzy ustanowionej przez Boga.

— Dziwi mnie w tym wszystkim tylko jedno — powiedział Vanini, gdy wracali do domu — dlaczego król nie odczuwał wstrętu dotykając ropiejących wrzodów?

— Ciebie to dziwi? Właśnie ciebie? — zaśmiał się Certain — przecież to właśnie ty, w czasie rozmowy na cmentarzu świętego Sulpicjusza, zasiałeś w mojej duszy ziarna wątpliwości w nadprzyrodzoną moc uzdrawiania chorych dotknięciem królewskiej ręki. Lekarz królewski, Jean Héroard, opowiedział mi wszystko dokładnie. Kiedy zakomunikowano królowi, że będzie uzdrawiał, króla ogarnęła wściekłość i rzucał w mistrza ceremonii czym popadło. Nie pomogła interwencja biskupa, ponieważ lekarze dworscy stanęli po stronie króla i stanowczo

sprzeciwili się narażaniu zdrowia królewskiego na niebezpieczeństwo zakażenia i odwołali się do Rady Królewskiej, wskazując jakie nieszczęścia spadną na Francję, jeżeli król zarazi się trądem i umrze bezpotomnie. Wkrótce jednak znaleziono wyjście, które zadowoliło wszystkich. Ci, którzy chcieli opromienić tron nadprzyrodzonym blaskiem cudu, domagali się przecież tylko tego, żeby król pokazał publicznie cudowną moc uzdrawiania. Król, lekarze i Rada Królewska sprzeciwiali się tylko temu, aby król dotykał chorych. W tej sytuacji okazało się, że można świetnie pogodzić jedno z drugim, wprowadzając niewielką modyfikację do zaplanowej ceremonii. Zamiast uzdrawiania chorych postanowiono, że król będzie uzdrawiać zdrowych, a więc sprawi cud bez narażania własnego zdrowia i losów Francji na niebezpieczeństwo. Przywieziono z Południa kilkudziesięciu wieśniaków, lekarze dworscy dokładnie ich zbadali i stwierdzili, że wieśniacy ci są wprost wyjątkowymi okazami zdrowia. Następnie, charakteryzator przebywającej w Paryżu trupy komediantów włoskich, wymalował na ich twarzach — w obecności króla — straszliwe wrzody i pokazał im, w jaki sposób mają je później usunąć. Nic więc dziwnego, że król w kościele dotykał ich twarze bez wstrętu i bez obawy.

— A więc na dworze królewskim wielu ludzi wiedziało o tym oszustwie?

— Tak, ale wszyscy obecni w kościele udawali, że wierzą w cud. Sam mówiłeś, że wiara to kwestia grzeczności, uprzejmości, dobrego wychowania, a dworzanie słyną z dobrego wychowania i nic na świecie nie przychodzi im tak łatwo, jak udawanie, że wierzą.

— A wieśniacy? Czy nie zachodzi obawa, że wygadają się?

— Po pierwsze, każdy z nich dostał za to po sztuce złota i przysiągł zachować milczenie. Po drugie, jeszcze dziś strażnicy królewscy mają ich odwieźć na Południe. A po trzecie...

— Domyślam się dalszego ciągu. Droga na Południe jest długa i niebezpieczna, więc nie wiadomo, czy powrócą do ro-

Król Ludwik XIII (z książki: Histoire de France, 1954)

dzinnej wioski. A strażnicy królewscy — w czasie tak długiej drogi — mogą dojść do przekonania, że owe sztuki złota powinny należeć raczej do nich, niż do głupich wieśniaków. Przypuszczam więc, że wieśniaków tych spotka po drodze coś złego i zanim zdążyliby się wygadać, stracą nie tylko złoto, ale i życie.

— I ja tak sądzę, a nawet podejrzewam, że część tego złota powróci do rąk mistrza ceremonii, który na pewno wydał odpowiednie instrukcje komendantowi straży, dokąd ma odwieźć cudownie uzdrowionych zdrowych wieśniaków. Co więcej, wcale mi tych wieśniaków nie żal. Cała ta sprawa ma bowiem budujący morał. Znęceni złotem zgodzili się wziąć udział w nikczemnym oszustwie. Nie zważając na świętość kościoła, w którym się to wszystko odbywało, udawali chorych, a potem cudownie wyleczonych, drwiąc sobie w ten sposób z łatwowierności szlachetnie urodzonych dworzan, z nadprzyrodzonej mocy naszego monarchy, z cudów naszej świętej religii. Taka bezbożność powinna być przykładnie ukarana, aby udowodnić, że chciwość zawsze prowadzi człowieka do zguby.

— Tak samo było za czasów cesarza Wespazjana — rzekł Vanini — pragnąc, aby ludność podbitego Egiptu pokornie poddała się jego panowaniu, postanowił sprawić kilka cudów, mających świadczyć o tym, że rządzi światem z woli bogów, a ci, którzy mu się sprzeciwiają, narażają się na gniew i karę niebios. Kazał więc wyszukać dwóch biedaków, którym przyobiecał sporo pieniędzy za to, aby jeden z nich udawał ślepego, a drugi kulawego. Więc kiedy odbywał wjazd do stolicy Egiptu biedacy ci podbiegli do niego, jeden utykając, a drugi wyciągając ręce przed siebie i po omacku szukając do niego drogi, i głośno błagali, aby uzdrowił ich swoim boskim dotknięciem. Cesarz łaskawie uzdrowił zdrowych, zebrane tłumy uwierzyły w jego boskość, ale owych biedaków spotkała zasłużona kara za udział w oszustwie. Z rozkazu cesarza zostali otruci, aby oszustwo nie zostało wykryte. Podobnie też uczynił Mahomet, obiecując worek złota biedakowi, który miał udawać

duszę potępieńca, zwolnioną przez Boga na jeden dzień z głębi piekieł, po to, aby dała świadectwo prawdzie. Biedak ów ukrył się w pękniętej skale, a kiedy w pobliżu zebrały się tłumy dla wysłuchania kazania Mahometa, biedak ów zaczął wydawać głośne jęki rozpaczy i wykrzykiwać wyuczone słowa o wiecznym potępieniu, które grozi wszystkim tym, co nie uwierzą, że Mahomet jest prorokiem. Głos wydobywający się z głębi ziemi zrobił na zebranych tłumach wielkie wrażenie. Wówczas Mahomet, w obawie, aby oszustwo nie zostało wykryte, kazał zebranym zasypać pieczarę kamieniami, wyjaśniając, że nie można dopuścić do tego, aby dusze potępionych uciekały z piekła i unikały w ten sposób zasłużonej kary. A więc i w tym przypadku chciwość została ukarana, a nędznik pomagający oszustowi został pogrzebany żywcem. Oby zawsze kara taka spadała na tych, co pomagają oszustom!

Rozdział 23

PARYŻ 1616 R. OKRUCIEŃSTWA PIRATÓW ANGIELSKICH I KŁOPOTLIWE PYTANIA ROSSETA O INKWIZYTORA SALAMANKI

„Również i za naszych dni Hiszpanie wiele ucierpieli od barbarzyństwa żeglarzy angielskich ... Wielu filozofów z obawy przed inkwizycją hiszpańską i włoską wyznaje ustami to, czemu w rzeczywistości zaprzecza".

Giulio Cesare Vanini

Nuncjusz Ubaldini nalegał, żeby Vanini częściej i więcej opowiadał na dworze o prześladowaniach katolików szkockich, padających ofiarą „anglikańskiego okrucieństwa" i o barbarzyństwie angielskich piratów. Ale Vanini nie miał serca do tej roboty i wykonywał ją niezręcznie. Mówiąc o tym, jak anglikanie prześladują katolików, przypominał, jak przedtem, za krwawych rządów królowej Marii Katoliczki prześladowano w Anglii zwolenników Kalwina, którzy byli gotowi raczej ponieść śmierć za wiarę, niż wyrzec się kalwinizmu. A kiedy opowiadał o angielskich piratach, wyjaśniał ich barbarzyńskie obyczaje spożywaniem przesolonych potraw i twierdził, że nie różnią się oni od żeglarzy innych narodów.

Te próby sprawiedliwego wyważenia ocen nie znajdowały

uznania u żadnej z dworskich partii. Zwolennikom orientacji prohiszpańskiej nie podobały się, bo nie budziły nienawiści do Anglików, a zwolennikom małżeństwa księżniczki Henrietty z angielskim następcą tronu Karolem i związanego z tym małżeństwem sojuszu francusko-angielskiego, skierowanego przeciwko Hiszpanii wydawały się nazbyt antyangielskie. Atakowany był więc naraz z dwóch stron, a przeciwnicy stawali się coraz bardziej agresywni.

Szczególnie ostro atakował go zbieracz „historii tragicznych", François de Rosset, który kiedyś był na pensji Bassompierre'a i sądził, że przez Vaniniego utracił łaskę bogatego protektora.

— Dlaczegóż to mistrz Vanini opowiada nam ciągle o Anglikach? — pytał Rosset. — Znamy już wszyscy na pamięć jego opowieści o angielskich piratach i o 49 dniach spędzonych w angielskim więzieniu. Chętnie posłuchalibyśmy innych opowieści z jego życia. Był przecież nie tylko w Anglii, ale również w wielu innych krajach. Wiemy jak uciekał z Anglii, dlaczego nie opowie nam o tym, jak uciekał z Włoch przed inkwizycją rzymską? Opowiadał nam o swoim pobycie na uniwersytetach angielskich, w Oksfordzie i w Cambridge, dlaczego nie chce nam opowiedzieć o tym, jak to studiował czarną magię na uniwersytecie w Salamance? Mamy mu wierzyć, że w Anglii był prześladowany za naszą świętą katolicką wiarę, ale w takim razie dlaczego przedtem musiał uciekać przed inkwizytorem Salamanki z Kastylii aż do Andaluzji? Jaka była przyczyna jego ucieczki z Ossuny? Co go zmusiło do ucieczki z Madrytu? Czyżby w Hiszpanii też nie można było być katolikiem? Powiedz nam też, mistrzu Vanini, ile właściwie masz doktoratów: trzy czy cztery? jeden z prawa, drugi z teologii, trzeci z filozofii, czwarty z astrologii i czarnej magii? I czy to prawda, że uważasz Mojżesza za wielkiego czarnoksiężnika, który nie dzięki łasce Bożej, ale dzięki wykształceniu w magii egipskiej zmieniał laskę w węża? I powiedz jeszcze, czy to wła-

śnie w Hiszpanii nauczono cię, że święte księgi Mojżesza to takie same bajki jak *Metamorfozy* Owidiusza.

— Chętnie zaspokoiłbym ciekawość pana de Rosset i odpowiedział na wszystkie jego pytania; jedyny kłopot to ten, od czego zacząć. Sądzę, że o tym powinny zadecydować obecne tu piękne panie. Pan de Rosset wspomniał przed chwilą o dziełach Owidiusza, autora *Sztuki kochania*. Niechże więc piękne panie rozkażą o czym mam mówić: o czarnej magii czy o inkwizycji hiszpańskiej? o cudach Mojżesza czy o sztuce kochania?

Na jednomyślne życzenie pań, Vanini wygłosił kilkugodzinny wykład o sztuce kochania, starając się mówić tak zajmująco, aby zapomniano o kłopotliwych pytaniach Rosseta.

Rozdział 24

PARYŻ 1616 R. ADRIAN PÉRIER „WYKRADA OGIEŃ" A GRÉGOIRE CERTAIN CZYTA NAPISANY PRZEZ SIEBIE WIERSZ

„Jeżeli zdarzy ci się — choćby na kilka godzin — uciec od zajęć państwowych i chciałbyś od nich dobrze odpocząć, spróbuj odświeżyć przemęczony umysł tymi moimi dialogami filozoficznymi, które poświęciłem twojemu nieśmiertelnemu imieniu".

Giulio Cesare Vanini do Bassompierre'a

Pewnego dnia Grégoire Certain i Ponce Prévost przyprowadzili do Vaniniego kilku swoich przyjaciół, wśród których znajdował się drukarz paryski, hugenota Adrian Périer, zięć sławnego Krzysztofa Plantina z Antwerpii.

Certain oświadczył, że dręczy ich pewien trudny problem moralny i dlatego przyszli tu z prośbą, aby Vanini rozwiał ich wątpliwości i uspokoił sumienie.

— Powiedz nam, mistrzu Vanini, czy kradzież jest zawsze i we wszystkich okolicznościach czymś karygodnym, czy też może wytworzyć się taka sytuacja, że jakąś określoną kradzież należałoby uznać za czyn chwalebny. W szczególności chodzi o taki przypadek, gdy jakieś wielkie dobro, które mogłoby i powinno służyć całej ludzkości jest przez właściciela zazdrośnie

strzeżone, trzymane jak światło pod korcem, zamykane przed ludźmi na klucz. Czy dobro takie wolno wykraść, aby udostępnić je całej ludzkości? I czy na przykład Prometeusz, który wykradł bogom ogień, słusznie został przykuty łańcuchami do skał Kaukazu.

— W tej sprawie — powiedział Vanini — przychylam się do poglądu głoszonego przez wielkiego filozofa i wynalazcę, Cardana. Dobro społeczeństwa jest ważniejsze od prawa prywatnej własności. I kiedy matematyk Tartaglia dokonał pewnego doniosłego odkrycia, ale stanowczo sprzeciwiał się podaniu go do publicznej wiadomości, Cardano w słusznym przeświadczeniu, że wymaga tego dobro ludzkości, wykradł Tartaglii jego odkrycie i ogłosił je, narażając się wprawdzie przez to na liczne przykrości, ale też zyskując zasłużoną wdzięczność potomnych.

— No to spadł nam wielki kamień z serca — powiedział Certain — ponieważ bardzo lękaliśmy się twojego gniewu. Wiedzieliśmy od dawna, że pracujesz nad *Dialogami,* a doktor Ponce Prévost napisał nawet, jeszcze w zeszłym roku, piękny grecki epigram sławiący twoje dzieło. Nie znamy przyczyny, dla której zwlekałeś z oddaniem *Dialogów* do druku, ale znamy za to wiele takich okoliczności, z których ty sam może nie zdajesz sobie jeszcze sprawy, a które nie pozwalają dłużej czekać. Oto kończy się pewien okres w dziejach Francji i czego nie uczyni się dziś, tego być może nie uda się uczynić w najbliższych dziesięcioleciach. Wykradliśmy ci więc twój rękopis, oddaliśmy go do przepisania, podzieliliśmy na cztery księgi, a drukarnia pana Adriana Périera złożyła całość na 495 stronach. Przyszliśmy teraz prosić cię o przebaczenie, o przeprowadzenie korekty, o dopisanie listu dedykacyjnego i o wyrażenie zgody na dodanie tekstu od drukarza do czytelnika, w którym to tekście pan Adrian Périer, przyrównując się do Prometeusza, opowiada, w jaki sposób wykradł ci boski ogień. Posłuchaj:

Nie ma rzeczy bardziej pożytecznej dla rodzaju ludzkiego nad poznanie tych tajemnic, które Bóg ukrył bardzo głęboko, aby jak drogie kamienie świeciły sekretnie w ciemnościach. Niewielu było śmiałków ogarniętych płomieniem zapału do tych badań, w każdej epoce pojawiał się zwykle tylko jeden. Również i w naszej epoce znalazł się tylko jeden jedyny, prawdziwy książę filozofów, uważany przez wszystkich ludzi uczonych za zmartwychwstałego Arystotelesa, Juliusz Cezar Vanini, który wszystkie bóstwa nauk sprowadził do Lacjum i zapewnił im nieśmiertelność.

Powodowani troską o dobro społeczeństwa, postaraliśmy się o to, aby te wspaniałe pomniki jego umysłu, które zazdrośnie trzymał w ukryciu, zostały dokładnie przepisane przez starannych kopistów. W ten sposób sześćdziesiąt napisanych przez niego dialogów, zawierających arkana całej filozofii, znalazło się w naszych rękach. Zwróciliśmy się wówczas do dwóch bardzo zacnych i bardzo uczonych mężów, prosząc ich, aby dla twojej wygody, miły czytelniku, podzielili je na cztery księgi, nadając każdej z nich odpowiedni tytuł. Uczynili to bardzo chętnie, a my jeszcze chętniej postanowiliśmy wydać to dzieło drukiem, wprawdzie bez uzyskania na to jego wyraźnej zgody, lecz przecież nie wbrew jego woli. Albowiem, gdy druk tej pracy dobiegał końca, powiadomiliśmy go o tym, że wykradliśmy mu jego rękopis, aby mógł ustosunkować się do tego, co tak bardzo pragnęliśmy uczynić; żywiąc przy tym nadzieję, że nie potępi naszego podstępu i że — nie mogąc cofnąć tego, co już się stało — będzie zmuszony wyrazić zgodę. Widząc, że działaliśmy w dobrej wierze, oddając jego rękopis, bez jego wiedzy, do druku, pogodził się z tym, a nawet dodał dedykację.

Teraz do ciebie, życzliwy czytelniku, należy wydanie sądu chwalącego godną podziwu wiedzę, jaką najmądrzejszy z filozofów ujawnił przy pisaniu tego dzieła, a także i naszą gor-

liwość, jaką wykazaliśmy ogłaszając je drukiem. Bądź zdrów, czytelniku, i korzystaj z tych darów niebiańskich, które wykradłem dla ciebie, jak Prometeusz.

* *
*

— To jeszcze nie wszystko — powiedział Ponce Prévost. Nasz przyjaciel, Grégoire Certain, ma dla ciebie w zanadrzu jeszcze jedną niespodziankę: najdłuższy z wierszy gratulacyjnych, jaki kiedykolwiek napisano dla ciebie. A ponieważ kiedyś wspomniałeś, że zamierzasz dialogi swoje dedykować Bassompierre'owi, więc Certain składa w tym samym wierszu gratulacje również i jemu.

Certain wyciągnął z zanadrza rękopis i odczytał swój wiersz:

Do najjaśniejszego Pana Bassompierre'a, Wolnego Barona Świętego Cesarstwa Rzymskiego, członka Rady najbardziej chrześcijańskiego z królów i dowódcy królewskiej straży a także do najznakomitszego i sławnego na cały świat autora tego dzieła pieśń gratulacyjna.

Nie wstydził się wielki August tego, że boską pieśnią sławił go uczony Wergiliusz, a Mecenas z wielką wdzięcznością przyjmował mądre poematy od Horacego.

Ty, sławny panie Bassompierre, potomku dzielnego rodu bohaterów zrodzonych przez ziemię Lotaryngii, którego Gracje obdarzyły zarówno pięknością ciała, jak i umiejętnością pięknego wyrażania się językiem Gallów, szczodrze obdarzony przez Jowisza, dorównujesz wszystkim mężom, znajdującym się pod opieką Pallady Ateny i zdobi cię sława wojenna; doświadczony w rzemiośle wojennym lud Helwetów cieszy się widząc w tobie wodza wojska żywionego przez Gallię i uznaje twój autorytet.

Przyjmij więc życzliwie i z wielką radością tę księgę, którą zadedykował ci Giulio Vanini, mąż potężnego umysłu, najwięk-

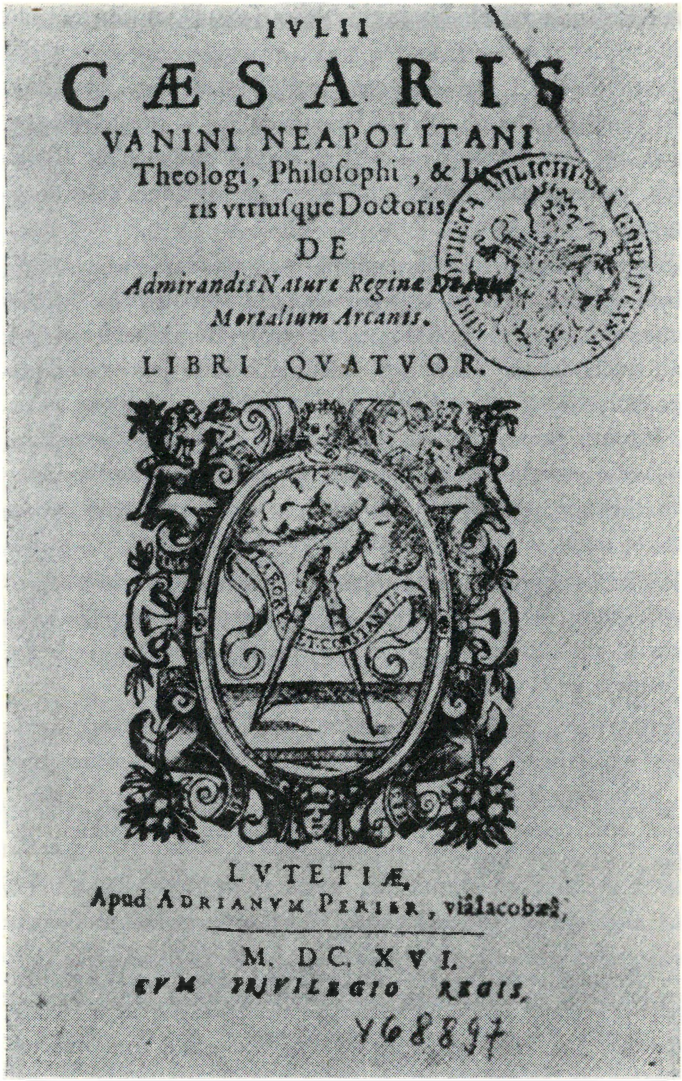
IVLII
CÆSARIS
VANINI NEAPOLITANI
Theologi, Philosophi, & Ju
ris vtriusque Doctoris
DE
Admirandis Naturæ Reginæ Deæque
Mortalium Arcanis.
LIBRI QVATVOR.
LVTETIÆ,
Apud ADRIANVM PERIER, viâ Iacobæâ,
M. DC. XVI.
CVM PRIVILEGIO REGIS.
Y68897

Karta tytułowa książki Vaniniego De admirandis 1616, Egz. Bibl. Uniw. Wrocł.

szy spośród nauczycieli Mądrości, sława i nowa chwała narodu Italii.

Jakże daleko i głęboko sięga przenikliwość jego genialnej myśli! Pragnąc, aby potomni, którzy będą żyć w przyszłych stuleciach, nie byli pozbawieni wiedzy o tych cudownych tajemnicach, jakie potrafił odkryć, powierzył je księgom, które zwyciężą czas.

To on właśnie, badając naturę wszechświata, ujawnił to, co było głęboko ukryte w jego wnętrzu, wydobył na światło dzienne to, co kryły w sobie mroczne groty Heraklita. I tak jak Tytan wschodzi na niebo, gdy zblednie światło jego zachodzącej za horyzont siostry i karmi swoim światłem blednące gwiazdy, Vanini, sam jeden, użycza swego bogactwa wszystkim i rozjaśnia swoim własnym światłem tonące w mroku nocy dzieła, będące pomnikami dawnych pisarzy, usuwając swoją sztuką tę mgłę, w którą były spowite.

Wielki interpretator Arystotelesa, Sokratesa i innych starożytnych mędrców, usuwa gęste chmury i mroki, obnaża myśl ukrytą w ich dziełach i sprawia swoją własną sławą, że księgi ich jaśnieją teraz nowym blaskiem.

Skoro więc, panie Bassompierre, imię twoje i sława twoja zostały zapisane w księgach Vaniniego, których nie zniszczy czas, to możesz być zupełnie pewien, że wiecznie żywy i trwalszy nad spiż pozostaniesz na zawsze w pamięci wszystkich narodów.

Grégoire Certain, Paryżanin, doktor medycyny

— Byłbym szczęśliwy — powiedział Certain do Vaniniego — gdybyś wyraził zgodę na umieszczenie tego wiersza w swoich *Dialogach*. Jak Horacy, który swoimi wierszami unieśmiertelnił Mecenasa, posiadasz cudowną moc unieśmiertelniania kogo zechcesz. Kto wie, czy kiedyś, po stuleciach ten właśnie wiersz wydrukowany na kartach twojej książki nie będzie jedynym śladem mojego istnienia, jedyną formą mojej nieśmier-

telności, jedynym przejawem mojej obecności na tamtym świecie, świecie prawnuków naszych prawnuków.

— Wiersz ten — odpowiedział Vanini — jak drogocenny klejnot ozdabiać będzie moją książkę, która dzięki wam, moi drodzy przyjaciele, zostanie wkrótce wydrukowana. Sami wiecie jednak co to za książka. Wyrasta ona jak samotne drzewo na polu, więc nie dziwcie się, jeżeli ściągać będzie na siebie pioruny. I ty, Certain, i ty, Prévost, i pan, panie Périer, dajecie dowód wielkiej odwagi umieszczając własne nazwiska obok mojego. Piorun, który uderzy we mnie, może i was nie oszczędzić.

A główna myśl twojego wiersza, drogi Certain, jest niezwykle głęboka i piękna. Udało ci się wyrazić to, dookoła czego krążyłem po omacku, nie umiejąc zupełnie znaleźć odpowiednich słów do uchwycenia tego, co dopiero zaczynało mi świtać.

— Cóż to za myśl, mistrzu Vanini — zapytał Certain — przypuszczam, że dojrzałeś w moim wierszu coś takiego, czego ja sam, układając ten wiersz, nie zauważyłem.

— Być może. Zdarza się tak znacznie częściej, niż przypuszczasz. Na tym właśnie polega urok spotkań pomiędzy ludźmi i owocność filozoficznych dyskusji. Oto dwaj ludzie poszukujący prawdy spotykają się, a żaden z nich jeszcze jej nie zna. Wymieniają własne myśli, nie zgadzają się ze sobą, jeden pogląd uderza o drugi jak kamień o kamień. I nagle z tych uderzających o siebie kamieni zostaje wykrzesana iskra: w gwałtownej dyskusji nagle pojawia się prawda, której przedtem nie było, której przedtem nie znał żaden z dyskutujących.

Może właśnie to samo zdarzyło się i teraz. Pisząc moje dialogi byłem już bardzo blisko pewnego odkrycia, ale prawda, której szukałem była jeszcze przede mną zasłonięta. Ty, przeczytałeś te *Dialogi* i — sam nie wiedząc o tym — odsłoniłeś to, czego szukałem.

— Umieram z ciekawości. Cóż to za prawda, którą udało mi się odsłonić?

— Chodzi o prawdę zawartą w dwóch najpiękniejszych fragmentach twojego wiersza: *„stellas lumine pascit"* (karmi swoim światłem gwiazdy) i *„splendere facit libros"* (sprawia, że księgi ich jaśnieją nowym blaskiem). Słowami tymi uchwyciłeś istotę spotkań, które tworzą to, co nazywamy „republiką piszących" *(respublica litteraria)*. Gdyby dane mi było — po *Amfiteatrze* i *Dialogach* — napisać jeszcze jedną książkę, byłaby to książka o spotkaniach i owocach spotkań, książka wyjaśniająca, w jaki sposób spotkania z innymi ludźmi tworzą i przeobrażają naszą istotę i w jaki sposób — właśnie dzięki spotkaniom — stajemy się nieśmiertelni.

Wielcy myśliciele są jak gwiazdy. Kiedy umierają, światło tych gwiazd blednie, zasnuwa je mgła, spowija mrok zapomnienia. I wtedy właśnie potrzebny im jest czytelnik, który jak słońce rozwieje mrok i mgłę, ogrzeje własnym ciepłem zziębniętą gwiazdę, nakarmi ją swoim światłem i przywróci jej swoją myślą życie, sprawiając, że rozbłyśnie nowym blaskiem. Tylko w ten sposób może istnieć nasza *„respublica litteraria"*, nieśmiertelna republika naszych dzieł. Przez długi czas wiedziałem tylko o tym, że każdemu z nas potrzebne są książki innych ludzi jak pokarm, niezbędny do życia. Teraz — dzięki tobie, drogi Certain — uświadomiłem sobie drugą, komplementarną prawdę: każdemu z nas, każdemu naszemu dziełu potrzebni są czytelnicy, bo to oni właśnie wydobywają nas z mgły i mroku, oni nas grzeją ciepłem swojej myśli i karmią światłem własnego umysłu, sprawiając, że żyjemy i świecimy nowym blaskiem.

Napisałeś, że dzięki mojej książce Bassompierre żyć będzie wiecznie. Może tak właśnie będzie, ale to przecież tylko pół prawdy. Bo do tego, żeby Bassompierre żył w mojej książce, trzeba jeszcze, żeby i ta moja książka wiecznie żyła, a to jest zależne nie tylko ode mnie i nie tylko od niej, ale przede wszyst-

kim od kolejnych pokoleń czytelników, którzy ją muszą karmić światłem swoich umysłów. Bez tego pokarmu, utrzymującego ją przy życiu, zginie w mroku niepamięci.

— Jest wielu filozofów, którzy mówią czasami mądre rzeczy — odezwał się Ponce Prévost — ale ty, mistrzu Vanini, jesteś od nich większy, bo potrafisz sprawić to, że i ci, którzy słuchają twoich słów, sami zaczynają wypowiadać piękne i głębokie myśli. Oto Certain, u którego odkryłeś takie głębie, stał się teraz dumny jak paw, bo sam nie wiedział jakie mądrości kryją się w tym, co napisał. A nas wszystkich ogarnia zazdrość, bo nasze wiersze okazały się gorsze. Cóż z tego, że namęczyłem się, żeby ułożyć epigram w języku greckim, skoro nie potrafiłem ukryć w nim żadnej prawdy zdolnej do wzbudzenia twego zainteresowania?

— Nie masz powodu do zazdrości, drogi Prévost. W twoim wierszu również zawarta jest prawda, wykraczająca poza tekst moich dialogów. Prawda ta jednak mogłaby nie spodobać się cenzorom, teologom, inkwizytorom, więc uczyniłeś bardzo mądrze, ukrywając ją pod pancerzem języka greckiego, aby stała się niewidzialna dla tych, którzy tego języka nie znają.

— Powiedz, niech wszyscy usłyszą, co to za prawda.

— Napisałeś, w ostatniej linijce pięknego epigramu, że „Stworzycielką wszystkiego jest Przyroda", podsuwając mi w ten sposób myśl, aby w tytule *Dialogów* umieścić Przyrodę i — jako „stworzycielkę wszystkiego" — nazwać ją Boginią i Królową.

— Sprawiłeś, mistrzu Vanini, że obdarzone szczodrze światłem twojego umysłu epigramy pana doktora Certaina i pana doktora Prévosta jaśnieją blaskiem drogocennych klejnotów. Czy możesz sprawić, żeby i mój list do czytelnika rozkwitł jakąś wydobytą z niego myślą? — odezwał się Adrian Périer.

— Listem swoim odkryłeś istotę sztuki drukarskiej, trafnie przyrównując drukarza do Prometeusza. Wydarty bogom ogień oznacza bowiem wydarcie im tajemnicy nieśmiertelności. To sztuka drukarska sprawia, że przelotnie pojawiająca się i szyb-

ko rozwiewająca się myśl zostaje utrwalona i cudownie zwielokrotniona. Jeżeli po stuleciach będę wciąż jeszcze żył, obecny jednocześnie w wielu odległych od siebie krajach, jeżeli spotykać się będę z ludźmi różnych narodów, pobudzając ich myśl do filozoficznych dociekań, jeżeli uda mi się unieśmiertelnić rodziców i przyjaciół i ogród w Taurisano, to cuda te dokonają się przede wszystkim dzięki sztuce drukarskiej.

Rozdział 25

PARYŻ 1616 R. GOŚĆ Z HISZPANII — DON PEDRO DE CASTRO DE VILLAQUIRAN I GRONOSTAJE

„Sławny hiszpański doktor, Don Pedro de Castro de Villaquiran opowiadał mi wczoraj, że kupił w Paryżu wiele gronostajowych futerek..."

Giulio Cesare Vanini

W kilka dni później odwiedził Vaniniego gość z Hiszpanii, daleki kuzyn jego matki, Don Pedro de Castro de Villaquiran. Z polecenia króla hiszpańskiego Filipa Don Pedro przybył do Paryża w celu zakupienia futerek gronostajowych na płaszcz dla króla.

— Szczęśliwe zwierzątka — powiedział Vanini, gdy Don Pedro opowiedział mu o swoich udanych zakupach.

— Dlaczego szczęśliwe?

— Bo te, które biegają po lasach, mają tylko jedno życie. Gdy giną pod kłami wilka, ginie także wszelki ślad po ich istnieniu. Te natomiast, których futerka zawieziesz do Hiszpanii, będą brały udział w najwspanialszych uroczystościach, przykuwać będą do siebie tysiące oczu, a za kilkaset lat pokazywane będą jeszcze w Muzeum, gdzie obok korony i berła wystawiony będzie również gronostajowy płaszcz króla Filipa.

— Ale kiedy dziś rano przeglądałem zakupione futerka

okazało się, że jedno z nich przez noc wyleniało. Tę skórkę ogołoconą z włosów musiałem wyrzucić. Ale za to znalazło się jedno futerko wyjątkowo piękne. Wszystkie pozostałe są śnieżnobiałe z czarnymi plamkami, to jedno zaś jest złotawobrązowe. Dlaczego?

— Ten gronostaj został schwytany późną jesienią, kiedy futerka tych zwierząt przybierają barwę spadających liści. Wszystkie pozostałe schwytano w czasie mroźnej zimy, kiedy to dla ochrony przed żarłocznymi wilkami gronostaje przybierają barwę śniegu, aby łatwiej ukryć się przed wrogiem.

— A ty, co teraz robisz?

— Kończę korektę mojej nowej książki. To są moje futerka gronostajowe: 495 białych kartek z czarnymi plamkami literek; z tych futerek introligator uszyje książkę, będącą moim płaszczem gronostajowym.

— Opowiedz mi o swojej książce.

— Opowiem ci, jakie myśli przychodzą mi do głowy w czasie robienia korekty. Zauważ, że to jeszcze nie książka, ale tylko luźne kartki, pół tysiąca odrębnych stworzeń, z których być może — również i po zeszyciu ich w książkę — każde będzie miało swoje odrębne życie.

— Jak to możliwe?

— Czytanie książki podobne jest do długiej drogi przez las. A więc tą samą drogą w ciągu stuleci wędrować będą tysiące czytelników. Bardzo różni będą to czytelnicy i tę samą drogę każdy będzie przebywał inaczej. Jeden przechodzić będzie szybko, drugi powoli. Jeden będzie rozglądał się wokoło podziwiając mijane drzewa, drugi szukać będzie kwiatów, grzybów i jagód, trzeci potknie się o jakiś wystający kamień, czwarty — zatopiony w swoich własnych myślach — będzie pozornie tylko szedł tą samą drogą, a w rzeczywistości błądzić będzie po jakichś innych niewidzialnych szlakach, piąty zauważy jakąś piękną polanę, więc położy się w bujnej trawie, żeby nasycić się zapachem kwiatów i posłuchać świergotu ptaków.

A może przyjdzie ktoś szósty i powie: — Jak tu pięknie? Tu na tej polanie zbuduję mój dom...

Miną stulecia i okaże się, że każda kartka tej książki ma inne dzieje. Przez wiele kart przechodzili wszyscy obojętnie, nikt się przy nich nie zatrzymał, nikt nie zwrócił na nie uwagi. Ale oto jakaś kartka trafiła swoimi myślami komuś do serca i na tej karcie ktoś zbudował sobie dom, a nad jakąś inną kartą wyrosło wielkie miasto ze strzelistymi wieżami albo forteca z ciężkimi działami, z których moi uczniowie razić będą celnymi pociskami wrogą armię kłamstwa, obłudy i wstecznictwa.

Więc kiedy teraz robię korektę, zadaję sobie często pytanie: — Cóż uczynią z moim działem potomni? Jaki będzie los każdej z tych 495 kartek? Które z nich pozostaną przez stulecia nie zauważone? Nad którymi z nich wyrosną wysokie wieże?

— Odczytaj mi, na chybił trafił, kilka zdań i spróbujemy razem odgadnąć, co też czytelnicy z nimi uczynią.

— Chętnie. Podaj zatem numery stron.

— Spróbujmy: 111, 222, 333, 444.

— A więc czytam. Strona 111: „Woda może zderzać się z kamieniami lub z samą sobą". W rozdziale tym zajmuję się różnymi dźwiękami, których przyczyną jest ruch wody.

— To szalenie interesujące, ale obawiam się, że większość czytelników przejdzie wobec tego tekstu obojętnie nie zwracając na niego uwagi. Może jednak kiedyś, za kilka stuleci, pojawi się czytelnik o wrażliwym słuchu i umiejętności zapisywania dźwięków, a znalezione w twojej książce zdanie skłoni go do sporządzenia muzycznego słownika wszystkich rzek. Przy każdej rzece podane będą nuty utrwalające szum jej fal — dźwiękowe portrety Sekwany, Renu, Tamizy, Manzanares, a także dźwiękowe portrety wodospadów, mórz i oceanów.

— Czytam dalej. Strona 222: „Z czego powstaje kurczak: z białka czy z żółtka?"

— Moim zdaniem kurczak powstaje z żółtka, a to dlatego, że białko jest w jajku tylko jedno, natomiast żółtka bywają

czasem dwa. Więc kiedy czasem z jednego jajka rodzą się dwa kurczaki, to przecież nie z jednego białka, ale właśnie z owych dwóch żółtek. A po drugie, gdyby było prawdą, że kurczak rodzi się z białka, a żółtko jest tylko jego pożywieniem, to pytam, dlaczego miejsce szlachetniejsze, czyli środek, zajmowane jest nie przez kurczaka, lecz przez jego pożywienie.

— Jeżeli żółtko jest pożywieniem kurczaka, to znaczy, że kurczak powstaje z żółtka. Jesteśmy bowiem zbudowani z tego, co jemy. I tak jak Niemcy zbudowani są z wieprzowiny i piwa, Anglicy z mgły, którą bez przerwy połykają, a Portugalczycy z likieru i sardynek, tak moje czarne włosy są zrobione ze szpinaku, a żółciutkie pióra maleńkich kurcząt są na pewno nie z białka lecz z żółtka.

— No to czytaj dalej.

— Strona 333. „Od czego pochodzi słowo *„bacio"* czyli pocałunek? Łacińskie słowo *„basium"* wywodzi się od greckiego *„basis"* czyli fundament, a sens jest taki, że pocałunek jest fundamentem miłości".

— A słowo „całować" jaki ma sens?

— Pojedynczy człowiek jest istotą niepełną, wymagającą uzupełnienia. Dopiero wraz z drugim człowiekiem stanowi on pewną całość. Miłość rodzi się wraz z odnalezieniem tej drugiej istoty, która nas dopełnia. Całowanie jest zatem łączeniem się z ową dopełniającą nas istotą w jedną całość. Dlatego właśnie nawet największy filozof oddałby chętnie wszystkie fanfary sławy za jeden pocałunek ukochanej dziewczyny, ponieważ dopiero wraz z nią jest pełnym człowiekiem.

— W tym przypadku możemy być pewni, że jeśli książka twoja trafi do rąk dziewczyn, to ta karta nie pozostanie nie zauważona.

— Jeżeli trafi... Bo oto właśnie w tej chwili przyszła mi do głowy taka myśl, że i ta moja książka jest bytem niepełnym, wymagającym uzupełnienia. Dopiero wraz z czytelnikiem stanowić ona będzie pewną całość. Czy przypominasz sobie to, o czym mówiłem na samym początku naszej rozmowy? Czy-

tanie książki przyrównałem do drogi przez las. I oto ktoś na polanie zaczyna budować własny dom. A więc jakaś karta tej książki staje się „bazą", fundamentem, na której ktoś drugi, czyli dopełniający ją czytelnik wznosi na niej swoje własne zamki ze strzelistymi wieżami. I chyba o to właśnie chodzi, żeby pisać takie książki, zawierające puste polany, które może i powinien zagospodarować czytelnik.

— Sądzę, że gdyby tak było, to dziś nie można by jeszcze powiedzieć, czym jest naprawdę twoja książka. Dopiero po kilku stuleciach, kiedy nad jej kartami wyrosną domy i miasta, ujawni się jej istota — to mianowicie, że jest ona fundamentem tych właśnie domów i miast, bo jak powiadasz, dopiero z tymi czytelnikami, z tymi budowniczymi domów i miast, z tymi domami i miastami książka twoja stanowi pewną całość. Czytaj dalej.

— Strona 444. „Dlaczego w okolicach Tarentu ukąszonych przez pająka zwanego tarantulą leczą dźwiękami muzyki pobudzającej do tańczenia taranteli?"

— O własnościach leczniczych muzyki uczy Pismo święte. Czytamy przecież w księgach Samuela, że kiedy jakieś złe licho ukąsiło króla żydowskiego Saula, i miotał się po komnatach królewskich jak wściekły pies, posłano po Dawida, który umiał pięknie grać na harfie, a dźwięki tej muzyki przynosiły choremu Saulowi ulgę.

— Są różne rodzaje muzyki. Jedna uspokaja i przynosi ulgę. Inna sprowadza sen. Jeszcze inna rozwesela serce jak wino. Inna — w służbie Wenery — przyciąga do siebie ciała kochanków. Jeszcze inna zagrzewa do walki i rozlewu krwi. Mnie muzyka nazbyt hałaśliwa przeszkadza myśleć, ale wyobrażam sobie, że może istnieć taka muzyka, która będzie pobudzać do myślenia, odsłaniając przed myślą jakieś nowe ścieżki.

— W tych czterech zdaniach, które przeczytałeś, była mowa o szumie fal i o pocałunkach, o pająkach i o kurczakach, a także o leczeniu muzyką. Gdybyś przeczytał mi całą książ-

kę, okazałoby się, że zamknąłeś w niej cały świat. Powiedz mi, czy jest coś takiego na świecie, o czym nie napisałeś w swojej książce ani jednego słowa?

— To trzeba sprawdzić. Wymień coś, na chybił trafił, a wtedy okaże się, czy jest czy nie ma.

— No to próbujemy. Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, czy do swojej Arki Noego nie zapomniałeś zabrać moich gronostajów?

— Są na stronie 72 choć w niezbyt dostojnym towarzystwie os, pcheł, pluskiew, żuków i karaluchów.

— Ale mnie to już chyba na pewno nie ma.

— Mylisz się. Jesteś na tej samej stronie 72 ze swoimi gronostajami i kłopotami.

— A czy są w twojej książce czarownice latające na miotle i utrzymujące stosunki z kozłonogimi diabłami.

— Są: na stronach 485—486 pod wielkim orzechowym drzewem.

— I naprawdę wierzysz, że obcują z diabłami?

— We śnie wszystko jest możliwe. Diabeł zjawia się takiej kobiecie we śnie pod postacią pięknego młodzieńca, a tylko kobiety chore nie śnią nigdy o pięknych chłopcach i o pieszczotach. A na jawie oczywiście, nikt nigdy nie widział ani diabła, ani czarownicy na miotle.

— A papież w twojej książce jest?

— Papieża by nie było! Jest i to nawet na najbardziej zaszczytnym miejscu, mianowicie na samym końcu. Zaczynam książkę — jak przystało na dobrego chrześcijanina — od Nieba, cytując słowa poety Guariniego

„Non si comincia ben se non dal Cielo"

— nie można zacząć dobrze, jeśli się nie zaczyna od Nieba, a kończę na papieżu Pawle V.

— A czy po drodze wstępujesz do piekła?

— Piszę o tym, że królowie i książęta zmieniają nasze życie w prawdziwe piekło.

Giulio Cesare Vanini. Rysował Zbigniew Martin

— Wiem już, czego w twojej książce nie będzie. Na pewno nie ma niebytu i nicości.

— Mylisz się. W książce mojej jest wszystko, a więc musi być również i niebyt. Na stronie 364 wyjaśniam, że „niebyt" *(non ens)* jest wymysłem teologów, służącym do tego, żeby z nieskończonego wszechświata zrobić świat skończony, ograniczony ze wszystkich stron wymyślonym przez nich niebytem. Ale to umieszczenie skończonego świata w nieskończonym niebycie obraca się przeciwko nim. Jeżeli bowiem utożsamimy świat ze skończonością a nieskończoność z niebytem, to okaże się, że ich Bóg — jako istota nieskończona — nie jest tożsamy z bytem, lecz z niebytem.

— Teraz wiem, czego w twojej książce na pewno nie ma. Nie ma lęku przed inkwizycją hiszpańską.

— Mylisz się, ponieważ w kilku miejscach wyraźnie piszę, że od niektórych poglądów, do których skłania mnie rozum, powstrzymuje mnie lęk przed inkwizycją hiszpańską i rzymską. Wyjaśniam czytelnikowi, że nie chcę narażać się na gniew inkwizytorów, bo wolałbym umierać w inny sposób niż na wolnym ogniu, no i raczej w osiemdziesiątym niż w trzydziestym trzecim roku życia.

— No to poddaję się. Wierzę, że w twojej książce jest wszystko: woda i ogień, niebo i papież, białko i żółtko, miłość i śmierć, gronostaje i muzyka, a może nawet — wymyślając rzecz najbardziej nieprawdopodobną — znajdą się w twojej książce również słowa polskie.

— Rzekłeś. Na stronie 210 znajdziesz u mnie tatarskie ziele, którego nazwę podaję właśnie w języku polskim.

— Wiedziałem, że jesteś oceanem wszelkiej wiedzy. Teraz wiem, że ocean ten jest nieskończony. A za tę wysepkę na stronie 72, gdzie przez wszystkie wieki mieszkać będzie mój duch — Don Pedro de Castro de Villaquiran — jedyny ślad mojej obecności na tym świecie, zechciej ode mnie przyjąć to najpiękniejsze złotawe futerko gronostaja schwytanego za wcześnie, zanim jeszcze stało się białe jak śnieg.

Rozdział 26

PARYŻ, SIERPIEŃ 1616 R. POETA THÉOPHILE DE VIAU I ROZMOWA O METAFORACH

„Czy razem z Horacym zabawiać się mam metaforami?"

Giulio Cesare Vanini

Przy rozmowie Vaniniego z doktorem Castro de Villaquiran obecny był młody, 26-letni poeta francuski Teofil de Viau, który nic nie mówił, siedząc okrakiem na krześle przy oknie i przeglądając przez cały czas dzieła Vaniniego. Ale kiedy gość hiszpański pożegnał się i wyszedł, Teofil odezwał się:

— Ze mną nie pójdzie ci tak łatwo jak z nim, mistrzu Vanini. Doktor Castro de Villaquiran wyszedł zadowolony, podśpiewując sobie z radości, że do swojej arki Noego zabrałeś jego gronostaje i wszystkie inne zwierzaki, duże i małe, nie wyłączając najpaskudniejszego robactwa. Do diabła z nim i z jego zapchlonymi futrami. Mnie interesuje co innego. Chciałbym wiedzieć, czy idąc śladami filozofa Heraklita z Efezu, uważasz jak on, że wszystkich poetów należałoby wysmagać rózgami, a następnie, jak tego domagał się Platon, przepędzić ich precz na cztery wiatry — co, jak powiadają, zamierza wkrótce uczynić nasz kochany Ludwiczek, ponieważ dotąd jeszcze nie może zapomnieć o tym, że za wiersze, które nie chciały mu wejść do

głowy dostawał lanie w tę część ciała, która jest jedyną rzeczą niezbędną do tego, żeby zasiadać na królewskim tronie, czy też przynajmniej niektórym poetom pozwoliłeś wejść na karty swoich książek, aby mieć ich ze sobą na całą wieczność w swoim własnym świecie. Mam na myśli oczywiście p o e t ó w, a nie pierwszych lepszych wierszokletów, którzy sami przylepili się do kart twoich ksiąg lichymi wierszydłami, skleconymi nieporadnie na twoją cześć i chwałę. Nie chodzi mi też o ich imiona i nazwiska, które bez wierszy, są tylko pustym dźwiękiem. Chodzi mi tylko o tych poetów, których zabierasz ze sobą w Niebo Filozoficznej Nieśmiertelności razem z ich wierszami.

— O ile pamiętam, bo nie liczyłem dokładnie, cytuję różne wiersze w moich książkach przeszło czterdzieści razy.

— A jakich poetów?

— Zaczynając od najdawniejszych: Homera i Hezjoda...

— A w jakim języku cytujesz Homera?

— Po grecku.

— A czego dotyczy cytowany przez ciebie wiersz Homera?

— Przypominam jak Homer wyobrażał sobie doskonałego władcę. Władca taki powinien nie tylko dzielnie walczyć ale i sprawiedliwie rządzić.

— A z poetów starożytnego Rzymu?

— Najczęściej cytuję Wergiliusza, po nim Owidiusza i wreszcie Horacego. Ale nie zapomniałem o Lukrecjuszu, ani o Juwenalisie i Lukanie.

— Co znalazłeś u Lukana?

— Zdanie, które mogłoby stanowić dewizę mojego życia: „Tam dokąd wzywa mnie los, towarzyszyć będzie mi dzielność!"

— To istotnie piękna dewiza. A czy pamiętałeś o poetach nowożytnych?

— Jest Szkot, George Buchanan i kilku moich rodaków, na których czele kroczy nieśmiertelny Torquato Tasso z Sorrenta.

— A na czym, według ciebie, polega poezja?

— Na szczególnym sposobie mówienia, który sprowadza się do tego, że w niewielu słowach wpadających do ucha i pobudzających wyobraźnię obrazami zawarte jest bogactwo myśli. To jest właśnie istotą poetyckich metafor.

— A czy nie sądzisz, że i filozof powinien starać się o to samo, żeby w niewielu słowach zawrzeć jak najwięcej cennych myśli?

— Oczywiście.

— A zatem również w dziele filozoficznym powinny pojawiać się metafory?

— Powinny.

— No to pokaż mi swoje własne metafory, mistrzu Vanini. Bo widzisz, jako poeta to się trochę na metaforach znam i potrafię je ocenić. Więc jeżeli wśród twoich metafor znajdzie się chociaż jedna, która spodoba mi się, to i ja wyjdę od ciebie zadowolony — jeszcze bardziej niż don Pedro.

— Obawiam się, że nie będziesz zadowolony z moich metafor.

— Dlaczego?

— Bo niektóre z nich są dość złośliwe w stosunku do poetów.

— To prawda. Przeglądając twoje dialogi zauważyłem, że nazywasz poetów papugami. Wyjaśnij dlaczego to uczyniłeś.

— Bo poetom jak papugom zdarza się niekiedy wypowiedzieć coś bardzo mądrego, ale jak papugi nie rozumieją tego, co mówią i trzeba dopiero filozofa, żeby zauważył i pokazał głęboki sens niektórych wierszy. Jak w śmieciach rodzi się czasem śliczna czarna myszka, tak w wyobraźni poety rodzi się czasem obraz tego, co się wydarzy w przyszłości.

— A co mówisz o filozofach?

— Filozofa nazywam słońcem. Ale ta metafora jest bardzo smutna. Czy zauważyłeś, że w południe nikt nie patrzy na słońce, a oglądają je dopiero wówczas, kiedy zachodzi? Tak samo jest z filozofem. Póki żyje, nie zauważają jego obecności, dopiero kiedy umrze, stwierdzają, że był wielkim filozofem.

— To samo dotyczy poetów. Wracając jednak do filozofów, czy wszystko w ich dziełach jest cenne?

— O nie. Kiedy po jakimś wielkim filozofie zaczynam czytać dzieła tych, którzy również uważają się za filozofów, wówczas wszystko to, co piszą sprawia wrażenie śmieci.

— Ale wielkim filozofom też zdarzało się niekiedy napisać jakieś głupstwo?

— I to często. Weź na przykład Platona. Ile razy pisze o swoich ideach, tyle razy wydaje mi się dzieckiem, które bawi się pociąganym za sznurek pajacykiem. A kiedy Awerroes i Pomponacjusz piszą o niebiańskich inteligencjach obracających niebiosami wydają mi się podobni do chłopów, poganiających batem biedną szkapę przywiązaną do kieratu. Uprawianie filozofii porównuję często do budowania domów i fortec. Ale większość tych fortec zasługuje na zburzenie i dlatego, kiedy sam uprawiam filozofię, wydaję się sobie nie tylko budowniczym, ale również i tym, który wywraca kolumny i burzy to, co zostało źle zbudowane.

— Podobają mi się twoje metafory, mistrzu Vanini. A zwłaszcza ta ostatnia. Ja też chciałbym być przede wszystkim takim poetą, który wywraca i burzy to wszystko, co zostało źle zbudowane. Czy nie sądzisz, że takim źle zbudowanym gmachem jest nasze kochane państwo francuskie?

— Mam nad tobą przewagę. Znam nie tylko Francję, ale również Włochy, Niemcy, Anglię, Hiszpanię i mogę cię zapewnić, że tamte państwa są również zbudowane wadliwie i też zasługują na to, żeby je zburzyć. W szczególności zaś na zburzenie zasługuje spróchniały i przeżarty przez robactwo gmach Kościoła chrześcijańskiego. Nie wiem jednak, czy moje książki i twoje wiersze to tarany dostatecznie silne, żeby zburzyć wszystko to, co zasługuje na zburzenie.

— A co piszesz na temat ateizmu?

— Ateizm przyrównałem do szybko rosnącej roślinki. Najpierw pojawił się mały zielony kiełek, potem zrobił się z niego

spory krzaczek, wreszcie drzewo, a niedługo będzie to olbrzymi las.

— A czy w twojej książce pojawiają się nieprzyzwoite części ciała?

— Dość często. Wyjaśniam przy tym, że owe części ciała, uważane za wstydliwe, są w rzeczywistości czymś najbardziej szlachetnym i boskim. Dziwię się, że wy poeci tak mało dotąd uczyniliście, żeby pokazać cudownie brzmiącymi wierszami, jak piękną i boską jest ta część ciała kobiety, z której wychodzi na świat maleńka istota ludzka, jeszcze bezradna i bezbronna, ale już z płomykiem rozumu. Ten płomyk często przygasa i w dorosłym człowieku bywa ukryty w popiele. Ale właśnie zadaniem filozofa jest odkrycie tego, co się tam żarzy i rozdmuchanie tego żaru w piękny płomień. Szczególną rolę spełniają przy tym zwłaszcza dyskusje filozoficzne, w których umysły dyskutujących pocierają się o siebie jak kamienie, rozgrzewają się i wreszcie — od tego wzajemnego uderzania się o siebie — tryskają iskry i rozbłyska prawda.

— A co piszesz o przyrodzie?

— Obserwując, jak przebiegiem wszystkich procesów rządzą stałe prawa, napisałem, że przyroda podobna jest do wielkiego zegara. To samo prawo każe roślinie wyciągać się do słońca i niemowlęciu — szukać sutki z mlekiem; to samo prawo przyciąga opiłki żelaza do magnesu i chłopca do dziewczyny; to samo prawo kieruje losami państw i obrotami ciał niebieskich; to samo prawo kieruje lotem ptaka i sprawia, że filozof na skrzydłach myśli unosi się wysoko ponad ziemię dla wydarcia przyrodzie jej tajemnic.

— Jakie jeszcze masz metafory?

— O Boże! czy czterdzieści metafor to mało?

— Nie wierzę moim uszom. Zawołałeś „o Boże"! Czyżbyś uważał, że Bóg istnieje?

— Ach nie! To jest tylko taki sposób mówienia, *une façon de parler,* jak mówicie wy, Francuzi.

— Czyżbyś chciał przez to powiedzieć, że Bóg jest tylko metaforą?

— Tak. Dowodzi tego fakt, że kiedy ludzie mówią o Bogu, to w rzeczywistości zawsze mówią o czymś innym, o świecie i o społeczeństwie, o tym, czego pragną i o tym, czego lękają się. Słowo „Bóg" jest narzędziem tyranów i służy im tylko do tego, żeby utrzymywać masy prostego ludu w posłuszeństwie i niewoli. Lud ma wierzyć, że władza pochodzi od Boga, że władcy rządzą z woli Boga, że prawa państwowe zostały ustanowione przez Boga. Tak więc słowo „Bóg" to wymysł władców i opłacanych przez nich kapłanów.

— Dzięki stokrotne, mistrzu Vanini. Zabieram ci tę myśl i żegnam cię.

— Schowaj ją dobrze, drogi Teofilu, bo jeśli ją u ciebie znajdą, spalą na stosie nie tylko mnie, ale i ciebie.

Rozdział 27

PARYŻ, 1 WRZEŚNIA 1616 R. PRZEWRÓT PAŁACOWY. ARESZTOWANIE KSIĘCIA KONDEUSZA. CENZOR KRÓLEWSKI, PAN DE VERNAISON

„Gdyby świat był rządzony przez opatrzność, wszystko byłoby odmierzane — jak na sprawiedliwej wadze — każdemu człowiekowi według zasług, a więc dobrym dobro a złym zło".

Giulio Cesare Vanini

— Zbudź się wreszcie. Co ty tak twardo śpisz? Wstań — nie ma ani chwili do stracenia...

Vanini przeciera oczy i nie wie, czy to jeszcze sen, czy już pora na egzekucję. Przygląda się, kto go tak szarpie za ramię: Henryk Sylwiusz, arcybiskup Abbot, spowiednik Moravi czy kat? Nie, tym razem to przyjaciel, lekarz i poeta, Ponce Prévost z Taraskonu.

— Dziś w nocy ukończony został druk twojej książki — woła Prévost, wymachując trzymanym w ręce egzemplarzem. — Ubieraj się szybko, w karecie czeka Adrian Périer i musimy zaraz, co koń wyskoczy, pędzić do pana De Vernaison. Za godzinę może być już za późno.

— Dlaczego za późno? — zapytał Vanini ubierając się.

— Bo dziś w nocy rozpoczął się przewrót pałacowy. Królowa Maria postanowiła wyprawić wspaniałe urodziny księciu Henrykowi Kondeuszowi, który dziś kończy właśnie 28 lat.

Pałac królewski jest pełen wojska i teraz jedno z dwojga: albo przywódca opozycji magnackiej, książę Kondeusz, zostanie aresztowany, albo rządy królowej Marii zostaną obalone i królem Francji zostanie obwołany Kondeusz, a miejsce królowej zajmie najpiękniejsza ze wszystkich Francuzek, Karolina de Montmorency. Twój pan, Bassompierre wprowadził do Luwru cały pułk swoich Szwajcarów otrzymując zadanie pilnowania rodziny królewskiej. Jeżeli pan de Thémines odważy się aresztować Kondeusza, zostanie za to marszałkiem Francji. Jeżeli nie potrafi tego uczynić, wówczas Bassompierre zorganizuje ucieczkę rodziny królewskiej do Hiszpanii, a Kondeuszowi zostanie rzucona na pożarcie marszałkowa d'Ancre — bo Concini stchórzył, zostawił żonę i dzieci w Paryżu, a sam uciekł do Normandii. Więc jeżeli Konandeusz będzie górą, to rozpocznie się wielka rzeź Włochów, kręcących się w pobliżu dworu i przede wszystkim dobiorą się do ciebie. Rozpuszczono bowiem wieści, że to właśnie ty podsunąłeś królowej myśl, aby księcia królewskiej krwi wtrącić do Bastylii. Czy to prawda?

— A więc również ściany komnat królowej Francji mają uszy! Istotnie, przypominam sobie, że doradziłem królowej, aby Kondeusza osadzić w Bastylii.

— Jak mogłeś? Jak to możliwe, że ty, obrońca filozoficznej wolności, przykładasz rękę do umacniania tyranii? Czy nie mówiłeś, że Bastylię należałoby zburzyć?

— To była taka przenośnia. Mówiłem o więzieniach, do których wtrącani są filozofowie wówczas, gdy odważają się głosić prawdę. Natomiast zawsze uważałem i uważam nadal, że dla takich nicponi i pyszałków jak książę Kondeusz najodpowiedniejszym miejscem stałego pobytu byłaby właśnie Bastylia. Czy wiesz, że ten półgłówek — nie mający żadnych zasług poza tą jedną, że łaskawie raczył urodzić się jako książę — zdążył już po śmierci króla Henryka, a więc w niespełna sześć lat, wydrzeć ze skarbu królewskiego i roztrwonić na najbardziej nikczemne cele sześć i pół miliona złotych dukatów? W innych rękach suma ta przeobraziłaby się w potężne laboratoria nauko-

we i galerię dzieł sztuki. Kondeusz roztrwonił ją na kupowanie kobiet, koni i psów. Pomyśl sam, czy to nie jest potworne, że człowiek pozbawiony rozumu, pogardzający filozofią, nauką i sztuką, odznaczający się odrażającą brzydotą opływa we wszystkie dobra tego świata i może — za pieniądze — mieć każdą kobietę? Czy to nie jest potworne, że taki właśnie człowiek, dzięki błękitnej krwi, która — bez żadnej jego zasługi — płynie w jego żyłach, ma większe prawo do rządzenia krajem od ludzi tysiąc razy bardziej zdolnych, wykształconych i uczciwych? Pomyśl sam, o ile piękniej i lepiej żyłoby się na świecie, gdyby wszyscy królowie, książęta i najwyżsi dostojnicy kościelni zostali zamknięci raz na zawsze w Bastylii, a posiadane przez nich majątki zostały sprawiedliwie podzielone pomiędzy tych, którzy na to zasługują dzięki zaletom własnego umysłu i charakteru. Czy nie zauważyłeś, jak pięknie rozkwita ogród, jeśli ogrodnik w porę powyrywa zachwaszczające go osty i pokrzywy? Otóż książę Kondeusz to jest właśnie taka pokrzywa, którą należy wyrwać, bo nie ma z niej żadnego pożytku i tylko przeszkadza żyć innym. Wspomniałeś przed chwilą o Karolinie de Montmorency. Pomyśl sam, czy to nie hańba, że najpiękniejszą kobietę Francji zmuszono do małżeństwa z najszpetniejszym i najgłupszym z Francuzów?

* *
*

Pan De Vernaison zażądał od Adriana Périera, aby przyjechał po zezwolenie na rozpowszechnianie książki razem z autorem. Wiedząc, że autorem jest Włoch, kapelan Bassompierre'a, chciał skorzystać z nadarzającej się okazji i w zależności od tego, jaki będzie przebieg wydarzeń, albo przekazać przez Vaniniego wyrazy najwyższego szacunku Bassompierre'owi wraz z zapewnieniem o własnej gotowości do świadczenia mu wszelkich usług, albo też aresztować Vaniniego i wydać go w ręce zwycięskiego Kondeusza. Périer, Prévost i Vanini czekali w salonie, pilnowani przez uzbrojonych ludzi, a pan De

Vernaison przeglądał spokojnie książkę Vaniniego, czekając na wieści z pałacu królewskiego.

Po godzinie sytuacja się wyjaśniła. Jeden posłaniec przyniósł wiadomość, że książę Kondeusz został aresztowany. Drugi posłaniec opowiedział, jak matka księcia Kondeusza jeździła w otwartej karecie po Paryżu usiłując podburzyć lud do buntu i uwolnienia księcia. Zebrane przez nią grupy ludzi zbliżyły się do Luwru, ale na widok uzbrojonych oddziałów szwajcarskich Bassompierre'a, rozeszły się. Jedynym jej sukcesem było to, że szewc Picart na czele murarzy, żebraków i włóczęgów podchwycił rzucone przez nią hasło „Śmierć Włochom!" i nie widząc w pobliżu straży wtargnął do pałacu Conciniego w celach rabunkowych.

Wysłuchawszy relacji posłańców, pan De Vernaison podpisał w imieniu króla i Rady królewskiej zezwolenie na rozpowszechnianie książki Vaniniego i używając wyszukanych zwrotów poprosił Vaniniego, aby zapewnił Bassompierre'a, że zawsze był, jest i będzie jego przyjacielem i pokornym sługą, i że spełnienie wszelkich życzeń Bassompierre'a będzie dla niego zawsze najwyższą radością. Jednocześnie oświadczył, że ze względu na trwające w mieście zamieszki i nienawiść pospólstwa do Włochów, gotów jest dać kilku uzbrojonych ludzi, aby Vanini mógł bezpiecznie powrócić do domu.

„Król pozwolił i pozwala Adrianowi Périerowi, sprzedawcy książek w Paryżu, wydrukować albo oddać do wydrukowania książkę pod następującym tytułem: Juliusza Cezara Vaniniego Neapolitańczyka, teologa, filozofa i doktora obojga praw *O zdumiewających tajemnicach Przyrody Królowej i Bogini śmiertelnych*... Druk tej książki został ukończony dnia 1 września tysiącsześćsetszesnastego roku a naszego panowania roku siódmego."

Za Króla i jego Radę De Vernaison

Rozdział 28

PARYŻ, WRZESIEŃ 1616 R. ARTUR D'ÉPINAY SAINT-LUC I MARTIN MEURISSE

„Jeżeli przypadkiem znalazły się tu (w co jednak trudno nam uwierzyć) jakieś twierdzenia, które wydawałyby się, choćby w drobiazgach, sprzeczne z dekretami lub dogmatami Kościoła Rzymskiego, chcielibyśmy, aby zostały unicestwione i uznane za nie wypowiedziane i nie napisane".

Giulio Cesare Vanini

W połowie września 1616 r. siostrzeniec Bassompierre'a Artur d'Épinay Saint-Luc, opat klasztoru cystersów w Rhedon zaprosił do siebie Vaniniego i przedstawił mu młodego bakałarza teologii, franciszkanina Martin Meurisse'a.

— Mój przyjaciel Martin — rzekł do Vaniniego — ma przez ciebie poważne kłopoty. Nad jego głową zebrały się czarne chmury, a wszystko to przez twoją książkę.

— Cóż się takiego stało?

— Ktoś doniósł, że w swojej książce wyraziłeś się w sposób lekceważący o teologach Sorbony, nazywając ich staruszkami, którym pozostawiasz dociekania nad problemami pozbawionymi sensu. Czy to prawda?

— Tak, przypominam sobie, że coś takiego istotnie napisałem.

— Zaczęto więc czytać twoją książkę i wtedy rozpętała się burza. Ktoś jeden zauważył, że drukarz jest hugenotą, ktoś drugi zaczął oburzać się na tytuł, w którym ośmieliłeś się nazwać przyrodę Boginią, ktoś trzeci zauważył, że ośmieszasz wiarę w cuda i wyjaśniasz je — za Lukianem — oszustwem kapłanów. Ktoś czwarty zapytuje, kogo właściwie masz na myśli, gdy piszesz, że „tych, którzy depcząc prawa boskie i ludzkie, są splamieni czynami występnymi i zbrodniczymi, nie spotykają żadne nieszczęścia, nie spadają na nich żadne klęski, ale posiadają obfitość wszelkich dóbr i spędzają życie w spokoju i w rozkoszach", dodając, że słowa twoje ujawniają nie tylko twój ateizm zaprzeczający istnieniu opatrzności Bożej, ale również stanowią potwierdzenie, że to właśnie ty doradziłeś królowej, aby wtrąciła księcia Kondeusza do Bastylii zastępując opatrznością królewską nieobecność opatrzności Bożej. Mógłbym ci zresztą do wieczora opowiadać, co jeszcze wyczytano z twojej książki, ale teraz posłuchaj, co spotkało mego przyjaciela, Martina.

Kiedy tak czytano twoją książkę i znajdowano w niej coraz więcej bluźnierstw obrażających Boga, Sorbonę i możnych tego świata, zauważono, że książka zaopatrzona jest w przywilej królewski, podpisany przez pana De Vernaison. Udano się więc do niego, ale on powiedział, że wydał ów przywilej, ponieważ książka twoja posiadała już wydrukowaną aprobatę kościelną, w której zostało wyraźnie stwierdzone, że w książce twojej nie można znaleźć niczego, co sprzeciwiałoby się Religii katolickiej, apostolskiej i rzymskiej, i co więcej, ze względu na swoje dostojeństwo i subtelność zasługuje ona jak najbardziej na druk.

— Istotnie, aprobatę kościelną na druk uzyskałem jeszcze 20 maja, a więc cztery miesiące temu.

— Wezwano więc gwardiana klasztoru franciszkanów, ojca Edmunda Corradin, aby wyjaśnił, dlaczego podpisał aprobatę, ale on zrzucił całą winę na swego zastępcę, doktora teologii, ojca Claude Le Petit. Wezwany na przesłuchanie ojciec Le

Petit oświadczył, że i on nie czytał twojej książki, ale dał ją do przeczytania tu obecnemu bakałarzowi, który był twoją książką zachwycony i zapewnił ojca Le Petit, że można ją aprobować. W tej sytuacji Martin nie czekał, aż zostanie wezwany do złożenia wyjaśnień i przybiegł do mnie, abym go ukrył w bezpiecznym miejscu. Oczywiście wyślę go do opactwa w Redon, aby przeczekał tam całą burzę.

— Może uda mi się tam dokończyć książkę, którą od kilku lat piszę — powiedział Martin Meurisse.

— A cóż to za książka? — zainteresował się Vanini.

— *Spraw metafizycznych ksiąg trzy*. Próbuję w niej na wszystkie sprawy patrzeć naraz z czterech punktów widzenia: subtelnego doktora Dunsa Szkota, serafickiego doktora Bonawentury Fidanzy, księcia nominalistów Williama Ockhama i doktora niezłomnego Aleksandra z Hales.

— A ze swojego własnego punktu widzenia?

— Na to przyjdzie czas, jak zostanę biskupem. Rodzina moja zamierza uzyskać dla mnie stanowisko sufragana przy biskupie Metz 623 parafie, 120 tysięcy liwrów rocznego dochodu.

— Dla mnie — wtrącił Artur — przewidziane jest biskupstwo Marsylii, liczące tylko 30 parafii i 30 tysięcy dochodu.

— Ale ty już teraz masz opactwo Redon z 12 tysiącami rocznego dochodu, a mnie jako zwykłego franciszkanina obowiązuje ślub dobrowolnego ubóstwa.

— A jaka jest treść twojej książki? — zapytał Vanini.

— Zaczynam od podstawowego podziału bytów na byty rzeczywiste i byty pomyślane. Następnie dzielę byty pomyślane na byty będące czystym wymysłem oraz na byty, które mają jakiś realny fundament. Byty posiadające podstawę w rzeczywistości dzielę na negacje i relacje; tak więc ciemność jest bytem pomyślanym ale nie wymyślonym, ponieważ stanowi negację realnie istniejącego światła, podobnie i śmierć jest bytem pomyślanym, lecz nie wymyślonym, stanowi bowiem negację realnie istniejącego życia, zimno jest negacją realnie istniejące-

go ciepła, spokój jest negacją realnie istniejącego ruchu, zło — negacją realnie istniejącego dobra. Również ojcostwo jest bytem pomyślanym, lecz nie wymyślonym, ponieważ stanowi relację pomiędzy ojcem a dzieckiem i tak samo prawda jest bytem pomyślanym, lecz nie wymyślonym, ponieważ stanowi relację pomiędzy poznaniem umysłowym a poznawaną rzeczywistością.

— Podoba mi się taka metafizyka — powiedział Vanini — kiedy będę umierał, powiem do zbliżającej się Śmierci: — Nie lękam się ciebie, ponieważ wielki metafizyk, Martin Meurisse dowiódł, że nie jesteś bytem realnym, lecz pomyślanym tylko. I nie dręczy mnie już moje ubóstwo; nie posiadam wprawdzie dochodów biskupich, ani żaden Aleksander nie dał mi sześciuset tysięcy sztuk złota na badania przyrodnicze, ale dzięki twojej metafizyce wiem, że moje ubóstwo nie jest bytem realnym, lecz pomyślanym tylko, jako negacja bogactwa. Dzielnie władasz, młody człowieku, miotłą Ockhama: za jednym zamachem udało ci się wymieść ze świata bytów realnych i śmierć, i ubóstwo, i ciemność, i zimno. Czemuż nie wiedziałem o tym w latach studiów padewskich? Jak głupi trząsłem się z zimna, nie wiedząc, że zimno nie jest czymś realnym, lecz pomyślanym tylko. A kiedy nadejdzie noc, nie będę zapalać świec, ponieważ ciemności istnieją tylko w naszym umyśle, tworzącym sobie pojęcie braku światła. Mów dalej, chłopcze, ponieważ twoja metafizyka jest pełną słodyczy muzyką dla moich uszu.

— Pozostał jeszcze jeden rodzaj bytów pomyślanych, mianowicie byty wymyślone przez intelekt albo jakąś inną władzę posiadającą moc wymyślania i sprzęgania ze sobą biegunów, które się wzajemnie wykluczają jako współniemożliwe. Takie byty chimeryczne nazywam bytami zakazanymi...

— Przeciwstawiając papieskiemu indeksowi ksiąg zakazanych filozoficzny indeks zakazanych bytów — wtrącił Vanini.

— A jakie podajesz przykłady? — zapytał Artur d'Épinay de Saint-Luc.

— Żelazne drzewo, kwadratowe koło i „drugiego Boga" — odpowiedział Martin Meurisse.

— Jakiego „drugiego Boga"? — zapytał Artur.

— Wiadomo — powiedział Martin — że istnieje tylko jeden jedyny Bóg. Ta jedność jedyność należy do istoty Boga tak samo jak istnienie, wszechwiedza i wszechmoc. Natomiast umysł ludzki może sobie pomyśleć wszystko, co zechce, a więc może również pomyśleć sobie drugiego Boga. Taki drugi Bóg może być pomyślany, może być wymyślony, natomiast z samej istoty Boga wynika, że nie może istnieć.

— Wspaniale! — zawołał Vanini — chciałbym tylko wiedzieć, skąd wiesz, że to właśnie ów „drugi Bóg" a nie ten pierwszy jest bytem wymyślonym?

— Jego nieistnienie wynika z jego „drugości", natomiast ów pierwszy Bóg...

— Zawiera w swojej istocie cechy, które się wzajemnie wykluczają jako współniemożliwe — wtrącił Vanini.

— A jakie to cechy Boga wzajemnie się wykluczają? — zapytał Martin Meurisse.

— Teologowie powiadają, że Bóg jest wszędzie i jednocześnie dodają, że jest niematerialnym duchem a więc bytem nieprzestrzennym. Jest cały poza wszystkim i jest cały w każdej rzeczy, ale nie jest zawarty w rzeczach. Powiadają, że Bóg jest wielki i jednocześnie dodają, że jako niezmierzony nie ma żadnych wymiarów. Powiadają, że istnieje wiecznie, a jednocześnie święcą Boże Narodzenie.

— W tym nie widzę żadnej sprzeczności — powiedział Martin — wiecznie istnieje Bóg Ojciec, a 24 grudnia narodził się Syn Boży.

— Ten sam Bóg czy drugi Bóg? — zapytał Vanini.

— Ten sam, lecz w trzech osobach. Czyżbyś uważał, że nie można być jednym w trzech osobach?

— Bynajmniej. Mam bowiem przed sobą wielkiego metafizyka, który jest kimś jednym w czterech osobach: Duns Szkot,

Bonawentura, Ockham i Aleksander — czterej wielcy teologowie w jednym ciele Martina Meurisse'a.

— Proponuję, aby rozmowę tę kontynuować u mnie w Redon — wtrącił Artur d'Épinay de Saint Luc — Sorbona ma powziąć ostateczną decyzję w sprawie książki mistrza Vaniniego dnia 1 października. Na interwencję nuncjusza Ubaldiniego nie można liczyć, ponieważ papież wyznaczył już jego następcę, którym będzie Guido Bentivoglio; ten opuścił już Flandrię, ale zamiast do Francji udał się na razie do Włoch i zamierza przyjechać do Paryża dopiero w przyszłym roku. Marszałek d'Ancre nie ruszy nawet palcem, zresztą sam lęka się powrotu do Paryża. Obawiam się więc, że powietrze paryskie stanie się w październiku nie bardzo zdrowe dla mistrza Vaniniego. Sorbona nie zadowoli się spaleniem jego książki, ale zwróci się zapewne do władz z prośbą o uwięzienie go i przykładne ukaranie. Na twoim miejscu więc, drogi mistrzu Vanini, nie czekałbym do pierwszego, ale szybko spakował rzeczy i uciekał do Redon. W habicie cystersa, pod fałszywym imieniem i nazwiskiem, ukryjesz się u mnie i czekać będziesz, aż Sorbona o tobie zapomni.

Rozdział 29

REDON, PAŹDZIERNIK 1616 R. ZNIKNIĘCIE JULIUSZA CEZARA VANINIEGO. POJAWIA SIĘ DOKTOR POMPEO USIGLIO

„Według Cardana, każdy umysł pragnie wiecznego spokoju. Ale Vanini mówi, że szczęście polega na wiecznym ruchu".

Giulio Cesare Vanini

1 października 1616 r. Sorbona uznała książkę Vaniniego za dzieło bezbożne i groźne dla porządku państwowego. Wydano nakaz skonfiskowania i zniszczenia wszystkich egzemplarzy. Zwrócono się także do władz, aby autor został za swoją zuchwałość surowo ukarany.

— Za bardzo kocham Paryż — powiedział Vanini żegnając Bassompierre'a — i dlatego nie mogę dopuścić do tego, żeby okrył się wieczną hańbą, wykonując wyrok śmierci na autorze *Zdumiewających tajemnic Przyrody Królowej i Bogini śmiertelnych*. Niechże raczej hańba ta spadnie na jakieś inne miasto. Przyjrzyj mi się, panie mój, dobrze, ponieważ dziś widzisz Juliusza Cezara Vaniniego po raz ostatni. Wyjeżdżam, znikam, rozwiewam się bez śladu.

— Byłeś dobrym spowiednikiem, mistrzu Vanini. Szkoda tylko, że diabeł podszepnął ci myśl, żeby właśnie moje nazwi-

sko umieścić na samym początku tej bezbożnej książki. Różne bezbożne rzeczy można robić, można mówić, ale nie należy ich pisać, bo to, co napisane, zostaje i potem ma się różne kłopoty. Oto twoja roczna pensja — dwieście talarów w złocie, które wczoraj wygrałem w triktraka. A teraz szybko uciekaj i nikomu w Paryżu nie mów dokąd jedziesz.

* *
*

Była piękna jesień. Vanini i Tarsjo uciekali na zachód do Bretanii.

— To nasza trzecia wielka podróż — powiedział Tarsjo — czy pamiętasz, panie, tę noc w lesie za Niceą, kiedy w lepiance ukrywaliśmy się przed rozbójnikami? I tę noc w Lyonie, kiedy umknęliśmy pijanym muszkieterom? Jestem ciekaw, jakie przygody niesie nam ta trzecia wyprawa.

— Widzisz, Tarsjo, wtedy w Sabaudii nie byłem jeszcze sobą. Noc w Lyonie to była noc przed narodzinami *Amfiteatru* — wtedy właśnie rodził się prawdziwy Vanini. Kilka tygodni temu pojawił się drugi Vanini, jeszcze prawdziwszy od tego pierwszego, utrwalony w *Dialogach*. Teraz znowu jestem nikim. Prawdziwy Vanini żyje w setkach egzemplarzy wydrukowanych książek. W nich żyje naprawdę, a właściwie naprawdę umiera z każdym egzemplarzem, który inkwizytor rzuca w ogień. I to jest najstraszniejsze, a nie to, co może się przytrafić mojemu ciału.

— Ale moja pani pokochała cię, panie, zanim jeszcze zostały napisane i wydrukowane twoje książki. I jestem tego pewien, że i teraz, gdy może czytać i podziwiać twoje książki, to w dalszym ciągu kocha nie te książki, ale właśnie twoje ciało, a więc tego ciebie, z którym teraz jadę do Bretanii. Przestałeś wprawdzie nazywać się Vaninim, ale w dalszym ciągu jesteś sobą i możesz jeszcze stworzyć wiele nowych i jeszcze bardziej cudownych dzieł, niż te, które już stworzyłeś.

Artur d'Épinay de Saint Luc przyjął go bardzo serdecznie.

— Witam cię, mistrzu Vanini, w opactwie, które jest prawdziwą rabelezjańską Telemą. Jesteśmy tu daleko od dworu, od królów i książąt, od intryg i gwałtu, od Sorbony i świętej inkwizycji. Żyje się tu bez żadnych trosk, kłopotów i obaw. Nikomu tu nie trzeba schlebiać, przed nikim nie trzeba się płaszczyć, nikogo nie trzeba o nic prosić. Jesteś tu u siebie w domu i możesz robić tylko to, na co masz ochotę. Nie ma tu wprawdzie paryskich pałaców, ale za to jest las, ogród i zdrowe powietrze. Nie będzie tu wykwintnych, wyszukanych potraw, ale świeżego mleka, słodkich owoców i starego wina — ile tylko dusza zapragnie.

Wiem, że w Neapolu, w Padwie, w Lambeth i w Paryżu kazano ci wcześnie wstawać. Tu każdy śpi tak długo jak chce, wstaje, kiedy ma chęć i odmawia modlitwy tylko wtedy, gdy czuje rzeczywistą potrzebę rozmowy z Bogiem. Dobrze, że zabrałeś ze sobą Tarsja. Będzie ci co wieczór rozkładał pościel i co rano sprzątał twój pokój, ponieważ wiem, że sam nie lubisz tego robić.

Skarżyłeś się kiedyś na świat, że wszędzie trzeba grać komedię, wszędzie udawać kogoś innego. Tu nie musisz udawać, możesz być samym sobą.

— To niezmiernie interesująca propozycja — odpowiedział Vanini — trzeba wreszcie raz kiedyś spróbować, jak to właściwie jest, kiedy jest się samym sobą.

— Być samym sobą! — zawołał Martin Meurisse, witając się z Vaninim — cóż to za świetny temat do rozmowy. Właśnie piszę rozdział moich *Spraw metafizycznych* poświęcony zagadnieniu tożsamości.

— Poczekaj — przerwał Artur — niechże najpierw nasz gość trochę odpocznie, potem zjemy obiad, a po obiedzie w czasie spaceru po ogrodzie zajmiemy się filozofią. Nie musimy się przecież spieszyć. W naszej Telemie nie ma zegarów. Rzeka Czasu płynie daleko od Telemy.

— Proponuję — rzekł Martin Meurisse — aby rozmowę naszą zacząć od tego miejsca, w którym została ona przerwana w Paryżu. Mistrz Vanini powiedział wtedy, że jestem jeden w czterech osobach. Ta myśl nie daje mi spokoju. Kim właściwie jest człowiek: jednością czy wielością?

— Istnieją cztery możliwości — powiedział Artur — po pierwsze, człowiek może być jednością, po drugie — wielością, po trzecie — zarówno jednością jak wielością, po czwarte — ani jednością ani wielością.

— Dodałbym do nich cztery inne możliwości — powiedział Martin — po piąte bowiem człowiek może być raczej jednością niż wielością, po szóste — raczej wielością niż jednością, po siódme — pozornie jednością a naprawdę wielością i po ósme — naprawdę jednością a pozornie wielością.

— No to dorzucę jeszcze dwie możliwości — powiedział Artur — po dziewiąte: człowiek może być pierwotnie jednością, która stopniowo staje się wielością, i po dziesiąte — człowiek może być pierwotnie wielością, która stopniowo staje się jednością.

— Teraz kolej na ciebie, mistrzu Vanini — powiedział Martin — za którą z owych dziesięciu możliwości opowiadasz się?

— Za wszystkimi dziesięcioma naraz — rzekł Vanini — w przeciwieństwie bowiem do zwierząt, z których każde, w obrębie tego samego gatunku, jest podobne do innych zwierząt, istotą gatunku ludzkiego jest jego zróżnicowanie: w wyniku tego spotykamy ludzi, którzy są jednością i ludzi, którzy są wielością, ludzi, którzy są zarówno jednością jak wielością, i ludzi, którzy nie są ani jednością ani wielością, ludzi, którzy są raczej jednością niż wielością, i ludzi, którzy są raczej wielością niż jednością, następnie ludzi, którzy w istocie są wielością, lecz umysł nasz czyni z nich pewną jedność, oraz ludzi, którzy naprawdę są jednością, lecz umysł nasz rozszczepia ich na wielość, i wreszcie ludzi, którzy rozwijają się z jedności

w wielość, oraz ludzi, którzy przeciwnie, z pierwotnej wielości scalają się w jedność.

— A w tobie samym, mistrzu Vanini, która z tych dziesięciu możliwości została urzeczywistniona?

— Sądzę, że wszystkie dziesięć. Najpierw bowiem, jako niemowlę, nie byłem ani jednością ani wielością i żyłem nie zdając sobie sprawy z własnego istnienia. Był świat, byli moi rodzice i był ogród, a ja byłem częścią tego świata bez własnej, wyodrębnionej z niego tożsamości. Potem jednocześnie pojawiła się jedność i wielość. Nazywano mnie Juliuszem Cezarem Vaninim; wiedziałem, że to o mnie mowa, kiedy wymawiano słowa: „dziecko", „chłopiec", „on", „ty" i dziwiło mnie, że ja jestem jeden, a słów, którymi mnie określają, jest wiele. Sądziłem wówczas, że naprawdę jestem jeden, natomiast owe różne słowa wytwarzają pozorną wielość. Ale kiedy moja matka pytała mnie, co wolę: orzechy czy pomarańcze? wówczas ze zdumieniem odkrywałem, że są we mnie dwie istoty, jedna miała chęć na orzechy, druga na pomarańcze, a tymczasem zwracano się do mnie, jak gdybym był kimś jednym. Z biegiem czasu zarówno owa jedność rozwijała się i umacniała a jednocześnie wypuszczała konary i gałęzie coraz bardziej mnie zwielokrotniając, jak i owa wielość, coraz bardziej rozszczepiająca się na sprzeczne z sobą pragnienia, scalała się w jedność, w której wszystko stawało się podporządkowane jednemu kierownictwu.

Tych czynników, które czyniły mnie wielością było bardzo wiele. Wiadomo, że charakter i obyczaje kształtowane są przez to, czym się odżywiamy. Ale jadałem potrawy bardzo różne, toteż wpływy ich zderzały się we mnie; inne cechy charakteru wytwarzały we mnie potrawy mączne, inne cechy owoce, a jeszcze inne — mięso. Podobnie spotykani ludzie. Każde spotkanie z ludźmi modyfikowało moją istotę i to niekiedy w sposób tak trwały, że niektórzy ludzie przenosili się jak gdyby ze świata zewnętrznego do mego wnętrza i od wewnątrz, jako cząstki mojej własnej istoty, kierowali moim postępowaniem. Do dzisiej-

szego dnia odczuwam w sobie obecność mego ojca, który wprawdzie zmarł, lecz we mnie żyje w dalszym ciągu i kiedy zastanawiam się jak postąpić, słyszę w sobie jego głos. Żyje we mnie moja matka, piękna pani Beatrycze Lopez de Noguera, i moja ciotka Izabela, i mój pierwszy nauczyciel Bartolomeo Argotti, i mój przyjaciel Bonawentura Genocchi. Żyją także we mnie wielcy myśliciele, których dzieła formowały mój umysł: Arystoteles i Lukian, Pomponacjusz i Cardano, a także poeci: Guarini, Marino, Tasso, których wiersze dźwięczą mi w uszach i współkształtują mój sposób widzenia świata. Jestem więc raczej wielością i prawdziwiej wielością niż jednością, ale wielość ta jest uporządkowana, i kiedy podejmuję jakąś decyzję, wówczas staję się raczej kimś jednym, scalonym, skoncentrowanym na jednym, określonym zadaniu.

— Takim zadaniem, które uczyniło z ciebie jedność, było zapewne pisanie książki? — wtrącił Martin Meurisse.

— Tak, ale właśnie w tej książce rozszczepiłem się na dwie postaci: Juliusza Cezara i Aleksandra, żeby móc swobodniej toczyć z samym sobą dialog. Czytając tę książkę, myśleliście zapewne, że występujący w niej Juliusz Cezar to właśnie ja sam, ten, z którym teraz rozmawiacie, i że po prostu uczyniłem jeden krok — z życia do książki — będąc w tej książce tożsamym z samym sobą. Sprawa ta jednak nie przedstawia się tak prosto. Samym sobą jestem tylko jako autor tej książki, natomiast występujący w niej Juliusz Cezar jest swobodnie modelowaną przeze mnie postacią, którą świadomie wyposażyłem w pewne rysy groteskowe, na przykład w nieprawdopodobną wprost zarozumiałość.

— A także w pewną niekonsekwencję — zauważył Artur — zdarza się bowiem, że Juliusz Cezar wypowiada w tej książce myśli, które sobie wzajemnie przeczą.

— Przyczyna tych sprzeczności jest niezmiernie interesująca. Spróbuję wyjaśnić, dlaczego postanowiłem je ujawnić. Zadawałem sobie nieraz pytanie: kim właściwie jestem? czy tylko tym paryskim Vaninim z okresu przebywania na dworze

królewskim, czy także tym, kim byłem przedtem. Istniałem przecież w jakiś sposób przed przybyciem do Paryża. Było sobie kiedyś takie dziecko, które biegało po ogrodzie w Taurisano i był taki student, który chodził na uniwersytet w Neapolu a potem w Padwie. I był taki karmelita, który uciekał z Włoch do Anglii. I był jeszcze ktoś taki, kto żył na dworze arcybiskupa Abbota w Lambeth i wyjeżdżał z nim na wakacje do Croydon, i ktoś taki, co jadał obiady w Brukseli u nuncjusza Bentivoglia, i uczył filozofii młodego Dorię w Genui. Cóż się z nimi wszystkimi stało? Czy znikli bez śladu, czy też się gdzieś głęboko ukryli? Postanowiłem więc ich odszukać i wtedy okazało się, że wszyscy oni ukryli się we mnie i że to, co nazywa się mną, nie jest wyłącznie mistrzem Vaninim z dworu królowej Marii Medyceuszki, ale jakby kompanią złożoną z wielu różnych Vaninich, dowodzoną przez najstarszego — a faktycznie najmłodszego z nich. Na bo przecież owo dziecko z Taurisano pojawiło się o dwadzieścia kilka lat wcześniej niż spowiednik pana Bassompierre'a, a więc naprawdę jest od niego starsze.

Kiedy więc doszedłem do przekonania, że jestem nie tylko tym, kim jestem, ale również tym, kim byłem, a więc, że faktycznie jestem wielością różnych Vaninich, posiadających różne zainteresowania, odmienne pragnienia i niejednokrotnie sprzeczne poglądy na te same sprawy, postanowiłem w książce mojej dopuścić do głosu również i tych Vaninich, którymi byłem dawniej. Czy uczyniłem słusznie? sami osądźcie. Chcecie przecież kontynuować rozmowę, którą zaczęliśmy w Paryżu. Uważacie więc, że jestem wciąż jeszcze tym paryskim Vaninim, który napisał dialogi *O zdumiewających tajemnicach Przyrody Królowej i Bogini śmiertelnych*. Ale przecież od owej paryskiej rozmowy minął miesiąc i właściwie stoi przed wami ktoś zupełnie inny — człowiek bez imienia i nazwiska, człowiek, dla którego nie ma powrotu do Paryża, człowiek, któremu nie wolno się przyznawać do tego, że jest autorem owej książki, bo książka ta została skonfiskowana, a przyznanie się do autorstwa jest równoznaczne z oddaniem się w ręce kata.

Wy jednak w waszym Bezimiennym Gościu widzicie nie tylko zbiega, poszukiwanego przez świętą inkwizycję, ale również tego Vaniniego, który się w nim ukrył...

— Jak złoty bożek w posągu Sylena — wtrącił Artur.

— Zresztą jest jeszcze jedna przyczyna — ciągnął dalej Vanini — dla której pozostawiłem owe sprzeczności. Pisałem przecież tę książkę nie tylko dla samego siebie — żeby się sobie przyjrzeć, odkrywając przed samym sobą tych wszystkich Vaninich, którzy się we mnie ukryli — ale również dla czytelników, a może nawet przede wszystkim dla czytelników. Otóż pomyślałem sobie, że gdybym w tej książce był tylko jeden — z jedną, gotową odpowiedzią na każde pytanie, to książka moja, niby starożytna Meduza, zamieniałaby czytelników w nieruchome głazy, unieruchamiała ich umysły. Czytelnik, którego dręczy jakiś problem, sięgałby do mojej książki i znajdując tam gotową odpowiedź, przestawałby myśleć i badać. Znaleziona odpowiedź gasiłaby jego ciekawość i przynosiła błogi spokój. A przecież zadaniem filozofii jest wprawianie umysłu czytelnika w ruch, pobudzanie go do myślenia i badania. Należało więc tę książkę napisać w taki sposób, żeby owej ciekawości czytelnika nie gasić, ale ją jeszcze bardziej rozniecić. Umyślnie więc zamiast jednej odpowiedzi dawałem często dwie albo trzy, aby czytelnik musiał zastanawiać się i wybierać, dochodząc do prawdy własnym trudem. Czy nie zauważyliście tego, że człowiek mniej ceni, to co dostał za darmo, od tego, co zdobył sam własnym wysiłkiem?

— Pozwól, drogi mistrzu Vanini, że powrócimy do punktu wyjścia — rzekł Martin Meurisse. — Wyliczyliśmy sobie dziesięć różnych możliwości bycia jednością lub wielością, a wśród nich była także mowa o dwóch procesach, z których jeden polega na tym, że pierwotna jedność rozpada się na wielość, a drugi na tym, że od pierwotnej wielości przechodzimy do jedności. Chciałbym w związku z tym postawić ci pytanie, jak oceniasz te procesy: który z nich powinien być naszym drogowskazem; do czego powinniśmy dążyć: do wielości czy do jedności.

— Odpowiedź jest oczywista — zawołał Artur — wszyscy wielcy filozofowie uczyli, że jedność jest czymś doskonalszym od wielości, a zatem człowiek będący wielością powinien uczynić wszystko, aby stać się jednością.

— To prawda — rzekł Vanini — że wszyscy filozofowie mówili właśnie: tak, ale Vanini powiada: nie. Jedność to spokój, bezruch, bagno, śmierć. Jedynie wielość — jak rwąca rzeka — jest życiem. Dlatego taką zastygającą jedność należy burzyć, rozrywać, wnosząc w nią sprzeczności, ruch, życie!

— Za wiele tych myśli na jeden dzień — powiedział Artur — obawiam się, że nie zdołamy ich przetrawić. Proponuję więc, abyśmy się teraz udali na spoczynek, a jutro, gdy umysły będą świeższe, kontynuowali rozpoczętą dysputę.

* *
*

I tak dzień po dniu, na długich spacerach po ogrodzie i lesie, Vanini, Artur i Martin roztrząsali zawiłe kwestie metafizyczne, aż minęła jesień i spadły pierwsze śniegi.

Również i zimę w Redon wypełnili dyskusjami filozoficznymi, za dnia spacerując po śniegu, a wieczorem grzejąc się przy wesoło trzaskającym ogniu na kominku.

Pierwszego dnia wiosny 1617 r. Martin Meurisse wysunął nowy problem do dyskusji:

— Drogi mistrzu Vanini, powiedz nam, czym jest szczęście.

— Wielki filozof starożytny Epikur uważał, że szczęście polega na spokoju duszy, którego nie mącą żadne cierpienia, żadne troski, żadne obawy ani żadne kłopoty. Sądząc zaś, że bogowie jako istoty doskonalsze od ludzi, górują nad ludźmi również i tym, że są od ludzi szczęśliwsi, umieścił swoich bogów w przestrzeniach międzygwiezdnych tak daleko od naszego świata, aby nie dochodziły do nich żadne wieści o naszych cierpieniach i troskach. Mędrcy, zdaniem Epikura, powinni starać

się naśladować bogów, a więc — skoro nie mogą zamieszkać razem z bogami w owych przestrzeniach międzygwiezdnych — powinni wytworzyć w sposób sztuczny podobną przestrzeń wokół siebie, odgradzając się od świata murem postawy filozoficznej, wolnej od lęku i od trosk. Podobnie inni filozofowie starożytni umieszczali szczęście w apatii i w ataraksji, w obojętności i niewzruszoności, w trwałym spokoju duszy. Również Arystoteles, pragnąc uczynić swego boga doskonale szczęśliwym, uczynił go bytem nieruchomym i niematerialnym, a więc pozbawionym oczu i uszu, aby jego boskiego spokoju nie zakłócał widok naszych cierpień ani hałas naszych jęków i błagań. W naszych czasach wielki filozof mediolański, Girolamo Cardano, głosił — podobnie jak to czynili starożytni — że szczęście polega na spokoju, a celem trudzącego się umysłu jest znalezienie odpowiedzi na dręczące go pytania, ugaszenie niepokoju i trwały spokój.

I wszyscy filozofowie mówią tak właśnie, albo podobnie, ale Vanini powiada: nie. Dla Vaniniego bowiem szczęście polega na wiecznym ruchu.

Drogi Arturze, żyjemy tu u ciebie od wielu miesięcy jak bogowie u Epikura. Bretania jest tak daleka od paryskiego zgiełku, jak gdyby znajdowała się w przestrzeni międzygwiezdnej. Tu w Redon poznałem dzięki tobie to szczęście, o którym marzył Epikur. Ale gwiazdy, które uformowały mój charakter, nie pozwalają mi siedzieć u ciebie dłużej. Tak więc jutro ruszam w świat i choćby tym razem okręt mój miała rozbić burza morska, nie cofnę się. Nie mogę żyć w bezczynności.

— Zważ jednak, że wciąż jesteś poszukiwany. Cała Francja wie, że za głowę Vaniniego wyznaczona została nagroda.

— Vanini znikł. A ja w świat pójdę pod nowym imieniem i nazwiskiem. Będę teraz doktorem Pompeo Usiglio, lekarzem i nauczycielem filozofii.

Perswazje Artura nie odniosły żadnego skutku. Następnego dnia, wczesnym rankiem, uścisnęli się serdecznie po raz ostatni i Vanini wyruszył w drogę.

Artur i Martin odprowadzali go wzrokiem, aż znikł za horyzontem.

— Jestem pełen najgorszych przeczuć — powiedział Artur — to nie gwiazdy wzywają go na południe Francji, ale śmierć.

— To prawda — dodał Martin — że droga mistrza Vaniniego jest drogą prowadzącą do śmierci, ale przecież do śmierci — taką czy inną drogą — zmierza każdy człowiek.

Rozdział 30

CONDOM, LIPIEC 1617 R. OBIAD U HISTORYKA SCYPIONA DUPLEIX. ŚMIERĆ CONCINICH

„Kto czyta historyków, widzi początek i kres każdego panowania i każdej religii".

Giulio Cesare Vanini

W lipcu 1617 r. znany historyk i filozof Scypion Dupleix wracał z Paryża do swego zamku w Condom. Przejeżdżając przez miasto zauważył na placu swoich dwóch przyjaciół, lekarzy z których jeden nazywał się Guillot a drugi Latournerie. Dupleix zatrzymał powóz, wysiadł i przywitał się z przyjaciółmi.

— Co słychać w Paryżu? — zapytali go.

— O, bardzo wiele doniosłych wydarzeń, do opowiadania na cały wieczór. Przyjdźcie do mnie jutro na obiad, a chętnie wszystko opowiem. A cóż takiego wydarzyło się w czasie mojej nieobecności w Condom?

— Dwa miesiące temu przybył do Condom z Bretanii młody, nieznany nikomu lekarz, doktor Pompeo Usiglio i od razu stał się bożyszczem wszystkich tutejszych dam, ponieważ wyjaśnia im sny i udziela rad, co należy czynić, aby rodzili się synowie podobni do ojców. Ukończył wszystkie możliwe fakultety, zwiedził wszystkie kraje Europy, wszystko wie i na wszystkim się zna.

— No to zaproście go w moim imieniu na jutrzejszy obiad i przyprowadźcie go ze sobą.

* *
*

— Te befsztyki z surowego mięsa ociekające krwią — powiedział Dupleix — to zapowiedź mrożącej krew w żyłach historii, którą wam opowiem po obiedzie.

— Czyżby królowa Maria kazała poćwiartować księcia Kondeusza? — zapytał Guillot.

— Nie, to nasze jasnowłose pacholę, król Ludwik tupnął wreszcie nóżką i kazał zrobić befsztyk z kochanka swojej matki, marszałka d'Ancre.

— Cóż za wspaniałe wieści przynosisz — zawołał Latournerie — podoba mi się nasz król! Od dawna uważałem, że ze wszystkich Włochów, którzy mieszkają we Francji, należałoby zrobić befsztyki... oczywiście z wyjątkiem naszego przyjaciela, doktora Pompeo Usiglio.

— A co z panią marszałkową? — zapytał Vanini.

— Pytasz o tę wiedźmę, Leonorę Galigai? Ją również, chwała Bogu, spotkał taki los, na jaki zasłużyła. Ale o tym opowiem na deser.

Po obiedzie Scypion Dupleix zaprowadził gości do oplecionej winem altany, kazał podać owoce i wino, a następnie rozpoczął opowieść.

— Jeszcze w 1599 roku najwierniejsi przyjaciele ostrzegali wielkiego króla Henryka, żeby nie brał Włoszki za żonę. Przypominano ile nieszczęść sprowadziła na Francję Katarzyna Medyceuszka i zaklinano na wszystkie świętości, żeby nie sadzał na tronie drugiej Medyceuszki. Wykazywano, że w żyłach jej płynie krew żydowskich bankierów, wyrażano zdziwienie, że król — będący wyjątkowym znawcą piękna kobiet — nie odczuwa wstrętu na widok takiej brzydkiej i tłustej gęsi, głupiej, złośliwej i nie będącej nawet dziewicą. Ale król nasz znajdował się wówczas w wielkich tarapatach finansowych i zadłużony

po uszy u Medyceusza nie miał innego wyjścia, jak ożenić się z jego córką. Drugim ciężkim błędem króla Henryka było to, że pozwolił królowej sprowadzić ze sobą nieprzebrane mnóstwo włoskiego ścierwa: nicponi, awanturników, wydrwigroszy, znachorów, szarlatanów, astrologów, a wśród nich tę najgorszą parę, z piekła rodem, Leonorę i Concina.

Dla omotania królowej Leonora posługiwała się wszystkimi możliwymi środkami: czarami, astrologią, magią, wywarami z ziół, które mącą umysł a także męskimi wdziękami swego męża. Nauczona przez Leonorę królowa potrafiła świetnie grać komedię i udawać świętoszkę. Już w czasie pierwszej uroczystości dworskiej, nazajutrz po przyjeździe królowej do Paryża, kiedy — zgodnie z ceremoniałem dworskim — nowa królowa miała wymienić pocałunki ze wszystkimi książętami krwi, padła królowi do nóg, pokryta rumieńcami udanego wstydu i błagała, aby król uszanował jej wstyd i wydał dla niej specjalny przywilej, że całować ją może tylko król i nikt więcej. Wzruszony jej skromnością król wydał ten przywilej, nie wiedząc, że dzieli łoże z przybłędą włoskim, Concinim i Niemcem z Lotaryngii, Bassompierrem.

Minęło kilka lat i oto na Francję spadło pierwsze nieszczęście: 14 maja 1610 roku Ravaillac zatopił sztylet w piersi króla Henryka. Królowa Maria, mianowana poprzedniego dnia regentką Francji, nie uroniła ani jednej łzy. Ale już w styczniu 1611 r. Giacomina Le Voyer d'Escoman przekazała prezydentowi trybunału dowody, że ręką Ravaillaca kierował spisek: to Concini, królowa Maria, książę d'Épernon, książęta de Guise i markiza Verneuil postanowili zgładzić króla Henryka, żeby móc niepodzielnie rządzić Francją. Zaraz po śmierci króla, dwór królowej powiększył się do 465 osób, z których przeszło 200 jadało co dzień wystawne obiady w Luwrze. Gromadzone przez wiele lat przez króla Henryka fundusze na wielką wojnę, która miała zapewnić Francji dominującą pozycję w świecie, zostały szybko roztrwonione. W ciągu kilku lat Concini i Leonora zagarnęli trzy, a niektórzy powiadają, że nawet cztery

Koronacja Marii Medyceuszki. Z książki: L'ancienne France, 1887

miliony złotych talarów. W 1613 r. Concini będący już markizem d'Ancre i gubernatorem Amiens zażądał dla siebie tytułu marszałka Francji. 1 września 1616 r. Concini i Leonora, a także spowiednik Bassompierre'a, Vanini, doradzili królowej, żeby wyrwać z korzeniami opór książąt krwi przeciwko panoszeniu się Włochów, wtrącając księcia Kondeusza do Bastylii. Był tylko problem, kto ma tego dokonać. Concini sam bał się ryzykować i przez kilka miesięcy ukrywał się w Normandii. Bassompierre — wezwany przez królową 1 września o godzinie 3 w nocy — zebrał swoich Szwajcarów, ale tylko po to, żeby zorganizować ucieczkę królowej w przypadku, gdyby przewrót się nie udał. Niełatwo było znaleźć człowieka, który by odważył się podnieść rękę na księcia Kondeusza, dopiero Thémines, któremu królowa obiecała za tę niegodną usługę buławę marszałkowską, aresztował w samo południe najszlachetniejszego z Francuzów.

9 grudnia 1616 r. Concini wraca do Paryża i dowiaduje się, że uwięzienie księcia Kondeusza nie zdało się na nic. Uwięziony Kondeusz jest jeszcze bardziej niebezpieczny od Kondeusza, który przebywał na wolności. Cały Paryż od prostego ludu do książąt ma dosyć włoskich rządów. Żaden samotny, nieuzbrojony Włoch nie może się już pokazać na ulicy. I co gorsza, również król Ludwik ma już dosyć rządów swojej matki i jej kochanków.

Wtedy Concini i Leonora opracowują nowy szatański plan pozyskując dla niego królową. Jak w 1610 r. usunęli sobie z drogi wielkiego króla Henryka, teraz postanawiają usunąć jego syna. Rzecz w tym, że z zawartego w końcu listopada 1615 r. małżeństwa nic nie wyszło. Króla Ludwika nawet siłą nie można zaciągnąć do sypialni jego małżonki, Anny. To grozi wygaśnięciem dynastii. Na szczęście król Ludwik ma brata, Gastona, który jest wprawdzie młodszy, ale już pali się do przygód miłosnych. Należy więc usunąć Ludwika i osadzić na tronie Francji Gastona.

Ale tu przeliczyli się. Zapomnieli o tym, że król Ludwik uczestniczył w przygotowaniach do wrześniowego przewrotu i czegoś się od nich nauczył.

24 kwietnia 1617 r. król Ludwik wstał o trzeciej nad ranem i zawołał do siebie kapitana Vitry.

— Kapitanie Vitry — zapytał — kto jest twoim królem?

— Ty, najjaśniejszy panie.

— Kapitanie Vitry, czy wykonasz każdy mój rozkaz?

— Tak, najjaśniejszy panie.

— Kapitanie Vitry, jeżeli wykonasz mój rozkaz, zostaniesz marszałkiem Francji!

— Słucham twoich rozkazów, najjaśniejszy panie. Nie ma takiego rozkazu, którego bym nie wykonał.

— A więc słuchaj uważnie, kapitanie Vitry. Dziś o godzinie 12 w południe zabijesz marszałka d'Ancre!

— Pozwól mi ucałować twoje ręce, najjaśniejszy panie. Na ten rozkaz czeka z utęsknieniem cała Francja! A za buławę

Concino Concini, marszałek d'Ancre. Sztych Bouttata, Wiedeń, Bibl. Narodowa

marszałkowską gotów jestem zabić nie jednego przybłędę włoskiego, ale nawet tysiąc Concinich.

— To nie wszystko. O jedenastej wyślesz gońca do marszałka d'Ancre i powiesz mu, że go wzywa do siebie królowa. Następnie rozbroisz straż przyboczną królowej i obstawisz jej komnaty swoimi żołnierzami, którzy nie pozwolą nikomu wejść ani wyjść.

— Tak, najjaśniejszy panie.

— To nie wszystko. Po zabiciu marszałka d'Ancre, każesz zwołać lud z przedmieść Paryża i wyrzucisz na bruk ciało zabitego, wyjaśniając, że skończyły się rządy Włochów we Francji. Potem aresztujesz i przewieziesz do więzienia marszałkową d'Ancre.

— Tak, najjaśniejszy panie.

— A jeśli wszystko zostanie wykonane tak, jak rozkazałem, dziś jeszcze zostaniesz marszałkiem Francji.

— I tak, moi panowie — ciągnął dalej Scypion Dupleix — od tych strzałów, które rozległy się w samo południe, 24 kwietnia 1617 r. na schodach Luwru, rozpoczyna się nowa epoka w dziejach Francji. Na odgłos strzałów zbiega się cały dwór, a widząc co się stało, wszyscy głośno krzyczą: — Niech żyje król!

Skończyły się rządy Conciniego i Leonory Galigai. Skończyły się rządy Medyceuszki. Francja ma króla. Proponuję, moi panowie, abyśmy przyłączyli się do tej powszechnej radości i wznieśli toast za zdrowie króla naszego, Ludwika XIII.

— A ja proponuję — odezwał się Vanini po wypiciu toastu — abyśmy wznieśli jeszcze jeden toast. Skoro nasz król Ludwik okazał się taki dzielny, że kazał zastrzelić Conciniego, niechże okaże się równie dzielny w służbie pod sztandarami Wenery i zapłodni wreszcie królową Annę.

— Rozmawiałem z nowym faworytem, panem Albertem de Luynes. Przysiągł na wszystkie świętości, że jeszcze w tym roku użyje siły i zaciągnie króla Ludwika do sypialni jego mał-

żonki, napoiwszy go przedtem mocnym winem i nakarmiwszy najskuteczniejszymi afrodyzjakami.

— Opowiadają w Condom — odezwał się Latournerie do Vaniniego — że jesteś największym na świecie znawcą afrodyzjaków i potrafiłbyś nawet kamienny głaz skłonić do furii miłosnej.

— Jeżeli tak — zawołał Scypion Dupleix — to doktor Pompeo Usiglio musi mi zaraz wypisać receptę. Pięć sztuk złota, jeśli okaże się skuteczna. Hej, służba! Podajcie natychmiast doktorowi gęsie pióro, papier i kałamarz.

Vanini uśmiechnął się i nie zastanawiając się długo wypisał następującą receptę:

„Recipe:
Zinziberis seminis synapi, cepullae, erucae, urticae,
cinamomi an. 3 j.
piperis longi, anisi, gariofil. an. 3 j.
lumbos stinci ambrae 3 j.
Fiat pulvis, quo formentur cum zaccharo tabellae.

Pompeo Usiglio, medicinae doctor"

— Wszystkie wymienione składniki aptekarz zetrze na miałki proszek, wymiesza z cukrem pudrem i sporządzi tabletki, które należy łykać — popijając mocnym winem — po jednej przed każdą potyczką. Ale pragnę zauważyć, że pan Dupleix nie dokończył nam jeszcze swojej opowieści. Czy pani marszałkowa przebywa wciąż jeszcze w więzieniu?

— Ach nie. Żyjemy przecież w kraju praworządnym i Leonorze Galigai wytoczono normalny proces, wyznaczając nawet adwokata z urzędu, który starał się znaleźć jakieś okoliczności łagodzące. Okoliczności takich jednak nie było. Udowodniono, że dla omotania królowej posługiwała się lekarzami żydowskimi i astrologiem włoskim Cosmą Ruggierim. W sypialni nie miała krucyfiksu, bo nie chciała, aby jej przeszkadzał w cza-

Śmierć marszałka d'Ancre z książki: Histoire de France, 1954, s. 436

rach. W kufrze pod łóżkiem znaleziono sznury pereł i wiele naszyjników z brylantami. Świadkowie zeznali, że spotykała się z ateistą Vaninim, poszukiwanym od wielu miesięcy przez świętą inkwizycję. A ponieważ w czasie procesu okazała diabelską zawziętość i mimo tortur nie przyznała się do uprawiania czarów, więc jako trwającą w uporze czarownicę skazano ją na śmierć przez spalenie żywcem na stosie. Ten sprawiedliwy wyrok wykonano w lipcu. Byłem przy tym i widząc, że sprawiedliwości stało się zadość, wyjechałem z Paryża, aby tu w Condom napisać *Historię panowania króla Ludwika Sprawiedliwego.*

— Doktorze Pompeo — zwrócił się do Vaniniego Guillot — zdaje się, że masz w oczach łzy. Czyżbyś znał osobiście Leonorę Galigai?

— A może — dodał Scypion Dupleix — podróżując wiele

po świecie poznałeś osobiście również owego przeklętego ateistę Vaniniego, który w październiku zeszłego roku uciekł z Paryża i podobno ukrywa się gdzieś w południowej Francji pod zmienionym imieniem i nazwiskiem? Przyznaj się, znasz go?

— Znam jego książki, panie Dupleix.

— A dlaczego czytasz książki zatrute jadem ateizmu?

— W tym celu, żeby je zwalczać, panie Dupleix. Jeżeli książki mistrza Vaniniego są trucizną, to moim obowiązkiem, jako lekarza ciał i dusz, jest znać truciznę, żeby wiedzieć, jak przywracać zatrutym zdrowie. Tym bardziej, że — jak uczy medycyna — w najgroźniejszych truciznach kryją się zwykle najbardziej cudowne lekarstwa.

— Mądra odpowiedź, doktorze Pompeo. Wy Włosi na wszystko macie zręczną odpowiedź. Opowiadano mi o tobie, że wiesz wszystko i znasz się na wszystkim, a więc niewątpliwie znasz się również na historii.

— Historie są różne.

— Sądziłem, że historia jest jedna.

— Historii jest wiele. Jest historia nieba, historia natury i historia ludzi. Jest historia tocząca się na powierzchni i historia prawdziwsza, ukryta głęboko pod historią pozorną, a zadaniem historyka jest wydobycie jej na jaw. Jest także historia tego, co było, historia, która dzieje się teraz i historia przyszłości, której jeszcze nie ma, lecz pod którą już dziś wznoszone są fundamenty.

— A która z nauk jest, twoim zdaniem, najbardziej potrzebna historykowi?

— Wszystkie. Potrzebna jest nauka o niebie, bo losy królów, miast, państw i religii zależne są od gwiazd. Potrzebna jest nauka o ziemi, o roślinach i zwierzętach, bo losy narodów zależne są od ich charakteru i obyczajów, a charakter i obyczaje narodów zależne są od sposobu odżywiania się, od narodowych potraw, od soków czerpanych z ziemi. Potrzebna jest wiedza o dźwiękach, bo dzieje podobne są do muzyki, a historyk musi mieć dobry słuch, żeby z chaosu szumów i dźwięków

wyłowić melodię czyli przewodnią myśl procesu historycznego i chwycić rytm, dzielący proces rozwoju na takty. Potrzebna jest wiedza o budowie dzieł poetyckich, bo historyk — jak poeta — musi być człowiekiem potężnej wyobraźni, aby z okruchów, które znajduje, prawidłowo odtwarzać całość, a z tego, co jest, wyczarować to, co jest możliwe i to co powinno się zdarzyć. Pisząc o tym, jak było, historyk powinien zawsze porównywać to z tym, co być mogło i z tym, co być powinno, a to w tym celu, żeby to, co będzie, nie było — jak to zwykle dotąd bywało — przeciwieństwem tego, co być powinno. Historykowi potrzebna jest znajomość medycyny, aby umiał rozpoznać chorobę, która trawi opisywane przez niego państwa i aby umiał wskazać na właściwe lekarstwo, które postawi to państwo na nogi...

— Albo na właściwą truciznę — wtrącił Guillot — która przyspieszy śmierć państwa.

— W szczególności — ciągnął dalej Vanini — potrzebna jest historykowi znajomość chirurgii, bo przy niektórych chorobach państw potrzebne jest ostre żelazo. Potrzebna jest także znajomość filozofii która uczy, że wszystko na tym świecie jest śmiertelne, posiadając swój początek, a następnie dzieciństwo, młodość, dojrzałość, starość i kres. Nie tylko zwierzęta i ludzie starzeją się i umierają, ale również miasta, państwa i religie.

— Czyżbyś zaprzeczał nieśmiertelności?

— Dzieje są procesem, który przemija, natomiast dzieło historyka jest takim obrazem dziejów, w którym to, co warte nieśmiertelnego trwania, zostaje utrwalone i trwa wiecznie. Historyk jest oskarżycielem i sędzią, wydaje wyroki, skazuje na wieczną hańbę i niepamięć, albo przeciwnie, nagradza wieczną chwałą. Będąc historykiem, jesteś panie rozdawcą nieśmiertelności. Gdyby nie było historyków, ludzie zapomnieliby o czynach bohaterów.

— Kto, twoim zdaniem, był największym historykiem?

— Historykiem nieba — Cardano, historykiem natury — Pliniusz, historykiem starożytności — Lukian.

— Ale przecież Lukian nie napisał ani jednego dzieła historycznego.

— To nic. W jednym dialogu Lukiana jest więcej prawdy o dziejach państw starożytnych niż w dziełach wszystkich historyków razem wziętych.

— Jak to udowodnisz?

— Historycy starożytni byli poganami i w swoich dziełach historycznych byli chwalcami fałszywych bogów i fałszywej religii. Natomiast Lukianowi należy się nasza wdzięczność, ponieważ pokazał, że wszystkie te prawa, wierzenia i cuda, na których stały państwa starożytne, były oszustwem kapłanów i tyranów.

— A historycy chrześcijańscy?

— Największym z historyków chrześcijańskich jesteś ty, panie Dupleix.

— Widać, że bywałeś na dworach królewskich i doskonale opanowałeś sztukę przypodchlebiania się. Pochlebiasz mi, jak gdybym był królem. Przedwcześnie jednak nazywasz mnie największym historykiem, bo przecież dotąd jeszcze nie napisałem ani jednego dzieła historycznego.

— Dlatego właśnie jesteś największym, najlepszym, najbardziej czcigodnym spośród wszystkich historyków.

— Jakim sposobem?

— Bo nie napisałeś, panie Dupleix, ani jednego kłamstwa, a tego nie dokonał dotąd żaden historyk.

— A czego, twoim zdaniem, trzeba, żeby być dobrym historykiem?

— Trzeba trzech rzeczy. Po pierwsze, trzeba kochać prawdę. Po drugie, trzeba jej szukać bez wytchnienia. Po trzecie, trzeba umieć rozpalać serca czytelników miłością prawdy. Pokazując jak każda tyrania opiera swoje rządy na oszustwie, historyk wpaja w serca umiłowanie prawdy. Bo bez prawdy nie ma wolności. Opisując wszystkie istniejące państwa historyk powinien przeciwstawiać im państwo, którego jeszcze nie było,

państwo, które nie istnieje, lecz które istnieć powinno — Państwo Prawdy.

— Wśród nauk, których znajomość potrzebna jest historykowi nie wymieniłeś teologii. Czyżbyś zaprzeczał temu, że nad dziejami narodów czuwa Opatrzność Boża?

— Jestem katolikiem, panie Dupleix, i wiem, że Bóg dał człowiekowi wolność. Bóg mógł powstrzymać rękę Kaina, żeby uratować życie Ablowi, ale nie uczynił tego, aby nie pozbawiać Kaina wolności. Płynie z tego nauka, że wolność jest cenniejsza od życia. Niestety, obaj bracia uczynili zły użytek z otrzymanej od Boga wolności. Kain dlatego, że zabił swojego brata, Abel zaś dlatego, że nie bronił się. I tak samo jest, kiedy jakieś potężne państwo podbija słabsze. Opatrzność Boża mogłaby uchronić napadnięty kraj od zguby, ale nigdy tego nie czyni, pozostawiając ludzi samym sobie. Najmądrzej zatem i najpobożniej czynią ci, którzy liczą na własne siły. A Bóg ze szczególnym upodobaniem spogląda na tych, co zamiast wzywać jego pomocy radzą sami sobie i zamiast naprzykrzać się Opatrzności Bożej modłami, błagając ją, aby poświęcała swój cenny czas na zajmowanie się naszymi sprawami, sami biorą swój los we własne ręce i zajmują się organizowaniem opatrzności ludzkiej.

— A cuda? czyżbyś zaprzeczał temu, że zdarzają się cuda?

— Myśl taka jeszcze nigdy nie zawitała do mojej głowy. Wierzę we wszystkie te cuda, w które nakazuje nam wierzyć Kościół święty, Matka Nasza. Ale jako filozof badam i odkrywam naturalne przyczyny cudów.

— Czyżby każdy cud miał jakąś naturalną przyczynę? Przecież cudem nazywamy właśnie to, co dzieje się wbrew naturze i ma charakter nadnaturalny.

— Cuda zachodzące wbrew naturze zaprzeczałyby wszechmocy Bożej. Czymże jest bowiem Natura, jeśli nie Mocą Bożą? Mogąc więc sprawiać każdy cud w sposób naturalny, mocą stworzonej przez siebie Natury, Bóg nie musi czynić cudów poza Naturą. Ci zaś, którzy bredzą o cudach dokonywanych poza

Naturą i wbrew Naturze, faktycznie wywyższają Naturę przeciwstawiając ją Bogu i wyobrażając sobie, że Natura może być nieposłuszna Panu swemu i kiedy Bóg żąda od niej, aby sprawiła cud, może powiedzieć: — Nie uczynię tego.

— Powiedziałeś, że oprócz historii opowiadającej o tym, co było, istnieje historia opowiadająca o tym, co będzie. W jaki sposób jednak możemy odgadnąć, co będzie?

— Ty sam, panie Dupleix, piszesz o tym w swojej pięknej książce *O przyczynach czuwania i snów, marzeń sennych, życia i śmierci,* którą zadedykowałeś w 1606 r. kanclerzowi Francji, panu Mikołajowi Brulartowi, markizowi de Sillery, słusznie dowodząc — na karcie 63 — że „człowiekowi najbardziej zależy na wiedzy o tym, co się stanie w przyszłości".

— Zadziwiasz mnie, doktorze Pompeo. Zaczynam wierzyć temu, co mówią, że czytałeś wszystko, co kiedykolwiek ukazało się drukiem. Powiedz mi więc, skoro czytałeś moją książkę, co spodobało ci się w niej najbardziej?

— Rada, panie Dupleix, którą dajesz — na karcie 145 — tym, którzy pragną mieć miłe i spokojne sny.

— Przypomnij nam tę radę — zawołali obaj lekarze, Guillot i Latournerie.

— To rada pochodząca od świętego Bernarda z Clairvaux: „Kto pragnie mieć przyjemne sny, ten powinien położyć się do łóżka z jakąś piękną..."

— Dziewczyną?!

— Nie. Z jakąś piękną, pobożną książką, zawierającą „święte medytacje".

— Wypróbowałeś to?

— Tak, moi panowie. Od wielu lat zasypiam zawsze z książką w ręku.

— No to powróćmy do tego, o czym mówiliśmy. Czy potrafisz przewidywać przyszłość?

— Staram się to czynić.

— No to powiedz nam, co będzie.

— Mamy dziś czwartek, więc jutro będzie piątek. Kończy

się lipiec, więc po nim z wszelką pewnością nadejdzie sierpień. Mogę cię też zapewnić, panie Dupleix, że kiedyś przyjdzie taki dzień, w którym mnie, Pompea Usiglio, nie będzie wśród żywych, ale słońce mimo to świecić będzie na niebie, ptaki będą świergotać, a drzewa będą rodzić owoce.

— A jak potoczy się dalej historia Europy?

— To również łatwo przewidzieć. Dopóki ludzie nie zmądrzeją, toczyć się będą krwawe wojny i rujnować będą wszystko to, co z takim trudem budowane jest w czasie pokoju.

— Powiedziałeś, że historykowi potrzebna jest znajomość medycyny. Czyżbyś uważał, że państwo francuskie jest chore?

— Tak, panie Dupleix. Chorobą, która trawi Francję, są walki religijne, które od stu lat osłabiają organizm waszego szlachetnego narodu. Chorobliwą narośla na pięknym ciele Francji jest także masa próżniaków, którzy rozkradają skarb państwa i żyją z owoców cudzej pracy.

— A co właściwie chciałeś powiedzieć, mówiąc o podobieństwie dziejów do muzyki?

— To, że historyk powinien pilnie wsłuchiwać się w życie swojego narodu, a to w tym celu, żeby nie zaśmiecać pisanego przez siebie dzieła opowieściami o tym, co dzieje się na powierzchni i nie ma żadnego znaczenia. Dzieło historyka powinno przede wszystkim wydobyć z ukrycia i odtworzyć tę zasadniczą melodię, która czyni z dziejów pewną piękną, logicznie rozwijającą się całość. Historyk powinien pokazać, jak pewne istotne wydarzenia układają się w harmonijnie brzmiące akordy.

— Przyłapałem cię, doktorze Pompeo, na sprzeczności i niekonsekwencji. Mówiłeś o tyranach, opierających rządy na oszustwie i przemocy; mówiłeś o chorobach trawiących państwa, a teraz twierdzisz, że dzieje są piękną muzyką.

— Dodałem jednak, że muzyka ta jest głęboko ukryta, zagłusza ją bowiem hałaśliwa zasłona szumów sprawianych przez to, co nikczemne i nierozumne. Jeżeli więc historyk potrafi wydobyć tę muzykę na wierzch, to w ten sposób ułatwia lu-

dziom pracę nad usunięciem z życia tego wszystkiego, co ją zagłusza.

— A co, twoim zdaniem, tworzy tę piękną muzykę?

— Przede wszystkim praca ludzi uczciwych, uprawiających pola, budujących domy i mosty, praca rzemieślników i żeglarzy, praca matek rodzących i karmiących dzieci, praca nauczycieli zapoznających dzieci ze światem książek, praca uczonych, wydzierających przyrodzie jej tajemnice; praca poetów opromieniających nasze życie tęczowymi blaskami poezji; praca malarzy i rzeźbiarzy, którzy swoimi dziełami starają się dać wieczne życie temu, co piękne; praca historyków utrwalających dla potomności to, co godne pamięci; praca lekarzy łagodzących cierpienia chorych i przywracających im zdrowie...

To są rośliny, które należy troskliwie pielęgnować i ochraniać. A próżniaków, z których nie ma żadnego pożytku i którzy tylko przeszkadzają żyć innym, należy tępić jak oset i pokrzywę.

— Szkoda, doktorze Pompeo, że nie piszesz książek, w których utrwaliłbyś to, co tak pięknie mówisz.

— I ściągnąłbym na siebie gniew próżniaków, którzy nienawidzą prawdy, a broniąc kłamstwa przy pomocy miecza katowskiego i ognia, zmuszają filozofów do milczenia, aby oszustwo, na którym oparte jest panowanie tyranów, nigdy nie zostało odkryte.

Rozdział 31

TULUZA, LIPIEC 1618 R. PORTUGALCZYK FRANCISCO SANCHEZ CZYLI „O TYM, ŻE NIE WIEMY NIC"

„Sprawdź, doktorze, jak bije mój puls, aby zaświadczyć, że umierałem odważniej, niż Bóg".

Giulio Cesare Vanini

Kiedy w Condom zaczęto podejrzewać, że doktor Pompeo Usiglio jest ukrywającym się przed inkwizycją autorem potępionych dialogów o zdumiewających tajemnicach przyrody, Vanini uciekł do Bordeaux, a stamtąd do Tuluzy. Blisko rok przebywał na zamku w Pinsaguel jako nauczyciel filozofii u Jeana Bertiera de Montrave. Nie ujawniając kim jest naprawdę, zachowywał się coraz śmielej i wkrótce doktor Pompeo Usiglio przewyższył zuchwałością swoich poglądów ukrywającego się Vaniniego. Młodzież Tuluzy garnęła się do niego, zasypywała go pytaniami i chciwie słuchała jego słów. Wśród słuchaczy byli jednak i tacy, których gorszyły jego śmiałe myśli. Powtarzali je więc swoim spowiednikom, prosząc o rozgrzeszenie z tego, że słuchali Antychrysta.

Inkwizytor Pierre Girardel dostawał coraz więcej donosów a otworzona przez niego teczka do sprawy doktora Pompea Usiglia szybko pęczniała. Jednakże inkwizytor nie spieszył się.

Pan Bertier był człowiekiem zbyt potężnym, aby warto było narażać się na jego gniew. Posiadając w tych sprawach długoletnie doświadczenie, inkwizytor postanowił czekać, aż nadejdzie odpowiednia chwila.

Spośród profesorów uniwersytetu w Tuluzie, osobą najwybitniejszą był niewątpliwie 67-letni Portugalczyk, profesor medycyny i filozofii, Francisco Sanchez, który przed 37 laty wydał głośną książkę *O tym, że nie wiemy nic,* a teraz pracował nad traktatem *O metodzie zdobywania rzetelnej wiedzy.* Vanini często go odwiedzał i chętnie z nim dyskutował.

Kiedy w czasie dyskusji Vanini powoływał się na Arystotelesa, Sanchez powiedział:

— To prawdziwe nieszczęście, że najpiękniejsze lata młodości straciłeś na studiowanie dzieł Arystotelesa. O ile wspanialszy gmach filozofii potrafiłbyś zbudować, gdybyś nie był uczniem tego filozofa, który jak dyktator sprawuje absolutne rządy nad umysłami.

— Ale przecież ty również studiowałeś jego dzieła.

— To było dawno i trwało krótko, ponieważ już po kilku godzinach czytania ogarniała mnie niestrawność i wszystko zwracałem: wszystkie universalia, praedicamenta, praedicabilia i entelechie. A już największe obrzydzenie budzili we mnie ci, którzy uważali się za wielkich uczonych, bo wprawdzie sami nic nie odkryli, ale za to przy każdej okazji umieli recytować Arystotelesa. Zawsze wolałem mieć do czynienia z tymi, którzy nie przysięgali na słowa żadnego mistrza, rozważając wszystko swoim własnym rozumem. Nie lubię także tych, którzy przemawiają w sposób wyszukany, starając się mówić płynnie i pięknie. To sposób mówienia dworzan, pochlebców, nierządnic i darmozjadów. Dla mnie wystarczająco piękne jest to, co zostało powiedziane zgodnie z prawdą. Niestety, mało jest na świecie ludzi, którzy znają prawdę, a spośród tych, którzy ją znają, rzadko trafia się taki, który by miał odwagę ją wypowiedzieć. Filozofowie, których obowiązkiem jest poszukiwanie i mówienie prawdy, milczą z obawy przed inkwizycją i wła-

dzą państwową, pomni na los Sokratesa, którego za mówienie prawdy skazano na śmierć.

— Filozof, który zna prawdę i milczy, staje się nikczemnym pomocnikiem tyrana...

— Ale za milczenie to jest sowicie wynagradzany i może spokojnie dożyć później starości. Dlatego właśnie im wyraźniej widziałem prawdę, tym głośniej wykrzykiwałem, że nic nie widzę i niczego nie wiem. Dzięki temu pozostawiono mnie w spokoju.

— Ale w ten sposób sprzeniewierzyłeś się misji filozofa.

— Nie sądź mnie tak surowo. Znam bowiem zarówno swoje obowiązki jak i świat, w którym żyjemy. Nie wystarczy kochać prawdę, trzeba umieć walczyć z Królestwem Kłamstwa o takie państwo, które będzie Republiką Prawdy. Skoro więc nie mogę mówić ani pisać prawdy, postanowiłem pisać w taki sposób, żeby czytelnik — prowadzony przeze mnie w labirynt zagadnień filozoficznych — samodzielnie dochodził do prawdy. Powtarzam więc w swoich książkach raz po raz, zwracając się do czytelnika: „Nie żądaj ode mnie szacunku dla autorytetów, gdyż cechuje to raczej ducha niewolniczego i nieuczciwego, a nie takiego, który swobodnie poszukuje prawdy. Pragnę, żebyś z takim samym krytycznym nastawieniem, z jakim ja dla ciebie opracowuję te rzeczy, podszedł z kolei do tego, co ja opracowałem i osądził to swoim własnym rozumem. Nauki, których się udziela, mają bowiem tylko taką moc, jaką otrzymują od tego, który je sobie przyswaja".

Kiedyś naiwnie wyobrażano sobie, że uprawiając filozofię dusza oddziela się od ciała i w świecie czystych myśli toczy się szlachetna walka pomiędzy odmiennymi poglądami, a w walce tej zwyciężają zawsze rozumne argumenty. Tymczasem doświadczenie uczy nas, że jest inaczej. Uprawiając filozofię wchodzimy na pole walki, zajęte przez ludzi z krwi i kości, przez ludzi, którzy nie tylko rozmyślają, ale gromadzą pieniądze, dążą do władzy, umieją posługiwać się nie tylko racjonalnymi argumentami, ale również oszczerstwem, trucizną,

Francisco Sanchez, sztych z XVII-wiecznego wyd. dzieł Sancheza

Znak drukarski Frellonów: Motyl i chwytający go krab (z karty tytułowej Amfiteatru Vaniniego, 1615)

sztyletem i bronią palną. Na pole walki filozoficznej wkraczają też potężne instytucje państwowe i kościelne, które rzadko zainteresowane są w tym, żeby zwyciężyła prawda, a bardzo często opierają się właśnie na oszustwie, którego gotowe są bronić w sposób brutalny i bezwzględny.

W takim świecie nie łatwo być filozofem służącym Prawdzie. Doświadczenie uczy, że wszyscy ci, którzy mówili prawdę, a nie byli dostatecznie uzbrojeni, zawsze przegrywali w walce z potęgą zła i kłamstwa. Kamieniowano ich i łamano kołem, przybijano do krzyża albo palono na stosie. Więc kiedy

nie masz w ręku miecza, a widzisz, że zbliżają się oprawcy, krzycz głośno, że tylko to jedno wiesz, że nic nie wiesz.

Wiem kim jesteś. Czytałem twoje książki i lękam się o ciebie. Nie umiesz milczeć, nie przejdą ci przez gardło słowa, że nic nie wiesz. Ukrywasz się pod zmyślonym imieniem i nazwiskiem, ale wciąż zdradzają cię twoje własne słowa. Nie zdajesz sobie wciąż z tego sprawy, że mówiąc prawdę w Tuluzie, sam na siebie wydajesz wyrok śmierci.

Przeglądając wczoraj twoje książki zauważyłem na karcie tytułowej znak drukarski Frellonów: delikatnego motyla, po którego wyciąga szczypce krab. To zła wróżba — pomyślałem — oby nie spotkał cię los tego motyla. Kraby umiejące tylko pełzać nie przebaczą ci nigdy tego, że umiesz wysoko latać i zduszą cię swoimi szczypcami.

— Powiadasz, że mówiąc prawdę w Tuluzie, wydaję na siebie wyrok śmierci. A gdzie jest taki kraj, w którym wolno mówić prawdę? Byłem już w Rzymie i w Wenecji, w Genewie i w Londynie, w Madrycie i w Salamance, w Brukseli i w Paryżu. Cały ten świat, w którym żyjemy, nie nadaje się do tego, żeby w nim żyć. Udało mi się uciec z Włoch, udało mi się uciec z Londynu, udało mi się uciec z Paryża. Nie wiem, być może nie zdążę uciec w porę z Tuluzy. Ale wiem jedno: jeśli zostanę schwytany, potrafię odważnie umrzeć — śmiercią godną filozofa. I jeżeli będziesz w pobliżu, gdy prowadzić mnie będą na śmierć, poproszę cię o ostatnią przysługę: abyś sprawdził moje tętno i zaświadczył, że nie przyspiesza go lęk.

Rozdział 32

TULUZA, 2 SIERPNIA 1618 R. ARESZTOWANIE

„Są więzienia, w których można przez jedną noc osiwieć..."

Giulio Cesare Vanini

— Przebudź się wreszcie. Co ty tak twardo śpisz? Wstań i wzywaj Boga!

Otworzył oczy. Ujrzał wielu marynarzy, uzbrojonych w noże, topory, bosaki. Szarpali go, wykrzykując dzikie przekleństwa w rozmaitych, nieznanych językach. Był na okręcie pędzonym przez burzę wprost na skały.

— Nie chcę umierać! — wołała Leonora Galigai, wleczona za rozpuszczone włosy przez marynarza w stronę masztu zapalonego piorunem. Ogarnęły ją płomienie, a krzyki jej zostały zagłuszone przez marynarzy:

— Rzuciliśmy losy, aby dowiedzieć się, dlaczego to zło na nas przyszło. I los wskazał na ciebie. Mów zaraz, która ziemia jest twoja i z jakiego jesteś narodu. Jakie jest twoje prawdziwe imię? Przywiążemy cię do masztu, żebyś spłonął jak marszałkowa, albo wrzucimy cię do morza, żeby uspokoiło się i pozostawiło nas w spokoju. Rzucimy cię do morza, aby pożarła cię wielka ryba. Rzucimy cię do morza, aby pożarły cię głodne kraby.

Leonora Galigai, marszałkowa d'Ancre z książki: L'ancienne France, 1887, s. 161

Okręt uderzył o skałę.

— Nie chcę umierać! — krzyczała Leonora, gdy okręt pękał na pół. Leciała prosto w otwartą paszczę wielkiej ryby.

— Ta ryba — wyjaśniał arcybiskup Abbot — to Śmierć. I będziecie w brzuchu tej ryby trzy tysiące lat.

Na desce z rozbitego okrętu wyrzucony został przez fale na brzeg. Było po burzy, zza chmur wyjrzało słońce. Leżał nieruchomo na piasku. Był książką, a właściwie dwiema książkami: *Amfiteatrem* i *Dialogami*. Słońce pieściło jego kartki. Był bezpieczny.

— Tu jesteś bezpieczny — mówił Artur d'Épinay de Saint Luc — tu możesz być sobą. Rzeka Czasu płynie daleko stąd.

Ale piasek zaczął się w około poruszać i z piasku wynurzyły się szczypce kraba. Gromada czarnych krabów przypełzła blisko i wyciągała po niego szczypce. Ale on zerwał się jak motyl z okładki *Amfiteatru* i wzniósł się wysoko w powietrze.

— Chociażbyś wzniósł się jeszcze wyżej i przycupnął między gwiazdami — syczał krab z głową Henryka Sylwiusza, któremu wtórował krab z głową arcybiskupa Abbota — ściągniemy cię stamtąd i rozerwiemy naszymi szczypcami.

— Nie chcę umierać — wołała Leonora rozrywana szczypcami przez kraby, a on wznosił się coraz wyżej i wyżej aż w swojej wędrówce po niebie natrafił na wielki pomarańczowy ogród.

Dziwny to był ogród. Przypominał trochę Taurisano, ale drzewa pomarańczowe nie były zwykłymi drzewami, lecz kobietami w powłóczystych, przejrzystych szatach.

— Jak to dobrze, że powróciłeś — powiedziała ciotka Izabela podając mu dwie wielkie pomarańcze.

— Jak to dobrze, że powróciłeś — powiedziała pani Lukrecja, księżna Taurisano — tu w cieniu pomarańczowych drzew jesteś bezpieczny.

— Jak to dobrze, że powróciłeś — szepnęła pani Brygida Spinola Doria schodząc z portretu Rubensa.

— Jak to dobrze, że powróciłeś — zawołała księżniczka angielska Elżbieta.

— Elżbieta jest jak prawda — powiedział Genocchi — chcemy nagiej prawdy. Pokaż nam swoje pomarańcze, a za nasze wiersze daj nam dziesięć funtów szterlingów.

— Przyniosłem ci sześćset tysięcy sztuk złota — powiedział Aleksander Wielki — możesz teraz prowadzić badania i wydzierać tajemnice przyrodzie.

— Jak to dobrze, że powróciłeś — powiedziała Przyroda, Królowa i Bogini śmiertelnych, będąca najwspanialszym ze wszystkich drzew tego pomarańczowego ogrodu — zerwij sam najpiękniejsze pomarańcze.

— Weź i moje pomarańcze — zawołała Leonora — opiewał je w swoich wierszach kawaler Marino. Zapłaciłam mu po sztuce złota za każdy wiersz. Chodz ze mną, mam cztery miliony sztuk złota i nie chcę jeszcze umierać.

— Chodź ze mną — powiedziała pani de Harsy — uczynię z ciebie wiele pięknych książek i wzlecisz w nieśmiertelność całym rojem barwnych motyli.

Tu ciotka Izabela z Brygidą, tu Przyroda z panią de Harsy, tu Wenus Medycejska wśród worków, z których sypią się złote dukaty, tu pomarańcze, tu książki, tu rój motyli, — i Niebo Nieśmiertelności pełne gwiazd. Pełnia szczęścia tylko kto go tak szarpie, kto krzyczy, czego od niego chcą?

— Przebudź się wreszcie! Co ty tak twardo śpisz? Wstań.

Otworzył oczy. Pokój był pełen uzbrojonych ludzi.

— Doktorze Usiglio, jesteś aresztowany.

Rozdział 33

TULUZA, SOBOTA 9 LUTEGO 1619 R. WYROK

„Chodźmy, chodźmy umrzeć pogodnie, jak przystało filozofowi!"

Giulio Cesare Vanini

Wstać! Trybunał Kryminalny miasta Tuluzy pod przewodnictwem pana Gilles Le Mazuyer, na wniosek oskarżyciela pana Guillaume de Catel uznał i uznaje, że Pompeo Usiglio z Neapolu jest winien zbrodni ateizmu, bluźnierstwa i bezbożności, jak to wynika z całego procesu, a zatem skazał go i skazuje na wydanie w ręce kata, który go weźmie na postronek, rozebranego do koszuli, z kłodą u szyi i z kartonem na plecach, na którym będą napisane następujące słowa: „Ateista i bluźnierca imienia Bożego" i zaprowadzi go przed główne wejście kościoła metropolitalnego świętego Stefana, tam rzuci go na kolana, bosego, z odkrytą głową a w rękach z zapaloną woskową świecą, aby wielkim głosem błagał o przebaczenie Boga, Króla i Trybunał; następnie zaprowadzi go na plac Salin, przywiąże do wystawionego tam słupa, wyrwie mu język, udusi go i spali jego ciało na stosie, a popiół rozrzuci na wiatr; wszystko zaś co wymieniony posiadał zostaje skonfiskowane na pokrycie kosztów procesu.

Obudziła go głęboka cisza.

Cała Tuluza pogrążona była w spokojnym śnie. Nawet strażnicy posnęli.

Wszyscy śpią. Uczniowie. Przyjaciele. Zapomnieli o nim. Nie spieszą mu z pomocą. Został zupełnie sam.

Bóg przed śmiercią też skarżył się, że uczniowie jego posnęli i że został sam na sam z ciszą.

— Nie jesteś sam — usłyszał cichy szept.

Rozejrzał się wkoło.

— Kim jesteś? Nie widzę nikogo.

— Jestem tuż przy tobie. Tak to ja, Tarsjo z Genui. Strażnicy posnęli i udało mi się niepostrzeżenie wejść do twojej celi.

— Byłeś w Genui? Czy masz jakieś wiadomości o pani Brygidzie?

— To ty wciąż jeszcze o tym nie wiesz, że pani Brygida znikła bez śladu?

— Kiedy?

— Tego samego dnia w 1614 roku, kiedy opuściłeś Genuę, udając się przez Niceę do Paryża.

— I nikt nie wie, co się z nią stało?

— A kto ma wiedzieć, jeżeli nawet ty wciąż jeszcze nie wiesz. A przecież już kilka razy zaczynałeś się wszystkiego domyślać.

— Czego i kiedy?

— Czy pamiętasz tę noc, kiedy rozstaliśmy się z kawalerem Marino i po całym dniu drogi znaleźliśmy się w lesie za Niceą? Okazało się, że w lesie tym jest banda rozbójników, którzy napadają na podróżnych, obdzierają ich do naga, okrutnie się nad nimi znęcają i zabierają im cały dobytek. Ukryliśmy się wtedy w jakiejś ziemiance, a kiedy rozbójnicy przechodzili tuż obok nas, wstrzymywaliśmy oddech, żeby nas nie usłyszeli.

— Pamiętam tę noc. Pisałem nawet o niej w moich dia-

logach. Patrzałem wtedy na gwiazdy i zauważyłem, że mają różne barwy.

— Tak. Patrzałeś wówczas na gwiazdy i, jak zwykle, nie zauważałeś mojej obecności. Raz tylko spojrzałeś na moją twarz, ledwie widoczną w świetle gwiazd i wtedy powiedziałeś...

— Pamiętam co powiedziałem. Zauważyłem wówczas, że jesteś podobny do Brygidy.

— A czy pamiętasz, jak umierał astrolog Ruggieri? W ostatnich chwilach swego życia chciał pozostać sam na sam ze swymi ukochanymi gwiazdami. Zbliż się do okna. Spójrz na ten cudny, szafirowy ocean, pełen drogich kamieni, rubinów i diamentów. Posłuchaj tej cudownej ciszy. Nie lękaj się śmierci. Wiesz przecież, że śmierć to właśnie taka szafirowa noc pełna gwiazd i taka wielka cisza. To ty nauczyłeś mnie kiedyś wiersza jakiegoś greckiego poety:

„Gdy przyjdzie ci umierać — — —
śmierć przyjmij z pogodą — — —
ukochani przez Muzy
umierają młodo."

I cóż z tego, że życie twoje było krótkie — jak trzydzieści trzy okamgnienia — kiedy było w nim tyle poezji i muzyki. Wsłuchaj się dobrze w tę ciszę, kiedy żaden obcy szum nie zakłóca już tej melodii, o której mówiłeś u pana Scypiona Dupleix. Teraz twoje życie — to prawdziwe i głęboko ukryte — jest już tylko taką czystą melodią, w której wszystko ze wszystkim splata się w pięknie brzmiące akordy i rymy. Policz sam najważniejsze rymy: czy Taurisano nie rymuje się pięknie z Tuluzą? a jaki piękny rym stanowią kochające się siostry: Beatrycze z Izabelą! Zobacz jak się rymują dwaj twoi przyjaciele karmelici: Argotti z Genocchim, i dwaj Portugalczycy: Acosta z Sanchezem, i dwaj poeci: Marino z Teofilem, i dwaj lekarze: Certain z Prévostem, i dwaj nuncjusze: Bentivoglio

Tarsjo (z obrazu Rubensa)

z Ubaldinim. A czy nie pięknie rymują się studia w Neapolu ze studiami w Padwie? wizyta w Cambridge z wizytą w Oksfordzie? wieczory nad Tamizą z wieczorami nad Sekwaną? dwa wesela i dwa więzienia? Nade wszystko jednak najpiękniej rymują się ze sobą dwa twoje dzieła: *Amfiteatr* i *Dialogi*, dźwięczny akord dwóch gwiazd pierwszej wielkości.

Widzisz? Jest teraz taka sama noc jak wtedy za Niceą. Zbrodniarze — jak wtedy — są blisko, ale nie słyszą nas. To samo niebo, te same gwiazdy i tak samo wstrzymujemy oddech, żeby nic nie zakłóciło tej szafirowej ciszy. I płyniemy tak oboje, przytuleni do siebie, przez bezkres oceanu nieba, migoczącego rubinami i diamentami. A teraz spójrz na mnie. Nie poznajesz? Poczekaj, rozpuszczę włosy...

— Brygida! Po raz drugi spływasz do mnie z obrazu mistrza Rubensa!

— Nareszcie poznałeś mnie. A przecież byłam przez cały czas przy tobie. Wołałeś: — Tarsjo, zamieć pokój! Tarsjo, nalej mi wina! Tarsjo, pościel łóżko! Tarsjo, rozbierz mnie! i nie wiedziałeś, że ten usługujący ci chłopiec to właśnie ja, która rzuciłam męża i pałac, żeby tylko móc być wciąż przy tobie, czuwać nad tobą, podawać ci papier, kałamarz i gęsie pióro. Czy myślisz, że napisałbyś *Amfiteatr* i *Dialogi*, gdyby nie było mnie wciąż przy tobie, gdybyś nie miał przy sobie Muzy, która rzuciła dla ciebie wszystko, była, jest i będzie wciąż przy tobie, chociaż nie zawsze zauważałeś jej istnienie. I teraz też jestem z tobą i nie opuszczę cię, i będę przy tobie, kiedy cię będą prowadzić na śmierć. A teraz weź mnie w ramiona, mocno, na zawsze.

* *
*

— Przebudź się wreszcie! Co ty tak twardo śpisz? Wstań.

Otworzył oczy. Cela była pełna uzbrojonych ludzi, a wśród nich — w czerwonym kapturze — kat.

Śmierć Vaniniego. Malowała Rada Chusid (Leningrad)

Przetarł oczy. A więc to koniec. Trudno.

— No to chodźmy — powiedział — chodźmy umrzeć pogodnie, jak przystało filozofowi.

* *
*

— A teraz na kolana! Proś Boga, Króla i Trybunał o przebaczenie!

— Nie uczynię tego. Nie będę błagał o przebaczenie. Nie ma ani Boga ani diabła, bo gdyby istniał Bóg, to modliłbym się do niego, aby uderzył piorunem w wasz niesprawiedliwy i nikczemny Trybunał. Gdyby istniał diabeł, to również mo-

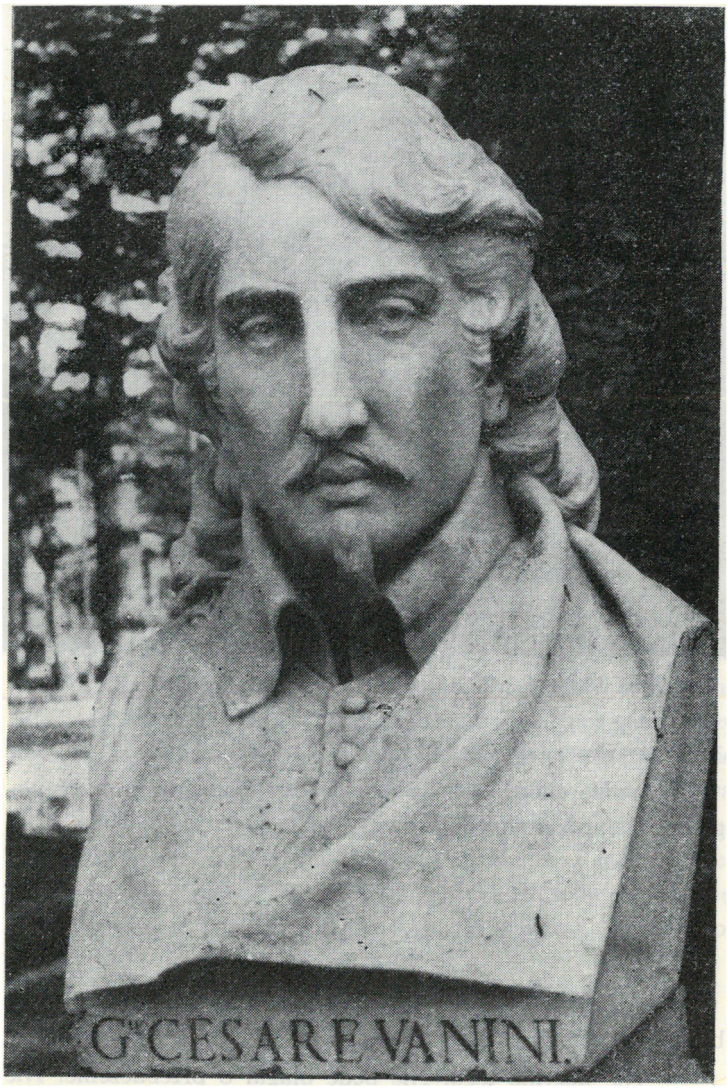

Giulio Cesare Vanini. Popiersie z parku Garibaldiego w Lecce. Wyrzeźbił Eugenio Maccagnani

dliłbym się do niego, aby wasz Trybunał został pochłonięty przez czeluście piekielne. Nie ma jednak ani jednego, ani drugiego, więc nie uczynię tego. Mam tylko jedną prośbę. Tam, wśród zebranego tłumu, widzę lekarza. Pozwólcie mu podejść, żeby zbadał mój puls. Wasz Bóg — przez którego ginę — był człowiekiem, tak jak ja i pocił się z lęku przed śmiercią. Przekonacie się, że potrafię umrzeć odważniej.

Lublin, lipiec 1974 r.

SŁOWNIK BIOGRAFICZNY WAŻNIEJSZYCH SPOŚRÓD WYMIENIONYCH POSTACI

Cała akcja *Ostatniej nocy Vaniniego* dzieje się w ciągu jednej nocy, z piątku 8 lutego na sobotę 9 lutego 1619 r. na kilka godzin przed egzekucją. Miejscem akcji jest świadomość Vaniniego, to co wydobywa się z różnych zakamarków jego pamięci. Niekiedy akcja ta toczy się we śnie lub w półśnie, a więc na obszarach, których nie umiemy jeszcze badać w sposób ścisły, tak aby wyniki tych badań były naukowo sprawdzalne.

Czytelnik, który w toku lektury tej książki zainteresował się postacią Vaniniego, zechce jednak na pewno wiedzieć, jak się to wszystko ma do rzeczywistego przebiegu wydarzeń historycznych, w których Vanini brał mniejszy lub większy udział, a także i przede wszystkim, czy poglądy wypowiadane przez Vaniniego i inne osoby powiązane są z tym, co pisały w swoich listach i książkach. Wychodząc temu życzeniu naprzeciw uzupełniam *Ostatnią noc Vaniniego* niniejszym Słownikiem, zawierającym elementarne dane biograficzne i bibliograficzne.

Zaczynam ten Słownik od Vaniniego. Pozostałe postaci ułożone są w porządku alfabetycznym.

VANINI Giulio Cesare (Iulius Caesar Vaninus), syn Giovanniego Battisty Vaniniego, intendenta księstwa Taurisano w Południowej Apulii i Hiszpanki, Beatryczy Lopez de Noguera. Urodził się około 1585 r. w Taurisano, studiował prawo, filozofię, nauki przyrodnicze, medycynę i teologię w Neapolu i w Padwie. W zakonie karmelitów nosił imię Gabriel. W 1612 r. uciekł z Włoch do Anglii. W 1614 r. po 49 dniach pobytu w angielskim więzieniu uciekł do Flandrii. Od 1615 r. przebywał we Francji. Zachowały się dwie jego książki wydane drukiem:

Amfiteatr wiecznej Opatrzności bosko-magiczny, chrześcijańsko-fizyczny a także astrologiczno-katolicki, przeciwko starożytnym filozofom, ateistom, epikurejczykom, perypatetykom i stoikom, Lyon 1615

(Amphitheatrum aeternae Providentiae divino-magnicum, christiano-physicum nec non astrologo-catholicum. Adversus veteres Philosophos, Atheos, Epicureos, Peripateticos et Stoicos, Lugduni 1615 — dzieło to oznaczać będę w dalszym ciągu tego Słownika skrótem: *Amf,* podając dalej strony wydania z 1615 r.) i *O zdumiewających tajemnicach Przyrody Królowej i Bogini śmiertelnych ksiąg czworo,* Paryż 1616 *(De admirandis Naturae Reginae Deaeque mortalium arcanis libri quatuor,* Lutetiae 1616 — dzieło to oznaczać będę skrótem: *Adm).* 1 października 1616 r. Sorbona potępiła dzieło Vaniniego i Vanini musiał uciekać z Paryża. Ukrywał się pod zmienionym imieniem i nazwiskiem jako Pompeo Usiglio, ale nie potrafił i nie chciał ukrywać swoich poglądów. Aresztowany 2 sierpnia 1618 r. skazany został na śmierć za ateizm. Wyrok został wykonany 9 lutego 1619 r. na placu Salin w Tuluzie. Kilkadziesiąt najważniejszych dokumentów do życia Vaniniego wydał ostatnio Émile Namer: *Documents sur la vie de Jules-César Vanini de Taurisano,* Bari 1965 (pracę tę oznaczać będę dalej skrótem: *Documents).* Filozofię Vaniniego przedstawiam w książce: *Centralne kategorie filozofii Vaniniego,* Warszawa 1970, tamże na s. 18—26 znajduje się zwięzły życiorys, na s. 239—245 — polski przekład tytułów rozdziałów obu jego dzieł, a na s. 246—273 — najważniejsze informacje bibliograficzne. Fragmenty dzieł Vaniniego w języku polskim znajdują się w następujących antologiach: A. Nowicki: *Filozofowie o religii,* t. 2, Warszawa 1963, s. 99—134 i A. Nowicki: *Filozofia włoskiego Odrodzenia,* Warszawa 1967, s. 375—399 (tę ostatnią pracę oznaczać będę w dalszym ciągu skrótem: *FWO).* Zamieszczone w *Ostatniej nocy Vaniniego* epigramy jego przyjaciół tłumaczyła mgr Ewa Wiśniowska, jeden epigram (G. Certaina) przetłumaczyła dr Janina Gajda.

ABBOT George (1562—1633), teolog anglikański, 9 kwietnia 1611 r. został arcybiskupem Canterbury. Z jego licznych prac teologicznych na uwagę zasługuje obszerny komentarz do Księgi Jonasza *(An Exposition on the Prophet Jonah in certain Sermons preached at St. Mary's Church in Oxford,* 1600). W książce *The Reasons which Doctor Hill hath brought for the Upholding of Papistry* (1604) atakował filozofa włoskiego, Giordana Bruna, wspominając o jego pobycie (w latach 1583—1585) w Anglii. Wróg katolików i Hiszpanii wywierał poważny wpływ na politykę króla angielskiego Jakuba I. Doprowadził do małżeństwa księżniczki angielskiej, Elżbiety z księciem Fryderykiem, elektorem Palatynatu (zwanym później „królem zimowym" ze względu na rolę odegraną w Wojnie Trzydziestoletniej). U arcybiskupa Abbota w Lambeth mieszkał Vanini w czasie swego pobytu w An-

glii. Por. *Documents,* s. 33—42, 44—52, 60, 62—68, 70, 72—78, 80. Por. także monografię: P. A. Welsby: *George Abbot, the Unwanted Archbishop* 1562—1633, London 1962.

ACOSTA Gabriel, później Uriel (ok. 1585—1640), filozof portugalski pochodzenia żydowskiego, urodził się w Oporto, w latach 1604—1609 studiował na uniwersytecie w Coimbrze, przed 1614 r. nie chcąc wyznawać katolicyzmu uciekł do Amsterdamu, w 1615 r. spotykamy go w Wenecji, w 1616 r. w Hamburgu, gdzie napisał *Tezy przeciwko tradycji.* Po powrocie do Amsterdamu ok. 1622 r. napisał w języku portugalskim traktat *O śmiertelności duszy ludzkiej.* Prześladowany, wyklinany, upokarzany i biczowany przez rabinów, Acosta napisał jeszcze *Wizerunek własny żywota* i w 1640 r. odebrał sobie życie. W języku polskim: *Wizerunek własny żywota,* wyd. 2, Warszawa 1960 i fragmenty traktatu o śmiertelności duszy w: L. Kołakowski: *Filozofia XVII wieku,* Warszawa 1959, s. 250—261. Nie ma żadnych dowodów na to, że Vanini i Acosta spotkali się.

ALEKSANDER Z HALES (zm. 1245), franciszkanin, profesor uniwersytetu paryskiego. Główne dzieło: *Summa universae theologiae.*

ALEKSANDER WIELKI (356—323 p.n.e.), król Macedonii, podbił Grecję, imperium perskie i Egipt. Vanini wspomina, że ofiarował on 600 tysięcy sztuk złota filozofowi greckiemu Arystotelesowi na badania przyrodnicze. *Adm,* s. 185—186.

d'ANCRE, marszałek — patrz: CONCINI Concino.

d'ANCRE, marszałkowa — patrz: GALIGAI Leonora.

ANNA AUSTRIACZKA (1601—1666), królowa Francji. Była córką króla hiszpańskiego Filipa III, 28 listopada 1615 r. została żoną króla francuskiego Ludwika XIII. Por. *Mémoires de Mme de Motteville sur Anne d'Autriche et sa cour,* Paris 1869, A. Baschet: *Le Roi chez la Reine où Histoire secrète du Mariage de Louis XIII et d'Anne d'Autriche d'après le Journal de la vie privée du Roi, les dépêches du nonce et des ambassadeurs et d'autres pièces d'État,* 2 wyd., Paris 1866, M. Buchanan: *Anne of Austria. The Infanta Queen,* 3 wyd., London 1937.

ANNA DUNKA (1574—1619), córka króla duńskiego, królowa angielska, żona króla Jakuba I, z którym miała 7 dzieci, m.in. Henry-

ka, Karola (późniejszego króla angielskiego) i Elżbietę, wydaną w 1613 r. za Fryderyka V, elektora Palatynatu. Była katoliczką, ale papież twierdził, że nie uczyniła nic dla katolicyzmu w Anglii, a arcybiskup Abbot opowiadał, że na łożu śmierci przyjęła wyznanie anglikańskie. Lubiła przedstawienia teatralne i występowała w nich m.in. jako Murzynka.

ARETINO Pietro (1492—1556), renesansowy humanista uchodzący za najbardziej zuchwałego i najbardziej niemoralnego pisarza XVI wieku. Nazywany „biczem książąt", ponieważ władcy obdarzali go drogimi prezentami, lękając się jego pióra. W czasie rewizji przeprowadzonej w pokoju Vaniniego, z rozkazu arcybiskupa Abbota, znaleziono u niego dzieła Aretina. *Documents,* s. 76.

ARGOTTI Bartolomeo, karmelita włoski z klasztoru św. Bartłomieja w Cremonie, nauczyciel Vaniniego, zmarł 14 stycznia 1615 r. Vanini wspomina o nim w *Adm,* s. 205. Por. Arisi: *Cremona literata,* Cremonae 1741, t. 3, s. 24.

ARYSTOTELES (384—322 p.n.e.), jeden z największych filozofów starożytnej Grecji, wielokrotnie wspominany przez Vaniniego, który uważał się za „ucznia i potomka Arystotelesa". *Adm,* s. 7—8, 11.

ASCANIO, Caetano, ekskapucyn włoski, w latach 1612—1616 był kaznodzieją anglikańskiego Kościoła Włochów w Anglii. W styczniu 1617 r. uciekł z Anglii. Por. *Documents,* s. 75, 81—82, 99—100.

AWERROES, właściwie Ibn Roszd (zm. 1198), sławny filozof arabski, autor komentarzy do Arystotelesa, wielokrotnie wspominany przez Vaniniego w obu dziełach.

BACON, Francis (1561—1626), wielki filozof angielski. W przekładzie polskim: *Novum organum,* Warszawa 1955, *Nowa Atlantyda,* Warszawa 1954, *Eseje,* Warszawa 1959. W październiku 1613 r. został prokuratorem generalnym, a w 1618 r. kanclerzem Anglii. Był obecny w czerwcu 1612 r. w anglikańskim Kościele Włochów, gdy Vanini publicznie zrywał z katolicyzmem. *Documents,* s. 44. Ani w dziełach Vaniniego, ani w dziełach Bacona nie ma nawet wzmianki o tym, że się spotkali.

BACONTHORP (Bacconius) John (zm. 1346), karmelita angielski, autor dzieła *Ordinis Carmelitarum philosophia,* nazwany przez Vaniniego „księciem awerroistów", *Amf.* s. 17. Por. A. Corsano: *Vanini*

e Baconthorp, „Giornale Critico della Filosofia Italiana", 1970, nr 3, s. 336—343.

BASSOMPIERRE, François, markiz d'Harouel (1579—1646) z lotaryńskiej rodziny Betsteinów, faworyt królowej Marii Medyceuszki od 1600 r. W 1604 r. mianowany pułkownikiem, 8 marca 1614 r. — dowódcą pułku Szwajcarów, 14 sierpnia 1615 r. marszałkiem polnym, w 1621 r. ambasadorem w Hiszpanii, 29 sierpnia 1622 r. marszałkiem Francji, w 1625 r. ambasadorem w Szwajcarii, w 1626 r. ambasadorem w Anglii. Z powodu krytyki projektu wyprawy na twierdzę hugenotów La Rochelle, został wtrącony — z rozkazu kardynała Richelieu'go — 25 lutego 1631 r. do Bastylii, uwolniony dopiero 19 stycznia 1643 r. Zmarł 12 października 1646 r. Vaniniego przedstawił Bassompierre'owi jego siostrzeniec Artur d'Épinay de Saint-Luc. Vanini został spowiednikiem Bassompierre'a z pensją 200 talarów rocznie i jemu zadedykował swoje dialogi *De admirandis* w 1616 r. Zachowały się jego pamiętniki. Korzystałem z 2 wyd.: *Journal de ma vie. Mémoires,* Paris 1870. Por. także monografię P. M. Bondois: *Le maréchal de Bassompierre* (1579—1646), Paris 1925.

BELLARMINO Roberto (1542—1621), jezuita, kardynał, czołowy przedstawiciel reakcji katolickiej w okresie kontrreformacji. Wspomniany w *Amf* s. XIII i 77. Za wystąpienie przeciwko Bellarminowi Vanini został ukarany przez generała zakonu karmelitów, Henryka Sylwiusza. Z pism Bellarmina Vanini zapoznał się z teologią anglikańską. *Documents,* s. 33—34.

BENTIVOGLIO Guiro (1577—1644), nuncjusz papieski w Belgii od 1607 r. do połowy lipca 1616 r., został — po odwołaniu Ubaldiniego — nuncjuszem papieskim we Francji. Stanowisko to objął 15 grudnia 1616 r. a 11 stycznia 1621 r. został kardynałem. Do niego przybył Vanini po ucieczce z Anglii. *Documents,* s. 88—89, 94, 97—99. Ceniony jako historyk *(Storia delle guerre civili di Fiandra)* i epistolograf. Korzystałem z wydania: *Raccolta di lettere scritte dal Cardinal Bentivoglio in tempo delle sue nuntiature di Francia e di Fiandra,* Roma 1654.

BERTIER DE MONTRAVE, Jean, arystokrata francuski. W 1618 r. Vanini przebywał u niego na zamku w Pinsaguel jako nauczyciel filozofii pod przybranym imieniem i nazwiskiem (Pompeo Usiglio). Bertier wchodził w skład Trybunału Kryminalnego w Tuluzie, który wydał na Vaniniego wyrok śmierci. *Documents,* s. 113.

BILLY Claude, inkwizytor Tuluzy. Wydał zakaz czytania dzieł Vaniniego. *Documents,* s. 132.

BONAWENTURA, właściwie Jan Fidanza (1221—1274), franciszkanin, filozof chrześcijański, zwolennik augustynizmu, uczeń Aleksandra z Hales, w latach 1248—1257 wykładał w Paryżu, pod koniec życia został biskupem i kardynałem. Obszerną charakterystykę jego poglądów daje J. Legowicz w *Słowniku filozofów,* Warszawa 1966, s. 94—99.

BONAWENTURA, karmelita — patrz: GENOCCHI Giovanni Battista.

BRAHE, Tycho de (1546—1601), sławny astronom duński, wspomniany w *Amf,* s. 67.

BRULART Louis, młody arystokrata francuski, wspomniany w *Adm,* s. 482.

BRULART DE SILLERY, Nicolas (zm. 1624), minister Henryka IV, a później Marii Medyceuszki i Ludwika XIII. Wspomniany przez Vaniniego w *Adm,* s. 489.

BRUNO Giordano z Noli (1548—1600), filozof włoski, który podobnie jak Vanini przebywał we Francji i w Anglii i również za swoje poglądy skazany został na śmierć. W języku polskim są dostępne następujące przekłady jego dzieł: *Pisma filozoficzne,* Warszawa 1956, *O wielorakiej koncentracji* i *Lampa trzydziestu posągów,* w: *Filozofowie o religii,* t. 2, Warszawa 1963, s. 39—98 i fragmenty w *FWO,* s. 63—66, 335—355. O filozofii Bruna por. A. Nowicki: *Centralne kategorie filozofii Giordana Bruna,* Warszawa 1962.

BUCKINGHAM — patrz: VILLIERS George.

CAMPANELLA Tommaso (1568—1639), filozof włoski, wielbiciel filozofii Telesia, autor *Miasta Słońca,* przekład polski, Wrocław 1955. Fragmenty innych dzieł w: *Filozofowie o religii,* t. 1, Warszawa 1960, s. 36—77, t. 2, Warszawa 1963, s. 135—151, *FWO,* s. 66—67, 356—369.

CARDANO Girolamo (1501—1576), filozof włoski szczególnie wysoko ceniony i wielokrotnie cytowany przez Vaniniego w obu dziełach. W języku polskim: *Autobiografia,* Wrocław 1974. Por. także

FWO, s. 52—53, 208—229 i J. Ochman: *Girolamo Cardano o religii*, „Euhemer" 1966, nr 5 (54), s. 15—28, *Pragnienie sławy w twórczości i życiu Cardana*, „Archiwum Historii Filozofii i Myśli Społecznej", t. 15, 1969, s. 47—55, *Człowiek i świat dzieł ludzkich w filozofii Cardana*, „Acta Universitatis Wratislaviensis", nr 120, Prace Filozoficzne nr VI, Wrocław 1970, s. 3—36.

CARLES Vitalis, autor epigramu ku czci Vaniniego, zamieszczonego w Amfiteatrze. Nie udało się natrafić na żaden inny ślad istnienia tej postaci.

CARLETON, Sir Dudley (1573—1632), polityk angielski, mianowany w październiku 1610 r. ambasadorem angielskim w Wenecji, zorganizował w 1612 r. ucieczkę Vaniniego i Genocchiego do Anglii, pisząc w ich sprawie listy do arcybiskupa Abbota i Johna Chamberlaina. Miłośnik malarstwa i rzeźby, miał piękną kolekcję rzeźb starożytnych i utrzymywał stosunki z Rubensem. *Documents*, s. 33—47, 50, 53—62, 66—81. O jego działalności jako ambasadora w Wenecji mówią liczne dokumenty w *Calendar of State Papers and Manuscripts relating to English Affairs existing in the Archives and Collections of Venice and in other Libraries of Northern Italy*, vol. 12 (1610—1613), London 1905, vol. 13 (1613—1615), London 1907 i *Calendar of State Papers, Domestic Series of the Reign of James I*, London 1858. Po odwołaniu z Wenecji był ambasadorem w Holandii i we Francji, a następnie został wicehrabią Dorchester.

CARR Robert, wicehrabia Rochester, earl of Somerset, faworyt króla angielskiego Jakuba I. 26 grudnia 1613 r. ożenił się z Frances Howard, a w 1614 r. skazany został wraz z żoną na śmierć. Wyroku nie wykonano, a w 1622 wypuszczono go z więzienia.

CASTRO, Francisco (1578—1637), syn hrabiego Lemosa, wicekróla Neapolu i Cataliny Sandoval, faworyty króla hiszpańskiego, Filipa III, przybył z Hiszpanii do Neapolu 16 lipca 1599 r. Był namiestnikiem wicekróla Neapolu od 9 marca do 27 kwietnia 1600 r. i od 20 października 1601 do 5 kwietnia 1603 r. Dzięki małżeństwu z Lukrecją Gattinarą został księciem Taurisano. Od 11 listopada 1606 r. do 2 maja 1607 r. był nadzwyczajnym posłem króla hiszpańskiego w Wenecji, mając jako zadanie doprowadzenie do ugody pomiędzy Wenecją a papieżem. W 1609 r. został ambasadorem Hiszpanii w Rzymie, a w latach 1616—1621 był wicekrólem Sycylii. To jemu zadedykował Vanini *Amfiteatr* w 1615 r.

CASTRO DE VILLAQUIRAN, Pedro, „doctor Hispanus" wspomniany przez Vaniniego w *Adm,* s. 72. Poza tą wzmianką nie natrafiliśmy na żaden inny ślad jego istnienia. Warto jednak zauważyć, że wśród dam hiszpańskich, które w 1616 r. przebywały na dworze młodej Anny Austriaczki w Paryżu, znajdowała się — szczególnie znienawidzona przez Ludwika XIII — księżniczka de Villaquiran.

CATEL Guillaume (1560—1626), historyk średniowiecznej Tuluzy, oskarżyciel w procesie Vaniniego. *Documents,* s. 113—114, 116, 118.

CAVALLO Annibale, sąsiad, któremu Vanini sprzedał dom w Ugento (miejscowość w pobliżu Taurisano). *Documents,* s. 16—17.

CERTAIN Grégoire, lekarz paryski, przyjaciel Vaniniego, autor epigramu zamieszczonego w *De admirandis.* O jego badaniach przyrodniczych wspomina T. Spizelius: *Consideratio corporis gloriosi,* Norimbergae 1662, s. nlb 13.

CHAMBERLAIN John (1554—1627), polityk angielski, przyjaciel ambasadora Carletona, opiekował się Vaninim w czasie jego pobytu w Anglii. *Documents,* s. 38—39, 42—44, 46—47, 52—53, 55, 61, 68—69, 79, 81.

CHEMNITZ Martin (1522—1586), teolog luterański, autor dzieła *Examen Concilii Tridentini,* przeciwko któremu Vanini napisał *Apologię Soboru Trydenckiego (Apologia pro Sacrosancto Oecumenico Concilio Tridentino libri XVIII contra Chemnitzium). Amf,* s. 109, *Documents,* s. 89.

CLÉMENT Jacques, fanatyk katolicki, który w 1589 r. zabił króla francuskiego, Henryka III Walezego.

CONCINI Concino, marszałek d'Ancre, faworyt królowej Marii Medyceuszki, zabity 24 kwietnia 1617 r. przez kapitana Vitry z rozkazu króla Ludwika XIII. Z Leonorą Galigai miał dwoje dzieci: córkę Marię, która zmarła 2 stycznia 1617 r. i syna Henryka (1603—1631), który przebywał w latach 1617—1622 w więzieniu, a resztę życia spędził jako hrabia de Pena we Florencji. Majątek jego obliczano na trzy do czterech milionów talarów. W latach 1610—1617 Concini wywierał poważny wpływ na politykę francuską, zwłaszcza na obsadę najwyższych stanowisk państwowych i na politykę zagraniczną. „Jego czło-

wiekiem" był m.in. biskup Luçon, znany później jako kardynał Richelieu. Conciniego oskarżano, że to on doradził królowej, aby wtrąciła w 1616 r. księcia Kondeusza do Bastylii.

CONDÉ — patrz: KONDEUSZ.

CORRADIN Edmund, gwardian klasztoru franciszkanów w Paryżu, cenzor kościelny, udzielił 20 maja 1616 r. zezwolenia na druk dialogów Vaniniego.

CRAMAIL, Adrien de Montluc, hrabia de Caramain-Cramail, książę de Chabannais et Montesquiou (1568—1646), autor libertyńskich utworów, przyjaciel Bassompierre'a, w 1630 r. zadedykował mu jedną ze swoich książek. W latach 1630—1642 przebywał wraz z Bassompierrem — z rozkazu kardynała Richelieu'go — w więzieniu w Bastylii. François de Rosset pisał, że hrabia Cramail cenił wysoko wiedzę Vaniniego i publicznie go chwalił.

CREMONINI Cesare (1550—1631), filozof włoski, wykładał filozofię w Padwie m.in. w tych latach, kiedy przebywał tam Vanini. Por. FWO, s. 67—68, 370—374, L. Mabilleau: *Étude historique sur la philosophie de la Renaissance en Italie* (monografia o Cremoninim), Paris 1881, M. A. Del Torre: *Studi su C. Cremonini,* Padova 1968, T. Błocian: *Filozofia przyrody Cesare Cremoniniego,* „Archiwum Historii Filozofii i Myśli Społecznej", t. 15, 1969, s. 125—143, *Problem człowieka w filozofii Cremoniniego,* „Acta Universitatis Wratislaviensis", nr 172, Prace Filozoficzne nr X, Wrocław 1972, s. 3—23, *Walka Cremoniniego z jezuitami,* „Euhemer", 1967, nr 4—5 (59—60), s. 41—46.

CYCERON, Marek Tulliusz (106—43 p.n.e.), filozof rzymski, autor dzieła *O naturze bogów* (przekład polski, Warszawa 1960), zawierającego wiele informacji o starożytnych ateistach oraz wolnomyślnego traktatu *O wróżbiarstwie* (przekład polski w: Pisma filozoficzne, t. 1, Warszawa 1960). Vanini uważa, że Cycerona „należy wciągnąć do rejestru ateistów" (*Amf,* s. 125), omawiając obszernie jego poglądy w *Amf,* s. 72—136, 140—143 i wspominając o nim w *Adm,* s. 70, 327—328, 340, 400, 413—414, 418—419, 493—494.

DIAGORAS z Melos, zwany Ateistą (V w. p.n.e.), poeta i filozof starożytny. Vanini obszernie przedstawia jego poglądy w *Amf,* s. 78—89. Por. Charakterystyczny tytuł rozdziału IX — *Diagorae Athei sententiam explicat.*

DIODOR z Sycylii, historyk starożytny z I w. p.n.e., uważany przez Vaniniego za ateistę. Por. *Amf,* s. 84, *Adm,* s. 41, 232—233, 428.

DONNE John (1571—1631), poeta angielski, autor wiersza pt. *An Epithalamion or Mariage Song on the Lady Elizabeth and Count Palatine being married on St. Valentine's Day* (przedruk w: *Poetry and Prose,* Oxford 1960, s. 37—40) napisanego z okazji wesela księżniczki angielskiej Elżbiety i Fryderyka V.

DORIA Giacomo, matematyk, uczeń Vaniniego w Genui, wspomniany przez niego w *Adm,* s. 172.

DUPLEIX Scipion (1569—1661), historyk francuski, autor dzieła *Histoire de Louis le Iuste XIII du nom,* Paris 1635, w którym podaje wiadomość, że Vanini był u niego na obiedzie w Condom. Por. także jego książkę *Les causes de la veille et du-sommeil, des songes et de la vie et de la mort,* Paris 1606.

ELŻBIETA Stuart (1596—1662), córka króla angielskiego Jakuba I i Anny, księżniczki duńskiej. 14 lutego 1613 r. wyszła za księcia Fryderyka V, elektora Palatynatu i w ciągu jednej zimy 1619—1620 była królową czeską. Miała 12 dzieci.

EMPEDOKLES z Agrygentu (ok. 490—430 p.n.e.), filozof grecki często wspominany przez Vaniniego. *Amf,* s. 8, 243, 276, *Adm,* s. 59, 207—209, 362—364. Por. A. Nowicki: *Vanini i paradoks Empedoklesa,* „Euhemer", 1970, nr 1 (75), s. 103—112.

EPIKUR (ok. 341—270 p.n.e), najwybitniejszy przedstawiciel greckiego materializmu filozoficznego. Vanini omawia jego poglądy w *Amf,* s. 124—125, 149—197, *Adm,* s. 328—329, 353, 366.

d'ÉPINAY DE SAINT-LUC Artur, opat cystersów w Redon, siostrzeniec Bassompierre'a, uczeń i przyjaciel Vaniniego, który wspomina w liście dedykacyjnym do *De admirandis,* że to Artur przedstawił go Bassompierre'owi. 28 stycznia 1618 r. został biskupem Marsylii, zmarł we wrześniu 1621 r.

FICINO Marsilio (1433—1499), przywódca Akademii Platońskiej we Florencji, wspomniany w *Adm,* s. 241, 431. Por. A. Kuczyńska: *Filozofia i teoria piękna Marsilia Ficina,* Warszawa 1970.

FILIP III (1578—1621), król Hiszpanii i Neapolu od 1598 r. Vanini wspomina o nim w liście dedykacyjnym do *Amfiteatru.*

FOSCARINI Antonio, w 1611 r. został ambasadorem Wenecji w Londynie. Jego opis wesela księżniczki Elżbiety i Fryderyka V znajduje się w *Calendar of State Papers,* vol. XII, London 1905, s. 498—500, tamże wiele dokumentów ilustrujących jego działalność jako ambasadora. Kiedy dowiedział się, że Vaniniemu pomagał w ucieczce z Anglii Moravi, zmusił go do złożenia wyjaśnień Abbotowi, aby w ten sposób oczyścić siebie od podejrzeń o współdziałanie. Moravi złożył na niego skargę i Foscarini został za to surowo ukarany przez władze Wenecji. Por. F. De Paola: *Nuovi documenti vaniniani,* „Bollettino di Storia della Filosofia dell'Università degli Studi di Lecce", vol. 1 (1973), Lecce 1974, s. 353—397.

FRELLON Jean, ojciec pani De Harsy, która opublikowała *Amfiteatr* Vaniniego, jeden z najsławniejszych drukarzy lyońskich XVI w. Jego znak drukarski (krab chwytający motyla) zdobi kartę tytułową *Amfiteatru* Vaniniego.

FRYDERYK V (1596—1632), elektor Palatynatu. 14 lutego 1613 r. poślubił księżniczkę Elżbietę, córkę króla angielskiego Jakuba I, w 1619 r. został wybrany królem czeskim, ale po klęsce pod Białą Górą w 1620 r. musiał uciekać z Czech i dlatego został nazwany „królem zimowym".

GALILEUSZ (Galileo Galilei, 1564—1642), najwybitniejszy z uczonych włoskich, fizyk i astronom. W przekładzie polskim: *Dialog o dwu najważniejszych układach świata Ptolemeuszowym i Kopernikowym,* Warszawa 1953, 2 wyd. 1962. Por. także *FWO,* s. 69—70, 400—406.

GASTON Jean Baptiste de France (1608—1660), książę d'Anjou, następnie książę Orleanu, syn Henryka IV i Marii Medyceuszki, młodszy brat króla Ludwika XIII.

GATTINARA Lignana Lukrecja (zm. 1624), córka Aleksandra Gattinary i Wiktorii Caracciolo, księżna Taurisano, żona hiszpańskiego arystokraty Francisca de Castro, wspomniana w liście dedykacyjnym do *Amfiteatru.*

GENOCCHI Giovanni Battista Maria z Chiavari pod Genuą, karmelita (brat Bonawentura), przyjaciel Vaniniego, wspomniany w *Amf,* s. 304 i *Adm,* s. 160, 201. Razem z Vaninim uciekł z Włoch do Anglii, a następnie z Anglii do Flandrii. *Documents,* s. 33—49, 52—55, 59—

80, 88—89, 94—99. Pod pseudonimem Johannes Maria de Ffranchis wydał poemat pt. *De auspicatissimis nuptiis illustrissimi principis D. Friderici sacri Romani Imperii Archidapiferi et Electoris et Comitis Palatini ad Rhenum Ducis Bavariae etc cum illustrissima Principe D. Elizabetha serenissimi Magnae Britanniae etc Regis Filia unigenita Poema,* 1613. Samuel Hutton przełożył ten poemat na angielski. Wiadomość o tym poemacie podał R. C. Christie: *Vanini in England,* „The English Historical Review", vol. X, nr 38, Londyn, kwiecień 1895, s. 238—265.

GIOVIO Paolo (1483—1552), biskup Como, renesansowy humanista, historyk, twórca pierwszej renesansowej galerii obrazów sławnych twórców kultury. Por. *Elogia veris clarorum virorum imaginibus apposita quae in Musaeo Ioviano Comi spectantur,* Venetiis 1546, tamże *Musaei Ioviani descriptio.*

GIRARDEL Pierre (zm. 1633), był w 1619 r. inkwizytorem Tuluzy, zajmował się konfiskowaniem książek zakazanych. *Documents,* s. 119—122.

GONDOMAR — patrz: SARMIENTO.

GONTIER Jean, lekarz królowej, autor epigramu ku czci Vaniniego, zamieszczonego w *Amfiteatrze.*

GUARINI Giambattista (1538—1612), poeta włoski. Vanini cytuje jego wiersz w *Adm,* s. 4.

GUILLOT, lekarz podejmowany w 1617 r. przez Scypiona Dupleix obiadem w Condom. Nazwisko jego podał E. Passamonti: *Giulio Cesare Vanini. La vita e gli scritti,* „Rivista Italiana di Filosofia", Roma 1893, s. 137—191.

de HARSY, córka drukarza Jeana Frellona, wdowa po drukarzu Antonim de Harsy, wydrukowała *Amfiteatr* Vaniniego w Lyonie w 1615 r.

HENRYK III Walezy (1551—1589), król polski (1573—1574) i francuski (1574—1589), zabity przez J. Clémenta.

HENRYK IV (1553—1610), król francuski od 1589 r., założyciel dynastii Burbonów, ojciec króla Ludwika XIII, wspomniany przez Vaniniego w liście dedykacyjnym do *De admirandis.*

HENRYK STUART (ur. 19 lutego 1594, zmarł 6 listopada 1612 r.), książę Walii, syn króla angielskiego Jakuba I.

HENRYKA MARIA (1609—1669), córka Henryka IV i Marii Medyceuszki, żona króla angielskiego, Karola I.

HÉROARD Jean, seigneur de Vaugrigneuse, lekarz Henryka IV i Ludwika XIII, autor interesującej kroniki: *Journal de Jean Héroard sur l'enfance et la jeunesse de Louis XIII (1601—1628),* Paris 1868, 2 tomy.

HIPOKRATES (ok. 460—377 p.n.e.), najsławniejszy spośród lekarzy starożytnych, nazywany „ojcem medycyny", wspomniany przeszło 40 razy przez Vaniniego w obu dziełach.

HORACY (65—8 p.n.e.), wybitny poeta rzymski, wspomniany przez Vaniniego w *Amf,* s. 109 i *Adm,* s. XI, 329, 340, 344, 408.

HOWARD Frances (ur. 1593), córka Thomasa, hr. Suffolka, po rozwodzie z lordem Essexem (za którego została wydana, gdy miała 13 lat), 26 grudnia 1613 r. wyszła za Roberta Carra, wicehrabiego Rochester, faworyta króla Jakuba I. W 1614 r. skazana została wraz z mężem na śmierć, ale wyroku nie wykonano i po 8 latach więzienia wyszła na wolność.

HOWARDOWIE — magnaci angielscy, za czasów Jakuba I przywódcy partii prohiszpańskiej w Anglii: HOWARD Charles, earl of Nottingham. HOWARD Henry, earl of Northampton, HOWARD Thomas, earl of Arundel i HOWARD Thomas, earl of Suffolk.

IMPERATO Ferrante, przyrodnik neapolitański, założyciel Muzeum Przyrodniczego, o którym wspomina Vanini w Adm, s. 205. Por. *Dell' Historia Naturale di Ferrante Imperato Napolitano libri XXVIII nella quale ordinatamente si tratta della diversa condition di miniere, e pietre con alcune historie di piante et animali, fin' hora non date in luce,* Napoli 1599 (tamże sztych przedstawiający muzeum). Por. także A. Corsano: *Il Vanini e la biologia del suo tempo,* „La Zagaglia", nr 14, Lecce 1962, s. 1—9.

IZABELA, ukochana Vaniniego, wspomniana w *Adm,* s. 298.

JAKUB i Stuart (1566—1625), syn lorda Darnleya i Marii Stuart, koronowany na króla Szkocji, kiedy miał zaledwie 13 miesięcy

(1567), w 1589 r. poślubił księżniczkę Annę, córkę króla Danii, z którą miał siedmioro dzieci m.in. Henryka, który zmarł w 1612 r., Karola (późniejszego króla) i Elżbietę, wydaną za księcia Fryderyka V, elektora Palatynatu. Po śmierci królowej Elżbiety I, 24 marca 1603 r. został królem Anglii. Z zamiłowania był teologiem i wydał wiele traktatów m.in. o czarach i o boskości władzy królewskiej. Por. monografie: William McElwee: *The wisest Fool in Christendom. The Reign of King James I and VI,* London 1958, D. H. Willson: *King James VI and I,* London 1956 i dokumenty w *Calendar of State Papers. Domestic Series of the Reign of James I (1611—1618),* London 1858. Na życzenie króla Jakuba Vanini zamieszkał w pałacu arcybiskupa Abbota. *Documents,* s. 42—43, 66.

KALWIN Jan (1509—1564), francuski reformator religijny, wspomniany w *Amf,* s. 58, 104—105.

KAROL I STUART (1600—1649), po śmierci ojca, Jakuba I. został królem angielskim (1625—1649). Swoim absolutyzmem przyczynił się do wybuchu rewolucji angielskieej, uwięziony i ścięty.

KAROL EMANUEL I (1562—1630), książę sabaudzki od 1580 r., wspomniany przez Vaniniego w *Adm,* s. 376.

KATARZYNA MEDYCEUSZKA (1519—1589), królowa francuska, żona Henryka II, matka Karola IX i Henryka III, inspiratorka Nocy św. Bartłomieja (z 23 na 24 sierpnia 1572 r., w czasie której wymordowano wiele tysięcy hugenotów).

KONDEUSZ — Henri II de Bourbon, prince de Condé (1588—1646), w latach 1612—1617 przywódca opozycji przeciwko polityce Marii Medyceuszki, 1 września 1616 r. wtrącony z jej rozkazu do Bastylii, uwolniony 20 października 1619 r. Por. Duc d'Aumale: *Histoire des princes de Condé pendant les XVIe et XVIIe siècles,* 3 tomy, Paris 1886.

KRYSTYNA (1607—1663), córka Henryka IV i Marii Medyceuszki. Mając 12 lat, 10 lutego 1619 r. została żoną księcia Piemontu, Wiktora Amedeusza I di Savoia.

LAKE Thomas, angielski sekretarz stanu, z polecenia króla Jakuba I przeprowadzał dochodzenie w sprawie Vaniniego. *Documents,* s. 49, 66—67, 71—72. Jeden z przywódców partii antyhiszpańskiej.

LATOURNERIE, lekarz, podejmowany w lecie 1617 r. przez Scypiona Dupleix obiadem w Condom. Nazwisko jego podał E. Passamonti (patrz hasło: Guillot).

LAURA, ukochana Vaniniego, wspomniana w *Adm,* s. 159.

LEGATE Bartholomew, arianin, spalony na stosie w Smithfield, w marcu 1612 r. *Calendar of State Papers. Domestic Series of the Reign of James I,* London 1858, s. 121—124.

LE MAZUYER Gilles, przewodniczący Trybunału Kryminalnego w Tuluzie, który 9 lutego 1619 r. wydał wyrok śmierci na Vaniniego. *Documents,* s. 113—114, 118.

LEON X (Giovanni Medici, 1475—1521), papież od 1513 r., wspomniany przez Vaniniego w *Amf,* s. 199.

LE PETIT Claude, franciszkanin, doktor teologii, udzielił 20 maja 1616 r. zezwolenia na druk dialogów Vaniniego.

LERMA — Francisco de Sandoval y Royas, markiz Denia, książę Lerma (ok. 1560—1625), faworyt króla Filipa III, faktycznie rządził Hiszpanią od 1598 r. do dnia 4 października 1618 r., kiedy został usunięty.

LE VOYER D'ESCOMAN Giacomina, w styczniu 1611 r. oskarżyła grupę arystokratów o spisek na życie Henryka IV. Por. G. Datta de Albertis: *Maria de' Medici,* Milano 1938, s. 175 do 177.

LOPEZ DE NOGUERA, Izabela, ciotka Vaniniego, wymieniona w *Amf,* s. 259.

LUDWIK XIII (1601—1643), król francuski, syn Henryka IV i Marii Medyceuszki, wspomniany przez Vaniniego w *Adm,* s. 441. Z ogromnej literatury na jego temat wykorzystałem: A. Bazin: *Histoire de France sous Louis XIII,* Paris 1846, N. Aymès: *La France de Louis XIII,* Paris 1909, Ch. Romain: *Louis XIII, un grand roi méconnu,* Paris 1934, L. Vaunois: *Vie de Louis XIII,* Paris 1936, J. d'Elbée: *Le mystère de Louis XIII,* Lyon 1943.

LUKIAN z Samosat (ok. 125—190), Syryjczyk znad Eufratu, starożytny krytyk religii i kapłanów, ceniony wysoko przez Vaniniego,

który o nim wspomina w *Adm*, s. 139, 367, 370, 378, 392, 453. W języku polskim: *Wybrane pisma*, Kraków 1906, *Dialogi wybrane*, Wrocław 1949, *Pisma wybrane*, Warszawa 1957, *Dialogi*, 3 tomy, Wrocław 1960—1966.

LUKRECJUSZ, Titus Lucretius Carus (ok. 95—50 p.n.e.), autor poematu *De rerum natura*, nazywanego „ewangelią wojującego ateizmu". Poemat ten jest dostępny w dwóch przekładach polskich: *O naturze wszechrzeczy*, Warszawa 1957 i *O rzeczywistości*, Wrocław 1958. O Lukrecjuszu pisze Vanini w *Amf*, s. 276 i *Adm*, s. 366.

LUTER Marcin (1483—1546), niemiecki reformator religijny, wspomniany przez Vaniniego w *Amf*, s. 57, 66, 70, 254. Vanini oglądał jego portret w Strasburgu.

LUYNES, Charles d'Albert, duc de (1578—1621), faworyt Ludwika XIII, wywierał wielki wpływ na politykę francuską w latach 1617—1621, 25 stycznia 1619 r. użył siły, aby zaciągnąć króla Ludwika XIII do sypialni Anny Austriaczki.

MACHIAVELLI Nicolò (1467—1527), historyk i myśliciel polityczny, autor *Księcia* i *Rozważań nad pierwszymi dziesięcioma księgami Tytusa Liwiusza*, nazywany przez Vaniniego „księciem ateistów". Vanini omawia jego poglądy w *Amf*, s. XIII, 35, 50, 153 i *Adm*, s. 360, 368, 442. Por. *FWO*, s. 42—44, 157—160. Podczas rewizji przeprowadzonej u Vaniniego z rozkazu arcybiskupa Abbota znaleziono u niego dzieła Machiavellego. *Documents*, s. 76.

MACIEJ (1556—1619), cesarz od 1612 r., zmarł 20 marca 1619 r.

MAHOMET (ok. 570—632), twórca islamu, uważany przez Vaniniego za oszusta. *Amf*, s. 58, 61, *Adm*, s. 200, 442.

MARIA KATOLICZKA zwana Krwawą (1516—1558), królowa angielska od 1553 r., córka Henryka VIII i Katarzyny Aragońskiej, usiłowała przywrócić w Anglii katolicyzm. W 1554 poślubiła króla hiszpańskiego, Filipa II. Za jej rządów były okrutne prześladowania protestantów w Anglii. Vanini wspomina o tym w *Adm*, s. 357.

MARIA MEDYCEUSZKA (1573—1642), Włoszka z Florencji, królowa francuska, żona Henryka IV, matka Ludwika XIII, w latach 1610—1617 rządziła Francją jako regentka. Z obfitej literatury na jej

temat wykorzystałem m.in.: M. Capefigue: *Marie de Médicis,* Paris 1861, B. Zeller: *Henri IV et Marie de Médicis,* Paris 1877, L. Battifol: *La vie intime d'une reine de France au XVIIe siècle,* Paris 1906, G. Datta de Albertis: *Maria de' Medici (1573—1642),* Milano 1938, S. Mastellone: *La reggenza di Maria de' Medici,* Messina 1962.

MARIA STUART (1542—1587), królowa Szkocji (1542—1567) i Francji (1559—1560), matka króla angielskiego, Jakuba I. Z rozkazu królowej angielskiej Elżbiety I więziona i ścięta.

MARINO Giambattista (1569—1625), poeta włoski, przedstawiciel baroku, dedykował swoje utwory m.in. księciu Taurisano, księciu Karolowi Emanuelowi, królowej Marii Medyceuszce. Vanini nazywa go swoim przyjacielem (*Adm,* s. 264) i przytacza fragment rozmowy. O związkach pomiędzy Marinem a Vaninim pisał m.in. A. Borzeli: *Gli epitalami del Cavalier Marino,* Napoli 1924 i *Storia della vita e delle opere di Giovan Battista Marino,* Napoli 1927. Por. także J. Sokołowska: *Spory o barok,* Warszawa 1971, o Marinie m.in. s. 254—293 i J. Lewański: *Polskie przekłady Jana Baptysty Marina,* Wrocław 1974.

MECENAS (zm. w 8 r. p.n.e.), polityk rzymski, przyjaciel i doradca Oktawiana Augusta, opiekun pisarzy i poetów, wspomniany przez Vaniniego w *Adm,* s. 185—186.

MEDYCEUSZ Giovanni — patrz: LEON X, papież.

MEMMO Marcantonio, doża wenecki w latach 1612—1615.

MEURISSE Martin (zm. 1644), franciszkanin, bakałarz a później doktor i profesor teologii, autor wielu dzieł m.in. *Rerum metaphysicarum libri tres ad mentem Doctoris Subtilis,* Parisiis 1623. Na karcie tytułowej tej książki, zadedykowanej Henrykowi de Bourbon, biskupowi Metzu, znajdują się wizerunki czterech teologów: Dunsa Szkota, Bonawentury, Ockhama i Aleksandra z Hales. Później został sufraganem biskupa Metzu. Wiadomość o tym, że to jemu cenzor kościelny zlecił przeczytanie dialogów Vaniniego podał Ph. L. Joly: *Remarques critiques sur le Dictionnaire de Bayle,* Paris 1752, s. 797.

MICHAŁ ANIOŁ BUONARROTI (1475—1564), wielki malarz i rzeźbiarz, twórca wspaniałej Kaplicy Medyceuszy we Florencji.

MOJŻESZ, legendarny autor Pięcioksięgu, uważany przez Vaniniego za oszusta. Por. *Adm,* s. 360—361. Por. A. Nowicki: *Uczeń czarnoksiężników egipskich,* „Euhemer" 1969, nr 4 (74), s. 31—39.

MONTMORENCY Charlotte Marguerite de (1593—1650), słynna piękność francuska, w której zakochał się król Henryk IV. Kochał się w niej również Bassompierre. W 1609 r. została wydana za księcia Henryka Kondeusza. O jej piękności wspomina m.in. nuncjusz Guido Bentivoglio w liście z Brukseli z dnia 3 grudnia 1611 r.

MORAVI Girolamo (Geronimo), kapelan ambasadora weneckiego, Antonia Foscariniego w Londynie. Vanini nazywa go swoim spowiednikiem (*Adm,* s. 217). O jego kontaktach z Vaninim wspomina także arcybiskup Abbot w liście do ambasadora Carletona (*Documents,* s. 77). Z polecenia inkwizytorów weneckich wypytywano go w lecie 1615 r. o Foscariniego, któremu później wytoczono w Wenecji proces zakończony wydaniem wyroku śmierci. Por. *Calendar of State Papers and Manuscripts relating to English Affairs, existing in the Archives of Venice,* vol. XIII, London 1907, s. 483, 514. Por. także F. De Paola: *Nuovi documenti vaniniani,* cyt. wyd., s. 357, 381—382, 384—386, 391—392, 395—396.

MORUS (More) Tomasz (1478—1595), humanista angielski, kanclerz Anglii w latach 1529—1532, ścięty z rozkazu króla Henryka VIII, autor *Utopii* (1516, przekład polski, Warszawa 1954), wspomniany w *Adm,* s. 409. Por. A. Nowicki: *Wykłady z historii filozofii i myśli społecznej Odrodzenia,* Warszawa 1956, s. 28—33.

OCKHAM William (ok. 1300—1350), filozof angielski, krytyk świeckiej władzy papieży, przedstawiciel nominalizmu. Jego zasada, że „nie należy mnożyć bytów ponad potrzebę" nazywana jest „brzytwą Ockhama".

OWIDIUSZ (43 p.n.e. — ok. 17 n.e.), wybitny poeta rzymski, wymieniony w *Amf,* s. 14 i *Adm,* s. 100, 340, 394, 451, 478, 495.

PANAT, David de Castelpers-Levis, baron de Panat, hugenota, zabity przez męża swojej siostry w pojedynku, 10 lipca 1616 r. G. Tallémant des Réaux nazywa go „uczniem Vaniniego".

PAWEŁ V, Camillo Borghese (1552—1621), od 1605 r. papież. W 1613 r. wyraził zgodę na powrót Vaniniego na łono katolicyzmu.

Documents, s. 94—96. Wspomniany przez Vaniniego w *Amf,* s. 334 i *Adm,* s. 495.

PÉRIER Adrian, hugenota, w 1596 r. ożenił się z Magdaleną, córką sławnego drukarza Krzysztofa Plantina z Antwerpii i po jej śmierci (w 1599 r.) został właścicielem drukarni w Paryżu, gdzie w 1616 r. wydrukował dialogi Vaniniego. W dialogach tych znajduje się List drukarza, Adriana Périera do czytelnika.

PICART, szewc paryski, który na czele murarzy dokonał 1 września 1616 r. napadu na pałac marszałka d'Ancre i jego sekretarza Corbinellego.

PITAGORAS z Samos (ok. 570—497 p.n.e.), filozof starożytny, głosił m.in. wędrówkę dusz.

PLANTIN Christophe (1520—1589), jeden z najsławniejszych drukarzy antwerpskich. Jego znak drukarski (cyrkiel i słowa „Pracą i wytrwałością") zdobi kartę tytułową dialogów Vaniniego. Jego córkę, Madeleine, poślubił Égide Beys (zm. w 1595 r.), a po jego śmierci, hugenota Adrian Périer, wydawca dzieła Vaniniego.

PLATON (ok. 427—347 p.n.e.), filozof grecki, najwybitniejszy przedstawiciel starożytnego idealizmu. Vanini wyśmiewa jego „idee" (*Adm,* s. 9) i wspomina o tym, że Platon doradzał wypędzenie z państwa poetów (*Adm,* s. 395).

PLINIUSZ Starszy (23—79), przyrodnik starożytny, autor *Historii naturalnej,* wspominany ok. 30 razy przez Vaniniego.

POLIZIANO, Angelo Ambrogini z Montepulciano (1454—1494), poeta włoski, wykładał we Florencji łacinę i grecki.

POMPONACJUSZ (Pomponazzi) Pietro (1462—1524), filozof włoski, szczególnie wysoko ceniony przez Vaniniego. Por. *FWO,* s. 45—47, 161—175.

PORTA Giambattista (1540—1615), filozof włoski, autor dzieła o magii naturalnej. Por. *FWO,* s. 63, 331—335 i J. Dobrowolski: *Giambattista Della Porta i laicyzacja pojęcia „magii naturalnej"*, „Euhemer", 1974, nr 3 (93).

PRADES Gabriel de, filozof, autor epigramu ku czci Vaniniego, zamieszczonego w *Amfiteatrze*. Nie udało się natrafić na żaden inny ślad istnienia tej postaci.

PRÉVOST Ponce (Pontius Privatus) z Taraskonu (zmarł zapewne w 1640 r.), doktor medycyny, autor epigramu w języku greckim, zamieszczonego w *De admirandis*.

PROTAGORAS z Abdery (ok. 480—411 p.n.e.), filozof starożytny, uważany przez Vaniniego za ateistę. Vanini omawia jego poglądy w *Amf*, s. 90—95.

RABELAIS François (1494—1553), jeden z najwybitniejszych humanistów francuskiego Odrodzenia, autor fantastycznej powieści pt. *Gargantua i Pantagruel* (polski przekład, Kraków 1915), w której znajduje się m.in. opis utopijnego opactwa Telemy. Por. A. Nowicki: *Filozofia francuskiego Odrodzenia*, Warszawa 1973, s. 15—17, 122—127.

RADZIWIŁŁ, książę, poseł polski w Anglii za czasów króla Jakuba I, starał się w listopadzie 1611 r. bezskutecznie o rękę księżniczki Elżbiety dla królewicza polskiego Władysława Wazy. Por. *Calendar of State Papers*, vol. XII, London 1905, s. 234.

RAVAILLAC François, fanatyk katolicki, z inspiracji jezuitów zabił króla francuskiego Henryka IV, dnia 14 maja 1610 r.

ROSSET, François de (ok. 1570 — ok. 1630), powieściopisarz francuski, autor *Les Histoires mémorables et tragiques de ce temps*, Paris 1619, w których znajduje się m.in. opowieść *De l'exécrable docteur Vanini, autrement nommé Luciolo, de ses horribles impietés et blasphèmes abominables, et de sa fin enragée*, s. 185—213. W latach 1610 i 1612 dedykował swoje książki Bassompierre'owi.

RUBENS Pieter Paul (1577—1640), jeden z największych malarzy XVII w. M.in. namalował cykl 21 wielkich obrazów przedstawiających dzieje królowej Marii Medyceuszki a także portret Brygidy Spinoli Dorii. Utrzymywał stosunki m.in. z Dudleyem Carletonem.

RUDOLF II HABSBURG (1552—1612), król węgierski od 1572 r., czeski od 1575 r., król niemiecki i cesarz od 1576 r. Wspomniany przez Vaniniego w *Adm*, s. 36.

RUGGIERI Cosmo, Włoch, astrolog królowej Marii Medyceuszki, dzięki Leonorze Galigai otrzymał opactwo Saint-Mahé w Bretanii. Zmarł w Paryżu w 1615 r. Po śmierci wytoczono mu proces, wykopano i spalono jego ciało.

SANCHEZ Francisco (1551—1623), lekarz i filozof pochodzenia portugalskiego, profesor uniwersytetu w Tuluzie, autor wielu dzieł filozoficznych m.in. *Quod nihil scitur* (Lugduni 1581). Por. A. Nowicki: Filozofia francuskiego Odrodzenia, Warszawa 1973, s. 58—59, 350—367. O kontaktach Vaniniego z Sanchezem nic nie wiadomo. Zachował się natomiast egzemplarz wspomnianej książki Sancheza z dedykacją dla Giordana **Bruna.**

SANDOVAL, Catalina de Zuniga, faworyta króla hiszpańskiego Filipa III, siostra potężnego księcia Lermy, żona hrabiego Lemosa, wicekróla Neapolu, matka Francisca de Castro, księcia Taurisano, któremu Vanini zadedykował *Amfiteatr.*

SARMIENTO de Acuña, Diego, później hrabia Gondomar, ambasador hiszpański w Anglii od jesieni 1613 r. Wywierał wielki wpływ na króla angielskiego Jakuba, obiecując mu olbrzymi posag w przypadku, gdyby książę Walii (Henryk, a po jego śmierci Karol) poślubił infantkę hiszpańską. Interesował się pobytem Vaniniego w Anglii. *Documents,* s. 95—99. Por. F. H. Lyon: *Diego de Sarmiento de Acuña conde de Gondomar,* Oxford 1910, W. Ramirez Villa Urrutia: *La embajada del conde de Gondomar a Inglaterra en 1613,* Madrid 1913.

SCALIGERO Giulio Cesare (1484—1558), filozof i poeta, wysoko ceniony przez Vaniniego. Por. *FWO,* s. 55—56, 245—253. Por. A. Corsano: *Dal rinascimento all'illuminismo,* Bari 1969, rozdział o Scaligerze, s. 50—101.

SCARCIGLIA Pomponio z Neapolu, kupił od Vaniniego kilka skrzyń z bielizną. *Documents,* s. 17.

SCHEFFER Jean, nauczyciel retoryki, autor epigramu ku czci Vaniniego zamieszczonego w *Amfiteatrze.* Nie udało się natrafić na żaden inny ślad istnienia tej postaci.

SOKRATES (469—399 p.n.e.), wielki filozof starożytny, skazany na śmierć za uprawianie filozofii (por. Platon: *Obrona Sokratesa,*

Lwów 1920), był dla Vaniniego wzorem osobowym. Por. *Amf*, s. 8, 36, 156, 303, *Adm*, s. XII, 173, 362, 367, 445, 453.

SPINOLA Brygida, żona Giacoma Dorii z Genui. Zachował się jej portret namalowany przez Rubensa. Poeta Marino napisał dla niej epitalamium.

SPINOLA Gregorio, karmelita z Genui, wspomniany w *Amf*, s. 128 i *Adm*, s. 160, 459.

SPINOLA Weronika, siostra Brygidy, arystokratka genueńska, żona Carla Dorii. Dla niej również poeta Marino napisał epitalamium.

SYLWIUSZ Henryk (1556 — zmarł 14 września 1612 r.), w latach 1598—1612 był generałem zakonu karmelitów. Napisał kilka książek m.in. *Universae Philosophiae ac Theologiae Anacephalaeosin*, Astae 1626. Vanini nienawidził go (por. *Amf*, s. 268, 285) i z jego powodu uciekł z Włoch do Anglii (*Documents*, s. 33, 64). Por. F. Voersio de Cherasco: *Breve relatione della vita et gesti del revmo P. M. Enrico Silvio*, Asti 1613 i A. Corsano: *G. C. Vanini ed Enrico Silvio*, „Giornale Critico della Filosofia Italiana", 1970, nr 2, s. 209—217.

SZKOT Duns (ok. 1270—1308), franciszkanin, teolog i filozof angielski, przeciwnik filozofii Tomasza z Akwinu. Wspominany w *Amf*, s. 226, 295 i *Adm*, s. 273.

TARSJO, chłopiec usługujący Vaniniemu, postać występująca w kilku dialogach *De admirandis*, m.in. na s. 168—170, 350—351, 495.

TARTAGLIA Nicolò (zm. 1558), matematyk włoski, znany ze sporu z Cardanem.

TASSO Torquato (1544—1595), wybitny poeta włoski, jego wiersze cytuje Vanini w *Adm*, s. 493, 495.

TAURISANO, książę — patrz: CASTRO Francesco.

TAURISANO, księżna — patrz: GATTINARA LIGNANA Lukrecja.

TELESIO Bernardino z Cosenzy (1509—1588), filozof włoski, autor dzieła *De rerum natura juxta propria principia*, które wywarło wielki

wpływ m.in. na Campanellę i Bacona. Por. *FWO*, s. 56—58, 254—261.

THÉMINES, Pons de Lauzières de Cardaillac, markiz de (1553—1627), kapitan gwardii królewskiej, za aresztowanie księcia Kondeusza mianowany przez Marię Medyceuszkę 1 września 1616 r. marszałkiem Francji.

TOMASZ Z AKWINU (1225—1274), jeden z najwybitniejszych przedstawicieli filozofii chrześcijańskiej w wiekach średnich, dominikanin, twórca tomizmu, wspomniany w *Amf*, s. 11, 97, 135—136, 202, 226, 259, 295 i w *Adm*, s. 412—413.

TRAPOLINO Francesco (lub Pietro), filozof włoski, nauczyciel Pomponacjusza, wspomniany w *Adm*, s. 173.

UBALDINI Roberto (1581—1635), syn Marcantonia Ubaldiniego z Florencji. Jego matka, Lukrecja Gherardesca była córką siostry kardynała Aleksandra Medyceusza (1539—1605), który tuż przed śmiercią w 1605 r. został wybrany papieżem i jako Leon XI zdążył mianować Ubaldiniego sekretarzem stanu. Spokrewniony z Marią Medyceuszką wywierał wielki wpływ na jej politykę jako nuncjusz papieski w Paryżu. 2 grudnia 1615 r. został mianowany kardynałem i wkrótce potem odwołany został z Paryża, a na jego miejsce przyszedł Guido Bentivoglio. Nuncjatura znajdowała się w pałacu Cluny. Vanini wspomina o nim w *Amf*, s. 77 i *Adm*, s. 170. O stosunkach Vaniniego z nuncjuszem Ubaldinim mówią *Documents*, s. 77, 88—89, 94, 97.

USIGLIO Pompeo — nazwisko, pod którym Vanini ukrywał się w latach 1616—1619.

VANINI, Beatrycze, z domu LOPEZ DE NOGUERA, matka Juliusza Cezara Vaniniego, wspomniana w *Amf*, s. 71 i *Adm*, s. 493.

VANINI Jan Chrzciciel (Giambattista), intendent księstwa Taurisano, ojciec Juliusza Cezara Vaniniego, wspomniany w *Amf*, s. 153 i *Adm*, s. 322.

VAUX Edward, lord of Harrowden, katolik angielski, skazany w maju 1612 r. wraz z matką na dożywotnie więzienie i konfiskatę majątku z powodu odmowy złożenia przysięgi anglikańskiej. W październiku 1612 r. więzienie zamieniono mu na areszt domowy, a w kwietniu 1613 r. zwrócono mu skonfiskowane majątki. *Calendar*

of State Papers, London 1858, s. 121, 124, 129, 140, 144—145, 153, 181, 227, 285. Pomagał Vaniniemu w ucieczce z angielskiego więzienia, *Documents,* s. 79.

VELASCO, Alonso de, ambasador hiszpański w Londynie do lata 1613 r. *Documents,* s. 94—95. Po nim ambasadorem został Sarmiento. To Velasco jesienią 1604 r. w rozmowie z Henrykiem IV wysunął projekt małżeństwa 3-letniego Ludwika XIII z 3-letnią Anną Austriaczką.

VERNAISON, lub DEVERNESON, cenzor królewski, który dnia 1 września 1616 r. udzielił zezwolenia na rozpowszechnianie książki Vaniniego *De admirandis.*

VIAU, Théophile de (1590—1626), poeta francuski, libertyn, oskarżony o ateizm i uleganie wpływom Vaniniego. Skazany na śmierć, zdołał uciec. Por. A. Adam: *Théophile de Viau et la libre pensée française en 1620,* Paris 1935.

VILLIERS George (1592—1628), później książę Buckingham, faworyt króla angielskiego, Jakuba I.

VITRY, Nicolas de l'Hopital (1581—1644), markiz, kapitan gwardii królewskiej, za zabicie Conciniego z rozkazu Ludwika XIII, mianowany został w 1617 r. marszałkiem Francji.

WERGILIUSZ, Publius Vergilius Maro (70—19 p.n.e.), poeta rzymski, cytowany 14 razy przez Vaniniego.

WESPAZJAN (9—79), cesarz rzymski od 69 r. wspominany przez Vaniniego w *Adm,* s. 429, 438. Słowa tego cesarza przyjął za swoją dewizę ojciec Vaniniego, *Amf,* s. 153.

WIKTOR AMEDEUSZ I (Vittorio Amedeo di Savoia), książę Piemontu, syn Karola Emanuela I, 10 lutego 1619 r. ożenił się z księżniczką francuską, Krystyną, siostrą Ludwika XIII.

WŁADYSŁAW IV WAZA (1595—1648), król polski od 1632 r., syn króla Zygmunta III Wazy. W listopadzie 1611 r. książę Radziwiłł starał się dla niego o rękę księżniczki angielskiej, Elżbiety, córki króla angielskiego Jakuba I. Por. *Calendar of State Papers,* vol. XII, London 1905, s. 234.

ZETZNER Lazar, drukarz strasburski, wspomniany w *Amf,* s. 67.

MOTTA DO 33 ROZDZIAŁÓW

zostały zaczerpnięte z następujących dzieł Vaniniego:

Motto tytułowe, De admirandis, 1616 s. 183
do rozdz. 1 — De admirandis, 1616, s. 494
do rozdz. 2 — De admirandis, 1616, s. 424
do rozdz. 3 — De admirandis, 1616, s. 205
Amfiteatr, 1615, s. 36
do rozdz. 4 — De admirandis, 1616, s. 351
do rozdz. 5 — Amfiteatr, 1615, s. 285
do rozdz. 6 — Amfiteatr, 1615, s. 67
do rozdz. 7 — De admirandis, 1616, s. 185
do rozdz. 8 — De admirandis, 1616, s. 312
do rozdz. 9 — De admirandis, 1616, s. 217
do rozdz. 10 — Amfiteatr, 1615, s. 117
do rozdz. 11 — De admirandis, 1616, s. 355
do rozdz. 12 — De admirandis, 1616, s. 359
do rozdz. 13 — De admirandis, 1616, s. VI, 495
do rozdz. 14 — De admirandis, 1616, s. 487
do rozdz. 15 — De admirandis, 116, s. 264
do rozdz. 16 — De admirandis, 1616, s. 349
Amfiteatr, 1615, s. 50
do rozdz. 17 — De admirandis, 1616, s. 344
do rozdz. 18 — De admirandis, 1616, s. 446—447
do rozdz. 19 — De admirandis, 1616, s. 366
do rozdz. 20 — De admirandis, 1616, s. 95
do rozdz. 21 — De admirandis, 1616, s. 10
do rozdz. 22 — De admirandis, 1616, s. 441
do rozdz. 23 — De admirandis, 1616, s. 349
Amfiteatr, 1615, s. 151
do rozdz. 24 — De admirandis, 1616, s. X

do rozdz. 25 — De admirandis, 1616, s. 72
do rozdz. 26 — De admirandis, 1616, s. 344
do rozdz. 27 — Amfiteatr, 1615, s. 78
do rozdz. 28 — De admirandis, 1616, s. 495
do rozdz. 29 — Amfiteatr, 1615, s. 155
do rozdz. 30 — De admirandis, 1616, s. 385
do rozdz. 31 — W drodze na egzekucję, 1619
do rozdz. 32 — De admirandis, 1616, s. 336
do rozdz. 33 — W drodze na egzekucję, 1619

SPIS TREŚCI

Rozdział 1. — Tuluza, noc z 8 na 9 lutego 1619 r. „Trzydzieści trzy!" 5

Rozdział 2. — Taurisano 1585—1600. Beatrycze Lopez de Noguera i Giambattista Vanini. W cieniu pomarańczowych drzew 10

Rozdział 3. — Neapol 1600—1606. Karmelita Bartolomeo Argotti i Terrante Imperato. Awerroes i pitagorejska wędrówka dusz 20

Rozdział 4. — Padwa 1609—1611. Karmelita Bonawentura Genocchi i spadające z nieba żabki 27

Rozdział 5. — Wenecja, 6 lutego 1612 r. Ambasador angielski Dudley Carleton. Ucieczka z Włoch . . . 31

Rozdział 6. — Strasburg 1612 r. Przed portretem Marcina Lutra 39

Rozdział 7. — W angielskiej mgle, Londyn 1612 r. Francis Bacon i Dom Salomona 42

Rozdział 8. — W angielskiej mgle, Londyn, 14 lutego 1613 r. Wesele księżniczki angielskiej Elżbiety z księciem Fryderykiem, elektorem Palatynatu 49

Rozdział 9. — W angielskiej mgle, Londyn, luty 1613 r. Spowiednik Girolamo Moravi 61

Rozdział 10. — W angielskiej mgle 1613—1614. Arcybiskup George Abbot. Ucieczka z londyńskiego więzienia 67

Rozdział 11. — Amsterdam 1614 r. Portugalczyk Gabriel Acosta. Rozmowa o nieśmiertelności 78

Rozdział 12. — Bruksela 1614 r. Nuncjusz Guido Bentivoglio. Rozmowa o nieśmiertelności 87

Rozdział 13. — Genua 1614 r. Skrzydlate duszki i Brygida Spinola Doria z portretu mistrza Rubensa . . . 93
Rozdział 14. — Genua 1614 r. Sen Brygidy. Rozmowa o snach . 102
Rozdział 15. — W drodze do Nicei 1614 r. Poeta Giambattista Marino i jego „Galeria" 108
Rozdział 16. — Paryż 1615 r. W bibliotece nuncjusza Roberta Ubaldiniego nad dziełami heretyków i ateistów . 118
Rozdział 17. — Paryż 1615 r. Wiersze przyjaciół 123
Rozdział 18. — Lyon, marzec 1615 r. Zaczarowana karczma. Ukaranie pijanych muszkieterów 130
Rozdział 19. — Paryż 1615 r. Śmierć astrologa Ruggierego i marszałkowa Leonora Galigai 133
Rozdział 20. — Paryż 1615 r. Rozmowa z królową Marią Medyceuszką. Medycejska droga do nieśmiertelności 144
Rozdział 21. — Paryż 1615 r. Duch astrologa na cmentarzu świętego Sulpicjusza. Lekarz Grégoire Certain . 152
Rozdział 22. — Paryż, 1 stycznia 1616 r. Cud króla Ludwika . 158
Rozdział 23. — Paryż 1616 r. Okrucieństwa piratów angielskich i kłopotliwe pytania Rosseta o inkwizytora Salamanki 164
Rozdział 24. — Paryż 1616 r. Adrian Périer „wykrada ogień" a Grégoire Certain czyta napisany przez siebie wiersz 167
Rozdział 25. — Paryż 1616 r. Gość z Hiszpanii — Don Pedro de Castro de Villaquiran i gronostaje 177
Rozdział 26. — Paryż, sierpień 1616 r. Poeta Théophile de Viau i rozmowa o metaforach 185
Rozdział 27. — Paryż, 1 września 1616 r. Przewrót pałacowy. Aresztowanie księcia Kondeusza. Cenzor królewski, pan De Vernaison 191
Rozdział 28. — Paryż, wrzesień 1616 r. Artur D'Épinay Saint-Luc i Martin Meurisse 195
Rozdział 29. — Redon, październik 1616 r. Zniknięcie Juliusza Cezara Vaniniego. Pojawia się doktor Pompeo Usiglio 201
Rozdział 30. — Condom, lipiec 1617 r. Obiad u historyka Scypiona Dupleix. Śmierć Concinich 212

Rozdział 31. — Tuluza, lipiec 1618 r. Portugalczyk Francisco Sanchez czyli „o tym, że nie wiemy nic" . . . 228
Rozdział 32. — Tuluza, 2 sierpnia 1618 r. Aresztowanie . 234
Rozdział 33. — Tuluza, sobota 9 lutego 1619 r. Wyrok . . . 238
Słownik biograficzny ważniejszych spośród wymienionych postaci 246
Motta do 33 rozdziałów 270

Wszelkie prawa zastrzeżone
Wydawnictwo ,,Śląsk'' Katowice 1976

Wydanie 1. Nakład 10 281 egz.
Ark. wyd. 13,3. Ark. druk. 17,25.
Format 123 × 195 mm. Papier druk. sat. kl. III, 80 g.
Oddano do składania 21. 4. 1975 r.
Podpisano do druku 17. 1. 1976 r.
Druk ukończono w lutym 1976 r.
Zam. nr 1056-K-75 N-021.
Symbol 31802/L. Cena zł 40,—.
Cieczyńska Drukarnia Wydawnicza
Cieszyn, ul. Pokoju 1

Nowości Wydawnictwa „Śląsk"

Andrzej Trepka

Konstanty Ciołkowski — Wizjoner Kosmosu

●

Andrzej Trepka

Życie we Wszechświecie

●

Olgierd Terlecki

Lekcja miłości

●

Ada Wincza

Safari — hatari

●

Jerzy Lowell

Księga ludzi, ptaków i ryb

●

Stanisław Broszkiewicz

Strach blady i romanse

Cena zł 40,—